NAUCZYCIEL ROKU
Szkolny system trzeba obalić

KURY I TATARZY
Jak brojlery skłóciły Kruszyniany

Z SYRII DO DOMU
Kobiety wracają z kalifatu

LEK PRZYSZŁOŚCI
Szczepionką w nowotwór

SKARB KIBICA
Przewodnik po naszych emocjach

Kraków 4 lipca 2021 nr 27 (3756) cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Nowy zasięg Kościoła

RAPORT OTWARCIA
KTO ZYSKA, KTO STRACI NA PANDEMII

W WYDANIU DODATKI
WŁÓCZYKIJ KULTURALNY
NAGRODA KAZANECKIEGO

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

Mecenas:
Jankilevitsch Foundation

Współorganizator:
STOWARZYSZENIE ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY W POLSCE

Partner:
Fundacja Galerii Foksal

Partner publikacji:
SIGNUM

Partnerzy medialni:
zwierciadło, sens, Wortfeld, VOGUE, wyborcza.pl, ams, Newsweek, HISTORIA, VIVA!, SZUM, onet

WYSTAWA CZASOWA

ul. Anielewicza 6
00-157 Warszawa
polin.pl

WILHELM SASNAL TAKI PEJZAŻ

KURATOR: ADAM SZYMCZYK

17.06.2021–10.01.2022

KS. ADAM

Boniecki: *Realna obecność*

Czas epidemii – mówię tu o praktykach religijnych i duszpasterstwie – nie tylko był traumą, ale także obdarował nas odkryciami możliwości wcześniej niedocenianych lub zgoła nieznanych.

Z okazji dyspensy od niedzielnej – fizycznej – obecności w kościele przypomnieliśmy sobie o starych prawdach dotyczących doskonałego żalu za grzechy i duchowej komunii. Więcej: dowiedzieliśmy się o duchowym wymiarze mszy św., który przekracza wszelkie mury. Przecież w Trzeciej Modlitwie Eucharystycznej mówimy o „mocy Ducha Świętego", który „ożywia i uświęca wszystko" oraz „nieustannie gromadzi lud swój, aby na całej ziemi składał ofiarę czystą". Wiele osób mówiło mi, że dla nich ten „zdalny udział" w Eucharystii odprawianej w odległości setek, a czasem tysięcy kilometrów był większym przeżyciem niż fizyczna obecność w zatłoczonym kościele, na mszy z pozostawiającą wiele do życzenia oprawą muzyczną i kiepskim kazaniem.

Albo spotkania. Dzięki komunikacji online grupa, w której od kilku lat co piątek się spotykamy na warszawskich Stegnach, by porozmawiać o biblijnych czytaniach najbliższej niedzieli i o życiu, poszerzyła się o mieszkańców innych miast. Zwieńczeniem tych spotkań była niedzielna msza św. z udziałem – oczywiście zdalnym – wszystkich uczestników piątkowej rozmowy. Prowadziłem też online rekolekcje, które nie ograniczały się do wysłuchania nauk księdza, ale – jak w realu – każdy mógł się podzielić własnymi refleksjami.

Nie dziwią więc głosy rozżalenia, że z odwołaniem przez episkopat dyspensy od obowiązku „chodzenia w niedzielę do kościoła" kończą się, lub zostają zredukowane do dwóch, transmisje mszy. Uczestnicy piątkowych spotkań upominają się o spotkania w realu i głowią się, jak to połączyć z online. W kolejną niedzielę nasz kościół na Stegnach znów jest wypełniony ludźmi nie mniej niż w czasach sprzed lockdownu.

Czyżby zadziałał tu *sensus fidei?* Ksiądz Tomáš Halík we wstępie do zbioru swoich homilii na czas pustych kościołów napisał: „istnieje pokusa zastąpienia realnej obecności wierzących przy Eucharystii konsumpcją nabożeństwa w obrazach telewizyjnych. W naszej parafii nie transmitowaliśmy mszy. Kilkakrotnie wyraziłem przekonanie, że do realnej obecności Chrystusa w Eucharystii konieczna jest realna obecność wierzących wokół stołu Pańskiego. (...) Transmisje (...) nie są jednak w stanie umożliwić świętowania, a szczególnie świętowania Eucharystii. Uczty nie da się zastąpić „ucztą na odległość". Eucharystia jest życiodajnym źródłem Kościoła, jest medium, które umożliwia komunikację nie tylko z Bogiem, ale także z Innymi. Świętowanie Eucharystii jest ucztą, przy której realna obecność Chrystusa w sakramencie połączona jest z realną (a nie wirtualną) obecnością wierzących". Bo uczestnictwo w Eucharystii nie jest kwestią odczuć.

Doświadczenie możliwości kontaktu online jest wspaniałe i z pewnością nie zostanie zmarnowane, ale nie zastąpi spotkania. Nie do pomyślenia przecież jest przyjmowanie sakramentów online. W świecie, w którym znika wymiana myśli w długich listach na rzecz zwięzłych komunikatów, byle jakich SMS-ów i e-maili, w którym, mając w kieszeni komórkę, przestaje się doceniać długie rozmowy, Kościół wciąż jeszcze stawia na realne spotkanie. Papieże od Jana Pawła II nie ograniczają się do orędzi telewizyjnych, ale nie bacząc na zmęczenie i koszty jeżdżą, by umacniać dalekich braci w wierze. Księża siadają do konfesjonałów, sakramenty są udzielane indywidualnie.

Bo Kościół może mieć dla poszukujących tylko tę odpowiedź, którą usłyszeli zafascynowani nieznanym im jeszcze Jezusem przyszli apostołowie Jan i Andrzej. Kościół nie może odsyłać tylko do YouTube'a. Jedyne, co może powiedzieć, to Jezusowe: „chodźcie, a zobaczycie". ©

Eurodostęp 2021

Kup roczny dostęp do strony TygodnikPowszechny.pl i odbierz w prezencie książkę Michała Okońskiego „Światło bramki". Nie czekaj, oferta ograniczona!

Więcej na TygodnikPowszechny.pl/sklep

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TEMAT TYGODNIKA

12 Nowy zasięg Kościoła
PIOTR SIKORA
Kościół katolicki wraca do funkcjonowania bez sanitarnych obostrzeń. Czy zmieni się na lepsze?

16 Nasze inne konfesjonały
ROZMOWA Z KS. GRZEGORZEM STRZELCZYKIEM, PROBOSZCZEM:
Parafialna grupa na Facebooku liczy teraz więcej ludzi niż chodzących do kościoła. To znaczy, że niektórzy z zewnątrz podglądają życie wspólnoty. Jeśli korzystają z naszej pracy – cieszę się.

22 Świerszcze w otwartym słoiku
ROZMOWA Z PRZEMYSŁAWEM STARONIEM, NAUCZYCIELEM I PSYCHOLOGIEM:
Praca polskiego nauczyciela to niewielka przestrzeń wolności przy dramatycznej wręcz odpowiedzialności. To, że tak wielu z nas się jakoś trzyma, zakrawa na cud.

46 Powrót z kalifatu
PAWEŁ PIENIĄŻEK I ALONA SAWCZUK
Ukrainki i Polka mają nadzieję, że po latach spędzonych w Syrii – najpierw w Państwie Islamskim, potem w obozach jenieckich – wreszcie wrócą do domu.

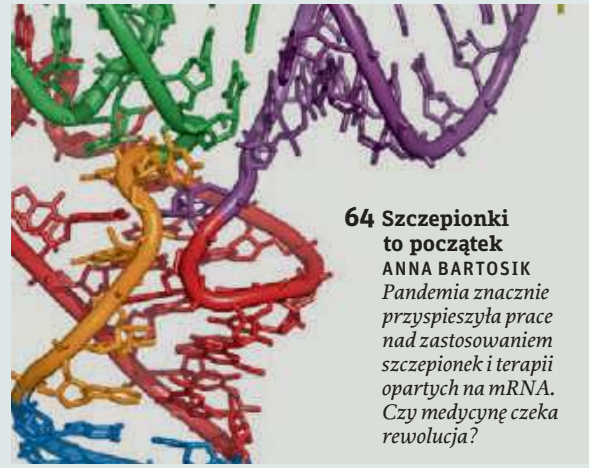

64 Szczepionki to początek
ANNA BARTOSIK
Pandemia znacznie przyspieszyła prace nad zastosowaniem szczepionek i terapii opartych na mRNA. Czy medycynę czeka rewolucja?

68 Zagubione dusze
ROZMOWA Z JOANNĄ CONCEJO, ILUSTRATORKĄ:
Już wiem, że na wiele rzeczy nie mam wpływu, świata lepiej nie urządzę. Wcześniej byłam niemądra. Sądziłam, że muszę zrobić wszystko, by usunąć kamienie z drogi moich dzieci.

106 Skarb kibica
MICHAŁ OKOŃSKI
Ignoruję znaki ostrzegawcze, żyję przyszłością i przeszłością – rzadko tu i teraz. Stąd ta huśtawka nastrojów, frustracja po porażce i odradzanie się nadziei przed kolejnym meczem. Z kibicowania nie da się wyleczyć.

JACEK TARAN // MICHAŁ RYNIAK / AGENCJA GAZETA // YIKRAZUUL / WIKIPEDIA.ORG // LESZEK SZYMAŃSKI / PAP // ARCHIWUM PRYWATNE JOANNY CONCEJO // ALINA SMUTKO

6 Katastrofa już tu jest
WOJCIECH BRZEZIŃSKI, AGATA KAŹMIERSKA

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Świerszcze w otwartym słoiku
ROZMOWA Z PRZEMYSŁAWEM STARONIEM

26 Przez kury taka złość poszła
BARTOSZ RUMIEŃCZYK: *W Kruszynianach trwa konflikt o budowę wielkich ferm drobiu*

30 Doświadczenie różnicy
ROZMOWA Z JAGODĄ LATKOWSKĄ, PSYCHOTERAPEUTKĄ: *Dla matek dzieci z niepełnosprawnościami wspólne jest poczucie bycia niewystarczająco dobrą*

WIARA

36 Czas przemian
ROZMOWA Z RAFAELEM LUCIANIM, TEOLOGIEM: *Wrzenie, jakie się teraz dzieje, jest analogiczne do zmiany soborowej*

40 Biskup, czyli Bóg
MARTA ZDZIEBORSKA
W Ghanie za język nienawiści wobec mniejszości seksualnych odpowiadają również duchowni chrześcijańscy

43 Zdrowie i pobożność
ANNA JASTRZĘBIEC-WITOWSKA
o sporach wokół komunii do ust i na rękę

ŚWIAT

46 Powrót z kalifatu
PAWEŁ PIENIĄŻEK, ALONA SAWCZUK

50 Zrobimy ich razem, znów
TADEUSZ IWAŃSKI: *Po dwóch latach urzędowania Wołodymyr Zełenski jest na fali*

DO LASU

DODATKI

83 WŁÓCZYKIJ KULTURALNY
Wakacyjny przewodnik na lato.
▪ Republika ptasia i podróż polsko-niemieckim pograniczem z reporterką Karoliną Kuszyk
▪ Wakacje ze sztuką: Piotr Kosiewski poleca najlepsze wystawy

99 Nagroda Literacka im. Wiesława Kazaneckiego

FELIETONY

35 DOROTA MASŁOWSKA **45** ZUZANNA RADZIK
82 ANDRZEJ STASIUK
104 JAN KLATA **105** PAWEŁ BRAVO
110 STANISŁAW MANCEWICZ
110 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: MAREK ZALEJSKI / STOCK.ADOBE.COM
Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

52 Covid wrócił do Rosji
ANNA ŁABUSZEWSKA

54 Pewnej niedzieli nad Morzem Czarnym
PIOTR OLEKSY
W Bułgarii i Mołdawii politycy walczący o uczciwość mierzą się z obrońcami starego systemu

57 Wybór ajatollahów
WOJCIECH JAGIELSKI: *Ebrahim Raisi został właśnie prezydentem Iranu. Czy zostanie też kolejnym Najwyższym Przywódcą tego kraju?*

HISTORIA

60 Termopile katarów
ANDRZEJ OTCZYK: *Kim byli ludzie, przeciw którym Innocenty III zwołał wyprawę krzyżową*

NAUKA

64 Szczepionki to początek
ANNA BARTOSIK

KULTURA

68 Zagubione dusze
ROZMOWA Z JOANNĄ CONCEJO, ILUSTRATORKĄ

73 U zamkniętych drzwi
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Pół wieku temu w Paryżu zmarł Jim Morrison*

76 Ogród o rozwidlających się ścieżkach
MARCIN NAPIÓRKOWSKI
o antologiach fantastyki

80 Oda do gimbazy
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Ostatni komers" w reżyserii Dawida Nickela*

104 Groza czai się wszędzie
LEKTOR *o książce „Opowieści niesamowite z języka polskiego"*

ZMYSŁY

106 Skarb kibica
MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona Świata
Zmarł Kenneth Kaunda, pierwszy prezydent niepodległej Zambii. Był ostatnim z ojców niepodległości afrykańskiej dekady wolności, gdy kontynent zrzucał kolonialne jarzmo – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

Punkt zwrotny [Podkast Powszechny]
Na wałach, po których zasuwam z kajaczkiem, w sierpniu 1942 roku stały pokolenia sądeckich Żydów, zgromadzone, by zostać wywiezionymi do obozu zagłady w Bełżcu – mówi **DARIUSZ POPIELA**, medalista mistrzostw świata powszech.net/podkast

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

KATASTROFA JUŻ TU JEST

Ekstremalnych zjawisk pogodowych będzie coraz więcej. Ocieplenie klimatu nie zniknęło przez pandemię – i będzie miało na nas znacznie większy wpływ niż ona.

AGATA KAŹMIERSKA I WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Trzeba sporo złej woli, by nie zauważać, że coś bardzo złego dzieje się z klimatem. Żaden poważny naukowiec nie powie wprost, że tornado, które w zeszłym tygodniu spowodowało śmierć co najmniej pięciu osób w południowych Czechach, to skutek zmian klimatu. Nauka operuje danymi i prawdopodobieństwami, a nie wygłaszanymi *ex cathedra* dogmatami. Jednak to dzięki danym zbieranym od dziesięcioleci wiemy, że ocieplenie klimatu gwałtownie przyspieszyło, i to wskutek działań ludzkości. A wraz ze wzrostem globalnych temperatur w atmosferze gromadzi się coraz więcej energii, która musi znaleźć ujście. Także w postaci ekstremalnych zjawisk pogodowych. Będzie ich coraz więcej, również u nas.

Pojawienie się tornad to nie jest najgorsza wiadomość dla Polski. Błyskawicznie topniejący lód Grenlandii miesza się z wodami Atlantyku i zaburza cyrkulację wody, która daje Europie stabilny, przyjazny klimat. W przeszłości osłabienie tego naturalnego cyklu miało dla naszego kontynentu katastrofalne konsekwencje. „Jeśli to nastąpi, to w połączeniu z fazą obniżonej aktywności słonecznej rezultatem mogą być trwające dziesięciolecia megasusze, jak te, których kontynent doświadczał w poprzednim tysiącleciu. Będzie to stanowiło ogromne wyzwanie polityczne i społeczne" – pisali niedawno badacze ze Stowarzyszenia Centrów Badawczych Helmholtza. Susze, według opublikowanego przed kilkoma dniami raportu ONZ, będą miały na światową gospodarkę wpływ większy niż pandemia.

U nas susza już jest i zawdzięczamy ją sobie. Przez ostatnich co najmniej 120 lat nasza gospodarka wodna skupiała się na odprowadzaniu wody z pól i łąk. Tak osuszyliśmy mokradła, zbudowaliśmy meliorację, zabetonowaliśmy rzeki. System działa tak, jak chcieli jego twórcy: woda odpływa, pozostawiając za sobą pustyn-

MIKOŁAJ GLIŃSKI // ONDREJ DEML / CTK / PAP // JACEK TARAN // ARTUR BARBAROWSKI / EAST NEWS

24 CZERWCA 2021 ROKU: Mammatusy – rzadko u nas spotykane chmury burzowe nad Warszawą; Mikulcice – po przejsciu tornada przez południowe Morawy w Czechach; kulki gradu i ulice po ulewach w Krakowie

niejące pola, a sama kumuluje się w rzekach i powoduje coraz gwałtowniejsze powodzie.

Przyjęło się myśleć, że katastrofa klimatyczna to problem przyszłości. Stąd krokodyle łzy wylewane nad losem biednych, przyszłych pokoleń. Pewnie, młodzież ma najgorzej. Ale ta katastrofa rozgrywa się już dziś. I wielu z nas może kosztować życie. Ubiegły rok był, według pomiarów europejskiego programu Copernicus, zdecydowanie najgorętszym w historii Europy. W Polsce średnia temperatura była aż o dwa stopnie wyższa niż średnia za lata 1981–2010. To oznacza, że Kraków czy Warszawa mają dziś klimat zbliżony do tego, jakim w latach 70. czy 80. cieszył się Budapeszt czy Sofia. A już za 20 lat standardem ma być 40 st. Celsjusza latem.

Zabetonowane miasta zmienią się w piekarniki. Każdego lata z powodu upałów umierać będą tysiące ludzi. Zwykle starszych, których nie będzie stać na klimatyzację. A nie będzie ich stać, bo prąd będzie drożał. Unia Europejska będzie pobierać coraz wyższe opłaty za emisje z energii pozyskiwanej z węgla. Tymczasem my w odchodzeniu od tego surowca nie jesteśmy czempionem, nasz program dekarbonizacji jest nadal mglisty, a wyznaczone terminy – odległe.

Jedyną szansą na powstrzymanie konsekwencji katastrofy klimatycznej, przy których czeskie tornado będzie wyglądało jak zefirek, jest przestawienie w zasadzie wszystkich aspektów naszego życia na tory sprzyjające dekarbonizacji. To ekstremalne wyzwanie nawet dla najbogatszych gospodarek świata. Ale innej szansy nie będzie. ©

Kaczyński w roli ciułacza

KAROLINA LEWICKA

Z klubu parlamentarnego PiS odeszło troje posłów, bo – jak mówił jeden z nich, Zbigniew Girzyński – „w pewnym momencie poczuli się przez partię opuszczeni". Pozostali to Małgorzata Janowska i Arkadiusz Czartoryski – żaden to pierwszy szereg, ale rachunek większości przestał się PiS-owi zgadzać: dotychczasowe 232 minus 3 równa się tylko 229 szabel w izbie niższej. Uciekinierom nie podoba się polityka energetyczna rządu, sporo uwag mają do Polskiego Ładu. Partia zareagowała nerwowo. Anita Czerwińska insynuowała, że posłowie odchodzą, bo mają na karku CBA, posłankę zaś „ktoś wprowadził w błąd".

Utrata większości nie oznacza utraty władzy, choć jej sprawowanie będzie od tej pory jeszcze trudniejsze – symbolicznie i praktycznie. PiS nie jest już w natarciu, lecz w defensywie, targany wewnętrznymi konfliktami. Do niedawna nieodłącznym elementem wizerunku PiS-u była jego sprawczość, teraz wyborcy nie są pewni, czy rządzącym może się jeszcze coś udać.

Praktycznie zaś kierownictwo PiS-u zostaje zmuszone do nieustannego poszukiwania sejmowej większości dla każdego niemalże projektu ustawy. To konieczność układania się już nie tylko z krnąbrnymi koalicjantami, ale i z szeregiem mniejszych podmiotów. Kaczyński, którego polityczna wola, zwłaszcza w pierwszej kadencji, była realizowana w parlamencie bez zbędnej zwłoki, teraz będzie upraszał o głosy kolegów Pawła Kukiza, posłów niezrzeszonych i koła poselskie. To pochłonie czas i energię, tym samym polityczna rewolucja zostanie zahamowana.

Maleją też szanse PiS-u na sondażowe odbicie. Trampoliną miał być Polski Ład, ale nie dość, że nie zyskał powszechnego uznania (według CBOS dobrze ocenia go tylko jedna trzecia ankietowanych), to jeszcze w ogóle nie wiadomo, które propozycje przejdą przez parlament. Tym samym sobotni kongres PiS-u, na którym Kaczyński znowu zostanie wybrany prezesem, może nie być sympatyczną imprezą. ©

Autorka jest dziennikarką radia Tok FM.

Minister Czarnek: rzecznik praw kuratorów

WROGIE PRZEJĘCIE; niekonstytucyjne zmiany – takie określenia znalazły się w sporządzonej przez prof. Huberta Izdebskiego (dla Fundacji Batorego) ekspertyzie dotyczącej planowanej przez Ministerstwo Edukacji i Nauki nowelizacji prawa oświatowego. Chodzi o wzmocnienie roli kuratorów, którzy mieliby decydujący głos w powoływaniu i odwoływaniu dyrektorów szkół, a także większą kontrolę nad placówkami niepublicznymi. Inna zmiana – ważna w kontekście zaostrzonego w czasie rządów PiS sporu o autonomię placówek z jednej strony, a prawa rodziców z drugiej – to specjalne pozwolenie, jakie kurator będzie wydawał na działanie w szkole organizacji społecznych.

Kuratoria, mówią krytycy, będą odtąd nie tyle nadzorować szkoły, co nimi współzarządzać.

„Tym samym proponuje się istotną zmianę ustrojową w duchu etatyzmu i centralizmu" – dowodzi prof. Izdebski, wskazując na wielką nieobecną nowelizacji: zawartą w Konstytucji RP zasadę pomocniczości, rozgraniczającą uprawnienia samorządów i władzy centralnej. Według eksperta zmiana odbędzie się kosztem wspólnot lokalnych, a przede wszystkim „samych społeczności szkolnych, w imieniu których szkołą zarządzają jej organy w ramach tzw. autonomii szkoły".

Minister edukacji i nauki w medialnych wystąpieniach broni planowanych zmian, powołując się na prawa dziecka („Koniec z praniem mózgów" – mówił tygodnikowi „Sieci"). Krytycy zmian dowodzą, że jedynym prawem, o jakie upomina się minister Czarnek, jest prawo kuratorów do modelowania szkół na miarę ideologicznych marzeń ministra Czarnka.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Inna sprawa, zbędne emocje

PAWEŁ BRAVO

Jeszcze tydzień temu ważny poseł Platformy Arkadiusz Myrcha określał nowelę Kodeksu Postępowania Administracyjnego, która wyszła z kierowanej przezeń komisji ustawodawczej w Sejmie, jako „wdrażanie niebudzących kontrowersji politycznych orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego". Potem, na skutek presji USA i Izraela (przedstawiciele obu krajów uznali, że nowela godzi w interesy Żydów, pragnących odzyskać mienie przodków), nagle pojawiły się kontrowersje – oględnie rzecz nazywając, bo np. szef dyplomacji Izraela mówi o „hańbie". A wraz z kontrowersjami pojawiła się okazja, by wpędzić obóz władzy w kolejny kłopot wizerunkowy. Dlatego w sejmowym głosowaniu Platforma wstrzymała się i teraz daje sygnały, że to, co sama pomogła napisać, nagle stało się wadliwe. Czeka i patrzy, jak PiS wpędza się w tarapaty, podbijając retoryczną stawkę w reakcji na oświadczenia strony żydowskiej – mniej więcej jak w przypadku nieszczęsnej ustawy o IPN sprzed trzech lat.

Tymczasem jest to sprawa zupełnie inna gatunkowo: nawet Adam Bodnar w trakcie swej kadencji RPO kilkakrotnie domagał się realizacji orzeczenia TK (przypomnijmy: to był jeszcze „dobry" TK, przed jego rozbiorem), wskazując, iż brak terminu, do którego można podważać decyzje administracyjne, sprzyja nadużywaniu prawa przy reprywatyzacjach.

Ewentualna likwidacja tej drogi na skróty – przy odzyskiwaniu nieruchomości przejmowanych przez państwo tuż po II wojnie światowej – tym bardziej czyni pilną potrzebę uchwalenia wyważonej i sprawiedliwej ustawy reprywatyzacyjnej. Tylko w ten sposób, a nie kombinując piętrowe poprawki do obecnej noweli, można wyjść naprzeciw protestom ze strony np. Izraela. Ale jest to na tyle delikatne i wymagające odwagi zadanie, że trudno się spodziewać, by osłabiony PiS, który cementuje swoje poparcie sięgając do retoryki godnościowej, chciał i umiał się go podjąć. Z kolei postawa Platformy, zachowującej się w ostatnich dniach małostkowo i krótkowzrocznie, każe wątpić, czy – gdyby w przyszłości miała znów rządzić – będzie ją na taką ustawę stać. ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

WŁAMANIE
Pierwsze włamanie na konto mailowe Michała Dworczyka, szefa Kancelarii Premiera, miało miejsce już 22 września 2020 r. – pisze „Rzeczpospolita", z której ustaleń wynika więc, że cyberprzestępcy mogli mieć nieograniczony dostęp do poczty ministra przez dziewięć miesięcy.

DEWASTACJA
Niemal 70 nagrobków zdewastowano na zabytkowym żydowskim cmentarzu w Bielsku-Białej. Zarządca nekropolii informuje, że zniszczeń o takiej skali nie zanotowano tu od czasu II wojny światowej, a policja szuka sprawców zdarzenia.

DARIUSZ GAJNY

PRZESZUKANIE
Funkcjonariusze CBA przeszukali biuro firmy R4S, agencji świadczącej usługi PR, a należącej do b. rzecznika PiS Adama Hofmana. Szukano ponoć umów i faktur na obsługę państwowej Grupy Azoty oraz jej spółek-córek, na podstawie których agencja miała zarobić w 2016 r. ponad pół miliona zł.

WYCOFANIE
Prezydent Andrzej Duda ogłosił, że polscy żołnierze opuszczają Afganistan: ewakuacja ostatnich 400 członków trwającej 19 lat i okupionej 44 ofiarami śmiertelnymi misji nastąpiła w końcu czerwca.

RDC POLSKIE RADIO

KAROLINA KUSZYK opowie Grzegorzowi **Chlaście o republice ptasiej znad Warty (tekst we „Włóczykiju" na s. 84) w środę 30 czerwca o godz. 7.30. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.**
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

Paragony grozy? Nie w Polsce

MOŻLIWE, ŻE PRZEZ WARIANT DELTA głównym rozgrywającym w europejskiej turystyce będzie znowu pandemia. Ale na razie, póki są nadzieje na wakacje jak za dawnych lat, warto rzucić okiem na najnowsze zestawienie cen hoteli i restauracji w Europie, które przygotował właśnie Eurostat.

Koszyk zawiera sporo informacji, które nie są zaskoczeniem (choćby drożyznę w Szwajcarii, gdzie wakacje będą w tym roku aż o 125 proc. droższe od pakietu porównywalnej jakości w Polsce), ale przynosi także kilka zaskoczeń. Chyba największą jest relacja cen w kraju do średniej unijnej: te pierwsze są nadal o ok. 25 proc. niższe. Tak tanio cudzoziemcy mieli w Polsce 11 lat temu, co świadczy o tym, że noclegi oraz jedzenie w górach i nad Bałtykiem drożały wolniej od oferty hoteli i restauracji w większości krajów Europy.

Przeciętna polska rodzina chce wydać w te wakacje 1222 zł na osobę. Jeśli covid nie przeszkodzi, okazji najlepiej szukać w Turcji, gdzie ceny są o 46,2 proc. niższe niż w Polsce. Zaskoczeniem będą też stawki w Portugalii, gdzie zapłacimy o 2,4 proc. mniej niż w kraju – choć tylko za posiłki i hotele. Bilety wstępu do muzeów czy komunikacja miejska będą już znacznie droższe. ©℗ MR

Brexitowy zegar tyka

PIĘĆ LAT po brytyjskim referendum skutki brexitu stają się faktem dla obywateli Unii Europejskiej żyjących na Wyspach: 30 czerwca minął termin, do którego musieli zalegalizować swój pobyt, wnioskując o status osoby osiedlonej lub tymczasowo osiedlonej. Gwarantuje on prawo do legalnej pracy czy opieki zdrowotnej.

W terminie złożono 5,6 mln wniosków (najwięcej złożyli Polacy: prawie milion) i w ogromnej większości zostały rozpatrzone pozytywnie (odrzucono 2 proc.). Wprawdzie 400 tys. osób nadal czeka na decyzję, ale władze zapewniają, że opóźnienie w rozpatrywaniu podań nie wpłynie na ich prawa. Obawy budzi za to los tych – trudno oszacować ich liczbę – którzy o status nie aplikowali, mimo ogłoszeń informacyjnych w telewizji, apeli ambasad i pomocy organizacji pozarządowych. Mogą to być osoby, które z powodu epidemii nie mają potrzebnych dokumentów lub po prostu nie wiedzą, że nowe prawo ich dotyczy (np. osoby starsze, które żyją tu od dekad, mają tu rodziny i emeryturę, i sądzą, że brexit nie zmienił ich sytuacji). Władze odmówiły przesunięcia terminu, ale chcą wysyłać do spóźnialskich ponaglające listy i dać im dodatkowe 28 dni, o ile mieli istotny powód spóźnienia. ©℗ PATRYCJA BUKALSKA z Londynu

LAM YIK / REUTERS / FORUM

HONGKONG: KONIEC WOLNEGO SŁOWA. Kolejki ustawiały się w minionym tygodniu przed kioskami z prasą: mieszkańcy Hongkongu chcieli kupić ostatnie numery dziennika „Apple Daily". Wydawcy tej najważniejszej niezależnej gazety w mieście, która nie bała się krytykować władz Chin i ograniczania przez nie autonomii Hongkongu, uznali, że nie są już w stanie funkcjonować; ostatni numer ukazał się w sobotę 26 czerwca. Presja na gazetę narastała od dłuższego czasu. Od sierpnia 2020 r. w więzieniu siedzi jej założyciel i działacz demokratyczny Jimmy Lai. Ostatnio władze lokalne, posłuszne Pekinowi, zamroziły majątek i konta firmy wydającej pismo, a do aresztu pod zarzutem „spiskowania z zagranicznymi siłami" trafiła grupa pracowników gazety, w tym redaktor naczelny Ryan Law i dyrektor wydawnictwa Cheung Kim-hung. Na zdjęciu: dystrybucja jednego z ostatnich wydań „Apple Daily". Hongkong, 24 czerwca 2021 r. ©℗ WP / ARD, FAZ

Jak Władimir Putin nęci Niemcy

ANNA ŁABUSZEWSKA

Prezydent Rosji chętnie sięga po historyczne okazje, aby porozmawiać z Europą. Ostatnio, w związku z 80. rocznicą napaści Niemiec na sowieckiego sojusznika, napisał dla niemieckiego odbiorcy artykuł, który ukazał się w tygodniku „Die Zeit". Znalazł się w nim zestaw lukrowanych treści, np.: „Czerwonoarmista przyszedł na niemieckie ziemie nie po to, aby mścić się na Niemcach, lecz ze szlachetną wielką misją oswobodziciela". O geopolitycznych planach Stalina ani słowa, o gwałtach i grabieżach również.

Od historii Władimir Putin szybko przechodzi do współczesności i stwierdza, że winę za fatalny stan stosunków między Unią Europejską a Rosją ponosi rusofobiczny Zachód. Powtarza propagandowe tezy, że bezpieczeństwo na kontynencie zostało zniszczone za sprawą rozszerzenia NATO na wschód. Przesłanie jest jasne: nie zniesiemy dalszego zbliżania się Sojuszu do granic Rosji; granic, których przebieg sami ustalamy (kilka dni później jakby potwierdzeniem tych słów stał się incydent na Morzu Czarnym, gdzie Rosjanie ostrzelali brytyjski okręt znajdujący się na wodach międzynarodowych, po zajęciu Krymu uznawanych przez Moskwę za rosyjskie; okręt płynął na ćwiczenia NATO).

W tekście w „Die Zeit" Putin wychodzi, jak się zdaje, z propozycją układu: zapomnijmy o wojnie w Gruzji, Krymie (jest rosyjski i basta!), Donbasie, hakerach, zestrzelonym samolocie. Uwierzcie, jestem pokojowo nastawiony, zróbmy sobie pokój na kontynencie od Lizbony do Władywostoku, bez mówienia o nieprzyjemnych stronach historii ani wybrykach rosyjskich specsłużb jeżdżących z nowiczokiem po Rosji i Europie.

Zamieszczenie tego apelu w Niemczech w rocznicę napaści Hitlera na Związek Sowiecki nie jest przypadkiem. Putin liczy na to, że w Niemcach zagra poczucie winy za wojenne zbrodnie i kieruje pod adresem Berlina ofertę wspólnych działań na rzecz pogodzonej z Rosją Europy – bez USA i na jego, Putina, warunkach. Czy przynęta chwyci? ©℗

Więcej w serwisie:
tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka

Izrael: Delta atakuje

PONAD 100 TYSIĘCY OSÓB wzięło udział w paradzie równości, która w miniony piątek przeszła ulicami Tel Awiwu. Temperatura sięgała 30 stopni i tylko nieliczni mieli maseczki, stosując się do zalecenia dotyczącego imprez na wolnym powietrzu, wydanego kilka godzin wcześniej przez ministra zdrowia.

Od południa w piątek wrócił też nakaz noszenia maseczek w zamkniętych pomieszczeniach – to za sprawą mutacji Delta (zwanej też indyjską), która charakteryzuje się większą zakaźliwością, a którą, jak stwierdzono, zakażają się też osoby zaszczepione. Na lotnisku Ben Guriona wzmocniono kontrole. Od dłuższego czasu wszyscy wracający z zagranicy muszą robić na lotnisku dodatkowy test na koronawirusa. Teraz ci Izraelczycy, którzy mimo zniechęcających komunikatów władz wybiorą się w podróż zagraniczną, będą musieli podpisać deklarację, że nie pojadą do krajów wysokiego ryzyka. Za złamanie tej zasady grozi kara 5 tys. szekli (5,8 tys. zł). Otwarcie granic dla zaszczepionych turystów, planowane na 1 lipca, przeniesiono na sierpień.

Nowy premier Naftali Bennett zapewnia, że rząd nie planuje kolejnych ograniczeń, jeśli ludzie zastosują się do obecnych. „Maseczki zamiast restrykcji, szczepionki zamiast lockdownów" – mówił o swej strategii. W Izraelu 55 proc. mieszkańców jest zaszczepionych dwoma dawkami.

Tymczasem w niedzielę 27 czerwca odnotowano 114 nowych zachorowań, spowodowanych głównie Deltą; to szósty dzień z rzędu, gdy liczba dziennych infekcji przekracza znów sto. Ministerstwo zdrowia podaje, że obecnie choruje prawie 1200 osób, w tym kilkadziesiąt ciężko. Chezi Levi, dyrektor generalny w ministerstwie zdrowia, przyznał wcześniej, że wśród nowych zakażeń 40-50 proc. to osoby zaszczepione. Dotąd nie notowano natomiast przypadków, które wskazywałyby, że szczepionka Pfizera, najpopularniejsza w Izraelu, nie chroni przed ciężkim przebiegiem.

©℗ KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
z Tel-Awiwu

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

SPIDERMAN U PAPIEŻA
Podczas środowej audiencji generalnej Franciszek przez chwilę rozmawiał z mężczyzną przebranym za Spidermana. Nie był to chwyt reklamowy Marvel Studios, jak podejrzewali niektórzy, ale akcja promocyjna wolontariatu wśród chorych dzieci. Mattia Villardita – 27-letni działacz społeczny – pokazał się w stroju, w jakim odwiedza dzieci w szpitalach.

FRANCO ORIGLIA / GETTY IMAGES

NOWE STATYSTYKI NADUŻYĆ
W okresie od 1 lipca 2018 r. do 31 grudnia 2020 r. wpłynęło do diecezji oraz zakonów męskich 368 zgłoszeń dotyczących wykorzystywania seksualnego osób małoletnich – wynika z danych zaprezentowanych przez Biuro Delegata Episkopatu ds. Ochrony Dzieci i Młodzieży. Zgłoszenia dotyczą 292 księży oraz zakonników. 10 proc. zgłoszeń zostało uznane za niewiarygodne. Aż w 60 proc. przypadków wykorzystanie trwało dłużej niż rok.

ŚWIĘTO OSÓB STARSZYCH
25 lipca pod hasłem „Ja jestem z tobą przez wszystkie dni” na życzenie Franciszka będzie obchodzony w Kościele pierwszy Światowy Dzień Dziadków i Osób Starszych. Osoby, które wezmą w nim udział, będą mogły uzyskać odpust zupełny pod zwykłymi warunkami.

Kardynał Dziwisz także na celowniku

EDWARD AUGUSTYN

Watykan oficjalnie potwierdził, że prowadzi dochodzenie „w sprawie zaniedbań” byłego metropolity krakowskiego. Komunikat nuncjatury jest reakcją na medialną burzę wywołaną słowami ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, który opowiedział o swoim przesłuchaniu przez przedstawicieli Stolicy Apostolskiej. Pojawiły się głosy, że papież stracił zaufanie do polskiego episkopatu i że powołał „specjalną komisję” do zbadania roli kard. Dziwisza w ukrywaniu największych skandali pedofilskich z czasów pontyfikatu Jana Pawła II.

Sama informacja o postępowaniu nie jest zaskakująca. W marcu Państwowa Komisja ds. Pedofilii informowała o złożeniu do prokuratury doniesienia na czterech biskupów – w tym Dziwisza – za niedopełnienie obowiązku powiadomienia organów ścigania o przestępstwie. Chodziło o sprawę księdza z diecezji bielsko-żywieckiej (część metropolii krakowskiej), który w latach 80. wykorzystywał seksualnie ministrantów. Wiadomo było – choć wciąż nieoficjalnie – że zarzutami zajęła się także Stolica Apostolska.

Nowa jest wiadomość, że postępowanie prowadzi kard. Angelo Bagnasco, były arcybiskup Genui. Najwyraźniej Watykan, chcąc uniknąć zarzutów o stronniczość, powierzył sprawę hierarsze, który nie zawdzięcza kariery sekretarzowi polskiego papieża (co w polskim Kościele jest rzadkością). Ale nic nie wskazuje, by sprawą zajmowała się „specjalna komisja” – wydaje się, że postępowanie przebiega w normalnym trybie, w oparciu o przepisy „Vos estis lux mundi” z 2019 r., na podstawie których ukarano w ostatnim czasie siedmiu polskich biskupów.

Z komunikatu nuncjatury dowiadujemy się też, że kard. Bagnasco spędził w Polsce 10 dni i „spotkał się z szeregiem osób”, co świadczy o poważnym podejściu do sprawy i – być może – rozstrzygającym charakterze wizyty. Czytamy też, że przedmiotem dochodzenia są lata 2005–2016, a więc tylko czas kierowania przez Dziwisza archidiecezją krakowską.

Nad wnioskami z raportu będą teraz głosować członkowie Kongregacji ds. Biskupów. Potem papież wyda ostateczną decyzję, którą zapewne wkrótce poznamy. ©℗

Za, a nawet przeciw: Watykan i prawo o homofobii

STOLICA APOSTOLSKA nie jest przeciwna antydyskryminacyjnym przepisom – zapewnia kard. Pietro Parolin po ujawnieniu jego poufnej notatki do ambasadora Włoch o zastrzeżeniach Watykanu wobec nowych przepisów o homofobii.

Sekretarz stanu tłumaczy, że obawy budzi nie sama ustawa, ale jej nieprecyzyjność: za dyskryminacyjne może zostać uznane mówienie o wyższości małżeństwa kobiety i mężczyzny nad związkiem homoseksualnym – a więc nauczanie Kościoła.

Sprzeciw budzi też obowiązek świętowania „Narodowego dnia walki z homofobią” w szkołach i instytucjach – także katolickich. Watykan uważa, że zakaz dyskryminacji, jak najbardziej słuszny, nie może być równoznaczny z nakazem afirmacji.

„Nota werbalna” to w dyplomacji najbardziej delikatna i poufna forma zwrócenia uwagi na problem – wyjaśnia sekretarz stanu. I dodaje, że papież był powiadomiony o treści i formie notatki, choć z pewnością nie spodziewał się, że zostanie ujawniona i wykorzystana politycznie, zwłaszcza przez prawicę, która walczy o całkowite odrzucenie ustawy. ©℗ EA

Więcej na **powszech.net/zaanawetprzeciw**

Duch spotkania

BY WSPÓLNIE MEDYTOWAĆ i rozmawiać o swoich najgłębszych pragnieniach duchowych, 25-27 czerwca w Kielcach spotkali się chrześcijanie, żydzi, buddyści, sikhowie i ludzie, którzy nie przynależą do żadnej tradycji religijnej.

Festiwal „Duchowość – rekapitulacje” zorganizowało Stowarzyszenie im. Jana Karskiego. Kilkadziesiąt osób z całej Polski (liczba ograniczona ze względu na obostrzenia epidemiczne) uczestniczyło w warsztatach kontemplatywnych i filozoficznych, pokazach filmów, wernisażu wystawy fotografii Andrzeja Ziółkowskiego „The Inward Moment. Człowiek wobec sacrum”, wieczorze polskich sikhów...

Warsztaty i medytacje prowadzili Maciej Bielawski, Aleksander Poraj-Żakiej, Tomasz Stawiszyński i Bogdan Białek.

Kulminacyjnym momentem spotkania była niedzielna, obejmująca wiele tradycji medytacja w intencji pokoju, na otwartej przestrzeni, w miejscu męczeństwa kieleckich Żydów podczas likwidacji getta. ©℗ PIOTR SIKORA

AXELLE / BAUER-GRIFFIN / GETTY IMAGES

Wolność artystki

CHCĘ ODZYSKAĆ SWOJE ŻYCIE – zadeklarowała przed sądem w Los Angeles piosenkarka Britney Spears (na zdj.). Odkąd 13 lat temu przeszła załamanie nerwowe, pieczę nad żyjącą w blasku dziennikarskich fleszy amerykańską „księżniczką muzyki pop" sprawuje ojciec. Jamie Spears zarządza nie tylko szacowanym dziś na 60 mln dolarów majątkiem córki, podejmuje także decyzje dotyczące jej kariery i zdrowia. W przejmującym, pełnym emocji wystąpieniu 39-letnia artystka zeznała, że nie wolno jej samodzielnie zrezygnować nawet ze stosowania środków antykoncepcyjnych.

Po krótkim pobycie w szpitalu psychiatrycznym na początku 2008 r. uznana za niepoczytalną Spears cały czas pracowała – pojawiała się na planach seriali, nagrywała płyty, koncertowała. Wedle słów piosenkarki próby odmowy występów kończyły się często podawaniem jej silnych, odurzających leków. Przerwę w karierze ogłosiła dopiero w 2019 r. Niedługo potem premierę miał film dokumentalny odsłaniający kulisy jej sporu z ojcem, dziennikarze upublicznili również dokumenty, z których wynika, że gwiazda od kilku lat bezskutecznie walczy o uwolnienie spod rodzicielskiej kurateli.

Britney Spears to jedna z największych gwiazd muzyki popularnej, już jako nastolatka trafiła na pierwsze miejsca list przebojów. Pracowała m.in. z Madonną, Michaelem Jacksonem i Mickiem Jaggerem. Według magazynu „Billboard" jest artystką, która sprzedała najwięcej płyt w pierwszej dekadzie XXI w.

Kolejną rozprawę wyznaczono na 14 lipca.

©℗ MOCH

KULTURA W SKRÓCIE

WYRÓŻNIENIE
Projekt filmu „Rajskie ptaki" Tomka Duckiego zdobył nagrodę NEF Animation Prize na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Animowanych w Annecy. Dzięki wyłonieniu pomysłu Duckiego spośród ponad czterystu zgłoszeń reżyser będzie miał szansę pracować nad filmem we Francji.

POŻEGNANIE
Choć na koncie ma także filmy animowane, znany był przede wszystkim z kapitalnych adaptacji „Akademii Pana Kleksa". W wieku 77 lat zmarł Krzysztof Gradowski – wielokrotnie nagradzany reżyser i scenarzysta, kawaler Orderu Uśmiechu.

UPAMIĘTNIENIE
W Newark odsłonięto pierwszy w Wielkiej Brytanii i drugi na świecie pomnik Ireny Sendlerowej. Z zawodu pielęgniarka, podczas niemieckiej okupacji stworzyła sieć łączniczek, które lokowały w bezpiecznych miejscach żydowskie dzieci przemycane z getta. W ten sposób uratowano ich najprawdopodobniej ponad 2500.

ODKRYCIE
Tak nisko w rzymskim Koloseum nie można było jeszcze spacerować. W minionym tygodniu, tuż po zakończeniu wieloletnich prac archeologicznych, udostępniono zwiedzającym podziemne korytarze amfiteatru. Na krótki czas – wnet zostaną ponownie zakryte nowoczesną posadzką.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

TADEUSZ IWAŃSKI
opowie Agnieszce Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM o sytuacji na Ukrainie (tekst na s. 50), w środę 30 czerwca o godz. 16.00.
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

Azja: dwie nowe populacje archaicznych ludzi?

SKAMIENIAŁOŚCI znalezione w Nesher Ramla w Izraelu – fragmenty czaszki i żuchwy pochodzące sprzed 120-140 tys. lat – opisano w „Science". Cechy anatomiczne sugerują pokrewieństwo z neandertalczykami. W tym samym miejscu natrafiono na narzędzia i ślady użycia ognia, które świadczą, że pod kątem technologii ludzie ci nie ustępowali żadnym swoim sąsiadom. Człowiek z Nesher Ramla to dowód, że na Bliskim Wschodzie przeszło 100 tys. lat temu było tłoczno – dochodziło tam do spotkań wywodzących się z Europy neandertalczyków, napływających z Afryki *Homo sapiens* i archaicznych mieszkańców Azji.

Społeczność tych ostatnich wzbogaciła się o nowy gatunek – *Homo longi*. Opisano go w „Innovations" na podstawie ponownie odkrytej czaszki z Harbinu (po raz pierwszy wykopano ją ponad 80 lat temu, ale zaginęła w czasie wojny japońsko-chińskiej). Pochodzi sprzed ok. 150 tys. lat. Anatomicznie ten okaz jest niemal identyczny z kilkoma innymi skamieniałościami z Chin, m.in. z czaszką człowieka z Dali, których dotąd nie przyporządkowano do żadnego konkretnego gatunku.

Nazwa *Homo longi* wcale nie musi się jednak przyjąć. Nie brak domysłów, że skamieniałości te reprezentują denisowian, znanych nam dotąd głównie z badań genetycznych.

©℗ ŁK

30 lat w CERN

1 LIPCA 1991 R. Polska oficjalnie stała się krajem członkowskim Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych CERN. Wstąpiliśmy do niej tak szybko, jak to tylko było możliwe po zmianie ustrojowej. Chociaż o CERN myśli się zwykle jako o ośrodku badawczym (Wielkim Zderzaczu Hadronów pod Genewą), jest to w istocie spora międzynarodowa organizacja, do której należą obecnie 23 państwa członkowskie, utrzymująca też formalne stosunki z 44 dalszymi krajami z całego świata.

Polacy brali udział w badaniach prowadzonych w CERN od samego początku jej istnienia, czyli od lat 50. W 1963 r. cudem udało się nam otrzymać status państwa-obserwatora – jako jedynemu krajowi zza żelaznej kurtyny. Początkowo naszą specjalnością były komory pęcherzykowe, z czasem włączyliśmy się we wszystkie główne kierunki badań, włącznie z tymi najsłynniejszymi, jak pierwsze wytworzenie atomu antywodoru w 1995 r. czy potwierdzenie istnienia bozonu Higgsa w 2012 r.

Obecnie ok. 80 Polaków na stałe pracuje w CERN, stanowiąc ok. 3 proc. kadry. Podobną skalę ma nasz udział w budżecie tej organizacji.

©℗ ŁL

KRÓL
HON
SHU

TEMAT TYGODNIKA

NOWY ZASIĘG KOŚCIOŁA

Pandemia przynajmniej na chwilę przygasła, a Kościół katolicki wraca do funkcjonowania bez sanitarnych obostrzeń. Czy zmieni się na lepsze?

PIOTR SIKORA

JACEK TARAN

W oczekiwaniu na niedzielną mszę wieczorną w opactwie benedyktynów w Tyńcu, 27 czerwca 2021 r.

Trzy tygodnie temu procesja Bożego Ciała w parafii św. Mikołaja w Gdyni była dla proboszcza Jacka Sochy oznaką przełomu. Było na niej ponad tysiąc osób – mniej więcej połowa z tych, którzy chodzili przed pandemią. Maszerowali z bębnami i gitarami, na znak pokoju mogli się do siebie uśmiechnąć – na świeżym powietrzu nie mieli maseczek. Ksiądz Socha poczuł wtedy, że wszystko wraca do normalności.

Teraz już wie: do kościoła nie wrócą wszyscy. Półtora miesiąca temu doliczył się na mszach jednej trzeciej osób, które wcześniej praktykowały. W niedzielę 20 czerwca – pierwszą, gdy nie obowiązywała dyspensa od osobistego uczestnictwa w mszy – frekwencja była niezła, ale jest za wcześnie, aby powiedzieć, ile osób rzeczywiście wróci do kościoła.

Powrót, nie powrót

Gdyński proboszcz mówi, że to okazja do przemyśleń: – Na ile przed pandemią byliśmy wspólnotą, która oferowała takie doświadczenie wiary, za którym ludzie będą tęsknić? – zastanawia się głośno.

W trakcie lockdownu parafia mogła funkcjonować dzięki ofiarności wiernych. Ksiądz Socha liczy, że z tacy, tak jak to było przed pandemią, znów zostanie „górka". I że umożliwi to na nowo organizację rekolekcji czy wyjazdów grup modlitewnych. A także działalność parafialnej spółdzielni socjalnej, która pomaga znaleźć pracę osobom zagrożonym wykluczeniem społecznym. – Bez tego wszystkiego nie przekażemy wiary – tłumaczy proboszcz.

Co zostanie po trzech falach pandemii? W ostatnich miesiącach grupę dzieci przygotowujących się do pierwszej komunii podzielono na mniejsze – to rozwiązanie, które parafia utrzyma. Ks. Grzegorz Malinowski, odpowiedzialny za przygotowanie do bierzmowania, mówi jednak: – Dla większości młodych pandemia nic nie zmieniła. Ich i tak nie było w kościele. Być może proces, który obserwuję od lat, przyspieszył. To wszystko.

Niektórzy uczestniczyli w spotkaniach online, inni tylko się logowali. Fikcją okazała się comiesięczna spowiedź. Ksiądz Malinowski wie, że dla niektórych z jego podopiecznych był to trudny czas: w konfesjonale tłumaczył, że myśli samobójcze to nie grzech, tylko powód, żeby pójść do psychologa. Żałuje straconej okazji na nawiązanie relacji z nastolatkami, bo większość spotkań odbył w maseczkach albo wirtualnie. „Nie poznam was z twarzy na ulicy", powiedział kiedyś do nich.

Teraz będzie wychodził na zewnątrz, wyciągał rękę, „walczył" o każdego. Mówi, że go to nie przeraża. Dlaczego? „Gdzie dwóch albo trzech gromadzi się w Moje imię, tam jestem pośród nich" – w trakcie izolacji zrozumiał znaczenie tych słów.

Po staremu?

Z tyłu widoczny las głów, po prawej stronie niemała kolejka chętnych do spowiedzi, w prezbiterium mnisi siedzący w stallach, bez maseczek ↦

↦ – ot, kolejna niedzielna msza w kościele pod wezwaniem świętych Apostołów Piotra i Pawła w opactwie benedyktynów w Tyńcu, na zachodnich przedmieściach Krakowa. Wrażenie normalności potęguje liczba samochodów stłoczonych na przyklasztornym parkingu – to też nowość po ostatnim roku.

Jest niedziela, 20 czerwca. Wedle opata, ojca Szymona Hiżyckiego, frekwencja na Eucharystii z pewnością zaczyna przypominać dawne czasy. – Dziś była mniej więcej dwukrotnie wyższa niż przed tygodniem – mówi.

– Zwiększony udział wiernych w niedzielnej mszy obserwujemy już od początku czerwca – dodaje brat Grzegorz Hawryłeczko, rzecznik prasowy opactwa w Tyńcu. – Po porównaniu trzech pierwszych tygodni czerwca z okresem przed pandemią widać, że liczba uczestniczących w liturgii nie odbiega od tego, co zwykliśmy widzieć w przeszłości. A przychody z tacy są nawet wyższe.

Także Dom Gości w Tyńcu wraca do normalności. – W ostatnich miesiącach liczba i sposób przyjmowania gości zależały od aktualnie obowiązujących obostrzeń – tłumaczy rzecznik. – Bywały także okresy, gdy nasz dom był zupełnie zamknięty. Traktujemy jego prowadzenie jako część charyzmatu benedyktyńskiego, angażowaliśmy się więc z całych sił w przyjmowanie gości, w taki sposób, jaki w danym okresie był możliwy.

Setki mszy

Na początku czerwca rząd, przychylając się do apeli biskupów, zdecydował o poluzowaniu obostrzeń dotyczących liczby uczestników nabożeństw w kościołach. Od niedzieli 27 czerwca limit wynosi 75 proc. miejsc w danym kościele, ale nie wlicza się do niego osób zaszczepionych. W praktyce oznacza to, że kościoły już legalnie mogą być pełne. Zniesienie przez episkopat dyspensy od uczestnictwa w niedzielnej mszy, która obowiązywała od prawie roku, to moment symboliczny – próba powrotu do zwykłego, przedpandemicznego funkcjonowania Kościoła.

Z wielu badań socjologicznych wynika, że uczestnictwo w nabożeństwach w świątyniach jest zwykle dla wierzących Polaków ważniejszym wyrazem wiary niż indywidualna modlitwa albo inne formy aktywności religijnej (czytanie Biblii, zaangażowanie w ruch religijny itp.). Pandemia radykalnie ograniczyła tę możliwość.

Już na początku lockdownu, w maju 2020 r., ok. 40 proc. parafii prowadziło transmisję mszy w internecie. To całkiem sporo, choćby biorąc pod uwagę często zaniedbywane wcześniej parafialne strony internetowe.

Jak ta liczba wyglądała później, dokładnie nie wiemy – danych jeszcze nie ma – ale przez ostatni rok właściwie co niedzielę można było łatwo trafić (np. dzięki szybko powstałej wyszukiwarce nabożeństw online) na kilkaset mszy z co najmniej kilkudziesięciu kościołów. Zarówno z największych sanktuariów, jak Jasna Góra czy Łagiewniki, przez kościoły prężnych duszpastersko zakonów – jezuitów, dominikanów czy benedyktynów z Tyńca – po najmniejsze parafie.

Rozmowy nad tacą

Internetowe duszpasterstwo nie ograniczało się do mszy – zwłaszcza tam, gdzie i przed pandemią byli aktywni księża czy zaangażowani świeccy.

Przykład? Wrocławscy dominikanie zorganizowali internetowe spotkania biblijne, formacyjne, teologiczne, kursy przedmałżeńskie oraz przygotowania do bierzmowania. Uczestniczyli w nich katolicy z całej Polski. Przez pewien czas zakonnicy prowadzili także indywidualne rozmowy online, by towarzyszyć duchowo ludziom w trudnej sytuacji – okazało się jednak, że ci woleli bezpośrednie spotkania w reżimie sanitarnym.

Jak mówi o. Andrzej Kuśmierski, ludzie są stęsknieni bezpośredniego kontaktu: – Z drugiej strony wielu wiernych spoza Wrocławia chce nadal uczestniczyć w naszych spotkaniach. Na razie będziemy przyglądać się sytuacji – czas wakacji jest trochę inny – trwałe decyzje podejmiemy jesienią. Na pewno będą jakieś spotkania w formie hybrydowej, zostawimy też transmisję mszy, choć jednej dziennie, bo prosi nas o to wielu ludzi – zapowiada dominikanin.

Czy nie przeszkodzi to wiernym przychodzić do kościoła?

– Niekoniecznie. Już w ostatnich tygodniach frekwencja zbliżała się do tej sprzed pandemii – mówi o. Kuśmierski. – Zresztą poza internetem nauczyliśmy się też innych rzeczy. Na przykład ze względów sanitarnych zbieraliśmy na tacę nie w kościele, lecz po mszy, na zewnątrz. I okazało się, że to znakomita okazja do spotkań oraz rozmów z ludźmi. Więc taka taca już zostanie.

O chęci do spotkań bezpośrednich mówi też mieszkający w Łodzi prof. Marek Kita ze wspólnoty Chemin Neuf. Zastrzega jednak: – Dzięki połączeniom online odkryliśmy nowe możliwości, z których dobrze będzie nie rezygnować. Na przykład w niedawnym dniu formacji ekumenicznej mogliśmy się połączyć z ks. Tomášem Halíkiem, który nie musiał wybierać między przemawianiem do nas a prowadzeniem dnia skupienia w Czechach.

To jedna z kościelnych lekcji z pandemii – przy pomocy internetowych komunikatorów można prowadzić wiele wspólnotowych form życia religijnego: rekolekcje ignacjańskie (z indywidualnym towarzyszeniem duchowym), dni skupienia, spotkania medytacyjne. Robili tak m.in. jezuici, wspólnota Chemin Neuf czy Ruch Odnowy Kontemplacyjnej. Co więcej, miały one często wielokrotnie większą liczbę uczestników niż rekolekcje stacjonarne. Zamiast kilkudziesięciu – dwustu, trzystu.

– Spotkałem wiele osób, które przez lata nie mogły przyjechać na rekolekcje – mówi prowadzący wirtualne dni skupienia jezuita Dariusz Piórkowski. – Nie dlatego, że nie chciały, ale z powodu choroby, sytuacji rodzinnej albo tego, że np. wyemigrowały do Norwegii. Na pewno będę kontynuował takie internetowe dni skupienia.

Relacje i zasięgi

Katarzyna Pszczółka z krakowskiej wspólnoty Głos na Pustyni podkreśla, że spotkania online umożliwiły dotarcie do ludzi, którzy nigdy by nie przyszli na spotkanie modlitewne, spory zaś wysiłek, jakiego wymagało przygotowanie działań w sieci, scementował ludzi, którzy już wcześniej znali się ze wspólnoty.

– Gdy możliwości spotkań były tak ograniczone, pandemia pozwoliła nam głębiej odkryć wartość relacji, poczucia przynależności i konkretnych gestów, gdy np. komuś na kwarantannie robiliśmy zakupy albo wysyłaliśmy paczkę osobie w izolacji. Dostawaliśmy też wiele maili od ludzi, którzy tego nie mają, i wyraźniej uświadomili sobie, jak im tego brakuje – mówi Pszczółka.

Z kolei w archidiecezji katowickiej Centrum Duchowości Ruchu „Światło-Życie", oprócz spotkań formacyjnych, od

ARTUR SPORNIAK

KS. KAZIMIERZ WYRWA: Pierwsze komunie trzeba robić w mniejszych grupach – dla każdej klasy osobno, a nie tak jak wcześniej, dla całej szkoły. Taka bardziej kameralna pierwsza komunia przeżywana jest bardziej pobożnie i bez tego całego rejwachu. W obsługę liturgiczną angażują się rodzice, nie dzieci.

Kościół pw. Zesłania Ducha Świętego, Kraków-Ruczaj, 20 czerwca 2021 r.

kilku lat organizowało comiesięczne Tyskie Wieczory Uwielbienia. Przed lockdownem na spotkania przyjeżdżało średnio ok. 2 tys. osób, głównie z aglomeracji śląskiej. Podczas pandemii uruchomiono streaming i uczestnictwo wzrosło do 30 tys. osób.

– Oczywiście – mówi jeden z liderów ruchu Aleksander Bańka – nie wiemy, ilu z tych ludzi głęboko się modliło, a ilu oglądało spotkanie sprzątając mieszkanie. Ale mamy sygnały z całej Polski, a nawet z zagranicy, że nasza transmisja umożliwiała głębokie przeżycie duchowe. Wiemy też, że duży zasięg, jaki osiągnęliśmy, sprawił, że wiele podobnych grup chce po powrocie do spotkań u siebie, na miejscu, przejąć wiele elementów naszego sposobu modlitwy. Po pandemii transmisje zostaną.

Słowa Bańki ilustrują kolejną zmianę: jednym z najważniejszych efektów przeniesienia duszpasterstwa do internetu będzie zwiększone oddziaływanie „silnych" ośrodków na to, co będzie działo się w parafiach w mniejszych miejscowościach. Chodzi tu np. o wpływ na indywidualną duchowość ludzi, którzy dotąd nie mieli możliwości wyjechać na zamknięte rekolekcje – a teraz przeżyli je u siebie w domu. Ale również o sposób funkcjonowania grup modlitewnych, które będą przejmować metody podpatrzone w sieci.

Pozostaje pytanie: czy pandemia wpłynie na jakość kaznodziejstwa? Są powody do ostrożnego optymizmu. Transmisje mszy celebrowanych przez znanych z dobrych homilii dominikanów z klasztoru w Łodzi miały nawet 30 tys. wyświetleń. Wielkanocna liturgia Triduum Paschalnego – powyżej 50 tys. Być może ludzie „osłuchani" z dobrym kaznodziejstwem będą teraz stawiać większe wymagania swoim duszpasterzom, a dostępność lepszych wzorców (duża część homilii pozostanie w sieci) pozwoli księżom ulepszyć kaznodziejski warsztat.

Na wielkim osiedlu...

W pierwszą niedzielę po zniesieniu dyspensy ks. Kazimierz Wyrwa, proboszcz liczącej 12 tys. stałych mieszkańców parafii Zesłania Ducha Świętego na osiedlu Ruczaj w Krakowie, szacuje, że na dwóch porannych mszach frekwencja niemal wróciła do stanu sprzed pandemii. – Ale na tych późniejszych ludzi było coraz mniej – mówi.

Dobrze to widać z balkonu kościoła podczas odprawianej w południe Eucharystii – jedynie co trzecie miejsce było zajęte. I to nawet gdyby doliczyć sporo osób, które w nabożeństwie uczestniczyły na zewnątrz, gdzie gdy zrobiło się cieplej, wyniesiono ławki. W sumie zajęta była co najwyżej połowa miejsc siedzących. Przed pandemią na tej mszy część ludzi musiała stać.

Również taca nie wróciła do stanu z początku 2020 r. Proboszcz szacuje, że zbiera się teraz ok. 70-80 proc. ówczesnej kwoty. Ale bywały miesiące chudsze – ze spadkiem do 25 proc.

Podczas pandemii spowiedź odbywa się w kaplicy. Wierni wchodzą pojedynczo, klękają na klęczniku w dość dużej odległości od siedzącego bokiem spowiednika. – Na razie to rozwiązanie zachowamy – zapowiada ks. Wyrwa, choć jednocześnie przyznaje, że zdarzały się osoby, które nie chciały się spowiadać w kaplicy i prosiły o spowiedź w konfesjonale. Pozostanie też – przynamniej przez pewien czas – transmisja mszy w internecie. Pytany o przemyślenia związane z pandemią, proboszcz bez zastanowienia mówi: – Pierwsze komunie trzeba robić w mniejszych grupach – dla każdej klasy osobno, a nie tak jak wcześniej, dla całej szkoły. Taka bardziej kameralna pierwsza komunia przeżywana jest bardziej pobożnie i bez tego całego rejwachu. W obsługę liturgiczną angażują się rodzice, nie dzieci.

Zdaniem ks. Wyrwy, nie warto zmieniać formy kolędy, czyli wizyt duszpasterzy w domach parafian. Wadą organizowanych podczas pandemii mszy dla poszczególnych bloków była anonimowość uczestników. Z tego samego powodu proboszcz z krakowskiego osiedla nie sądzi, by bezpośrednie spotkania zostały zastąpione zajęciami online albo formą hybrydową.

...i w małej wsi

Jest też inna rzeczywistość. W parafii Koszarawa na Żywiecczyźnie (woj. śląskie) po zniesieniu ograniczeń zmieni się niewiele. Co zostanie? – Na razie transmisje ↦

mszy w internecie – mówi proboszcz ks. Krzysztof Kozieł. – Z myślą o chorych – dopowiada po chwili.

Tę niewielką, liczącą ok. 2100 wiernych beskidzką parafię covid dotknął podobnie jak sąsiednie – w minionym roku zmarło tu 40 osób, o jedną czwartą więcej niż w latach poprzednich.

Na początku wytyczne w sprawie zasad przychodziły z kurii, ale proboszcz mówi, że weryfikowała je praktyka: – W pierwszych tygodniach ludzie przyjęli ograniczenia z pokorą. Potem pytali: „Skoro możemy chodzić do sklepu, to czemu nie do kościoła?". I myśmy kościoła nie zamknęli.

Ks. Kozieł umieścił przed wejściem informację, że w środku może być tylko 30 osób. Mówi, że tłumaczył parafianom sens ograniczeń: – Dyspensa dotyczyła uczestnictwa w mszy świętej w kościele. Nie było dyspensy od piątego przykazania: „nie zabijaj". Dlatego, powtarzałem, musimy słuchać lekarzy, naukowców. Ale przecież ludzi z kościoła wyrzucać nie będę.

W podobnej jak parafia w Koszarawie sytuacji – formalnego przestrzegania ograniczeń, lecz w praktyce funkcjonowania z niewielkimi tylko zmianami – były inne lokalne wspólnoty. Realnie, być może, większość mniejszych parafii w kraju. To sprawiło, że niedziela 20 czerwca nie różniła się w nich od poprzednich.

– Ludzie wracali do kościoła już od wiosny – mówi ks. Kozieł. – Nie mogli się doczekać. Nawet w czasie największych ograniczeń, gdy na mszy mogła przebywać tylko rodzina, która zamówiła intencję, mieliśmy tu taką, która co tydzień podjeżdżała na parking, słuchała nabożeństwa przez internet, a gdy kościół robił się pusty, wchodziła przyjąć komunię.

Zdaniem proboszcza, finansowo parafia nie odczuła minionego roku. – Ofiarność ludzi jest wystarczająca, nie mam obaw o przyszłość. Prace remontowe prowadziliśmy zgodnie z planem. Co się zmieni tego lata? Myślę, że ludzie zaczęli bardziej się otwierać na innych. Zwłaszcza teraz, gdy wiedzą, że już wolno – odpowiada.

Co dalej

Jest więc, jak widać, różnie. Z podróży po parafiach i wspólnotach w całej Polsce trudno wyprowadzić jednoznaczne wnioski. Są miejsca, w których pandemia – wbrew pierwszym intuicjom – zaznaczyła się w niewielkim stopniu. Dla innych była okresem kolosalnej zmiany, która zostanie na długo.

Jednak niemal we wszystkich głosach ludzi z tych kościelnych środowisk, które na poważnie wzięły sanitarne ograniczenia, ale także intensywnie rozwinęły działalność w internecie, da się wyczuć napięcie. Oto bowiem, z jednej strony, obecność w przestrzeni wirtualnej stworzyła okazję do nawiązania kontaktu z ludźmi, z którymi fizyczne spotkanie było dotąd trudne lub wręcz niemożliwe. A że był to kontakt na egzystencjalnie głębokim poziomie, pojawiły się nierzadko realne i bliskie – choć wirtualne i zdalne – więzi. Prawdziwa wspólnota niezależna od przestrzennego dystansu.

Z drugiej zaś strony sanitarny dystans społeczny wyostrzył świadomość, jak bardzo jesteśmy – my, ludzie – cieleśni. Jak bardzo potrzebujemy fizycznego, bezpośredniego spotkania oraz jak wybrakowane bywają nowoczesne środki zdalnej komunikacji.

Na koniec pojawia się więc fundamentalne pytanie o naturę międzyludzkiej wspólnoty. W kontekście religijnym dochodzą inne podstawowe dla chrześcijaństwa kwestie: jakie są warunki uczestnictwa w sakramentach? Czy potrzebna jest do tego fizyczna obecność? Jaka jest właściwa struktura kościelnej wspólnoty? Czy musi być lokalna? Czy możliwe byłyby parafie wirtualne?

Są też pytania konkretne: jak nie zerwać więzi zawiązanych i utrzymywanych przez internet, a jednocześnie zaspokoić tęsknotę za spotkaniem na bliżej niż kilka metrów, z możliwością dotyku, dzielenia wspólnej przestrzeni?

Od żadnego z tych pytań polski Kościół już nie ucieknie.

©℗ PIOTR SIKORA

Współpraca: Marcin Choduń (Tyniec), Jan Rybicki (Gdynia), Artur Sporniak (Kraków), Marcin Żyła (Koszarawa)

LUCYNA NENOW / POLSKA PRESS / EAST NEWS

Nasze inne konfesjonały

KS. GRZEGORZ STRZELCZYK, PROBOSZCZ W TYCHACH:

Parafialna grupa na Facebooku liczy teraz więcej ludzi niż chodzących do kościoła. To znaczy, że niektórzy z zewnątrz podglądają życie wspólnoty. Jeśli korzystają z naszej pracy – cieszę się.

ARTUR SPORNIAK: Wczoraj Ksiądz nie mógł rozmawiać, bo był umówiony z parafianami na grilla. Jak się udał?

KS. GRZEGORZ STRZELCZYK: Ludzie przyszli, więc chyba się udał.

Kto przyszedł?

To był grill organizowany co roku dla nauczycieli z naszej parafii. Była ich ponad połowa, mniej więcej tyle samo, co przed pandemią.

Rozumiem, że ważny jest kontakt z ludźmi także poza liturgią.

Na liturgii jest obecność, kontakt jest poza nią. Ten grill jest naszą tradycją. To nic wyjątkowego.

KS. GRZEGORZ STRZELCZYK
jest teologiem specjalizującym się w chrystologii, adiunktem na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Dyrektor Ośrodka Formacji Diakonów Stałych Archidiecezji Katowickiej. Od sierpnia 2019 r. proboszcz w parafii św. Maksymiliana Marii Kolbego w Tychach.

Ksiądz zaprosił najpierw na mszę – domyślam się, że to należy do tradycji. Ale takie dopowiedzenie to chyba już nie: „Na grillu mile widziani będą i ci, którzy nie będą na mszy, z ateistami, agnostykami włącznie". Przyszli?

Nie wiem, bo nie pytam o wiarę przed podaniem kiełbaski.

Było piwo?

Było. Ja akurat jestem abstynentem, więc piłem bezalkoholowe.

Czy ten parafialny grill to znak, że najgorsze mamy za sobą?

Na podstawie tego, co wiemy ze statystyk, można już było w miarę bezpiecznie spotkać się na świeżym powietrzu.

Po pandemii wrócimy do tego, co było, czy Kościół będzie musiał się zmienić?

Do tej pory staliśmy przed pytaniem, jak organizować duszpasterstwo w sytuacji, w której dużo ludzi długo funkcjonowało w wewnętrznej duchowości bez jej zewnętrznych form. Teraz chodzi o to, jak wrócić do przeżywania wspólnotowego, opartego o wewnętrzne formy duchowości. Jak to się będzie kształtować – tak naprawdę nie wiemy.

Teraz mamy sytuację odreagowania popandemicznego. Ludzie mieli tak dość ograniczeń i zakazów, że na wszystko pójdą. Nawet do kościoła. Byleby nie siedzieć w domu. Paradoksalnie możemy mieć w kościołach więcej ludzi niż dawniej. Jak będzie, okaże się za jakiś czas.

O ile więcej ludzi przyszło do kościoła w niedzielę, gdy zniesiono dyspensę od obecności na mszy?

Myślę, że o ok. 50 proc. więcej. W stosunku do frekwencji sprzed pandemii było ok. 70 proc. Ale nie liczyłem dokładnie.

Rok temu, czyli w szczycie pierwszej fali, CBOS zapytał Polaków m.in. o powrót do kościołów po pandemii i aż 40 proc. pytanych odpowiedziało, że już nie wróci. Co Ksiądz na to?

Najpierw należałoby zapytać o metodologię tych badań. Nie znamy zdarzenia analogicznego do pandemii, do którego moglibyśmy się odnieść. Więc na razie to gdybanie. Staram się obserwować sytuację i reagować na bieżąco.

Metodologia była prosta – pytano ludzi o opinię. Zapytano m.in. o religijność. 12 proc. stwierdziło, że ich religijność wzrosła, i byli to głównie ludzie już regularnie chodzący na msze. 10 proc. respondentów – głównie słabiej związanych z Kościołem – odpowiedziało, że ich religijność zmalała. Wniosek był taki, że pandemia pogłębia wiarę u osób mocno wierzących, a osłabia ją wśród tych wierzących słabo.

Każda sytuacja trudniejsza egzystencjalnie przynosi takie rezultaty.

Inny wynik był ciekawszy: 16 proc. ludzi niechodzących do kościoła zaczęło regularnie oglądać transmisje mszy online, a 60 proc. zrobiło to przynajmniej raz.

Te 60 proc. zapewne obejrzało z ciekawości.

Pandemia przyśpieszy sekularyzację?

Podejrzewam, że w perspektywie globalnej będzie jednym z czynników, które wpłyną na jej wzrost. Ten proces raczej nie będzie działać w drugą stronę. Będzie też zróżnicowany lokalnie.

Co dobrego w Kościele wymusiła dotąd pandemia?

Na pewno większe zainteresowanie internetem jako narzędziem komunikacji. Wcześniej ten kanał w Kościele zasadniczo kulał. W tej chwili są narzędzia i nauczono się nimi posługiwać. Wiele parafii nie miało swojej strony internetowej, nie mówiąc o obecności w mediach społecznościowych. To się poprawiło. Internet przydaje się, jeżeli ma się coś do zakomunikowania. Jest wtedy szansa na stworzenie płaszczyzny do budowania więzi.

Ilu Ksiądz ma parafian?

Parafia liczy ok. 4,5 tys. ludzi. Ostatnie liczenie przed pandemią wykazało, że do kościoła chodzi ok. 1300 osób.

Wasza parafialna grupa na Facebooku liczy 1559 osób. To więcej niż chodzących do kościoła.

To znaczy, że jakaś część jest z zewnątrz i podgląda życie parafii. Jeśli ci ludzie korzystają jakoś z naszej pracy, cieszę się.

Grupa powstała pod koniec sierpnia 2019 r., gdy objąłem parafię. Na początku pandemii liczyła ponad 600 członków. Gdy wprowadzono pierwsze restrykcje, szybko zaczęła rosnąć. W ciągu dwóch tygodni przybyło ze 300 nowych członków.

Ksiądz komunikuje się codziennie z parafianami na tej grupie. To zdaje się przynosić m.in. taki skutek, że w przeciwieństwie do wielu innych proboszczów, podczas lockdownu nie miał Ksiądz kłopotów z tacą.

Od początku mojego probostwa w Tychach co tydzień publikowałem, ile zbieramy podczas niedzielnej tacy. Przy frekwencji na mszach ograniczonej z powodu restrykcji do 50 osób taca spadała do np. 143 zł. Ten wynik także podałem na stronie grupy, po czym w poniedziałek wpłynęło ok. 70 przelewów na konto parafii, a w kolejne dni pojawiały się następne przelewy. W sumie w ciągu tygodnia otrzymaliśmy większą sumę niż taca niedzielna przed pandemią. To się utrzymało do dzisiaj.

Wracając do tego, co pandemia przyniosła dobrego: zwiększyła chyba świadomość ludzi, że tworzą Kościół domowy, że np. to niekoniecznie Ksiądz musi pobłogosławić wodą święconą mieszkanie, ale mogą to zrobić sami.

↦

↦ Elementy indywidualnej religijności zdecydowanie się pogłębiły. Oczywiście tam, gdzie ludzie tego chcieli. Pogłębiła się także świadomość tego, czym jest sakrament jako łaska, czyli działanie Boże w człowieku.

Samo przejście na przyjmowanie komunii duchowej, poprzedzonej aktem żalu doskonałego, jeśli ich sumienie wyrzucało im grzech ciężki, wymagało pokonania religijnej rutyny. Ale wystarczyło trochę im pomóc – wyjaśniając, na czym polegają komunia duchowa i żal doskonały oraz że nie są to praktyki wymyślone doraźnie, tylko funkcjonujące w Kościele od wieków – żeby przynosiło to owoce w postaci pogłębienia świadomości. To jednak sprawa indywidualna: w jednych to się dokonało, w innych nie.

Po czym to Ksiądz poznaje?

Pandemia wywołała potrzebę głębszej rozmowy. Pojawiły się desperackie reakcje: „Muszę z kimś porozmawiać – może to być nawet ksiądz!". Ludzie dzwonili, żeby się wygadać. W pewnym momencie w Tychach była bardzo wysoka śmiertelność. Wtedy miewaliśmy dwa-trzy takie telefony dziennie.

Czy do dobrych skutków pandemii zaliczyć też można przełamanie rutyny z kolędą? W wielu miejscach mieszkańcy bloków czy poszczególnych ulic byli zapraszani do kościoła na specjalnie dla nich sprawowane msze.

Ten pomysł był różnie odbierany, w zależności od tego, jaka była relacja ludzi z duszpasterzem. Bywały miejsca, w których ludzie komentowali to tak: „Na kolędę przyjść nie chcą, ale kopertę chcą i jeszcze trzeba im zanieść".

A Ksiądz jak zorganizował kolędę?

Uzgadniałem godziny i łączyłem się z poszczególnymi rodzinami na platformie internetowej Zoom.

I to się udało?

Połączyło się ok. 20 proc. z tych, którzy normalnie przyjmują księdza po kolędzie. To i tak bardzo dobry wynik, bo parafia należy do tych starzejących się, a wielu starszych ludzi nie korzysta z internetu.

Niedawne bierzmowanie przebiegało w dwóch grupach. Warto rozwijać takie kameralne duszpasterstwo?

U mnie rodzice nie poszli np. w indywidualną pierwszą komunię. Pewnie była to też kwestia klas integracyjnych i dzieci, które lepiej się czują w grupie. Natomiast ciekawy efekt dało ograniczenie w celebracji wszystkich rzeczy dodatkowych – wierszyków, przemówień, podziękowań itp. Nic dzieciaki nie robiły oprócz skupiania się na komunii. Gdy rozmawiałem z rodzicami, to najpierw dzielili się niezadowoleniem, że pierwsza komunia będzie taka ogołocona i surowa, a potem byli zaskoczeni, bo dzieci były lepiej nastawione na przyjęcie komunii.

Wcześniej popełnialiśmy prosty błąd – angażowaliśmy dzieci w celebracje. Żeby żadne nie czuło się pominięte, wręcz wymyślało się im zadania, by wszystkie coś robiły. I rzecz oczywista: jeśli dziecko dostało np. czytanie liturgiczne, to emocjonalnie bardziej się skupiało na nim niż na przyjęciu komunii. To nam pandemia uświadomiła.

Pandemia wywołała często potrzebę głębszej rozmowy. Pojawiły się desperackie reakcje:
Muszę z kimś porozmawiać – może to być nawet ksiądz!

Kto czytał tym razem?

Rodzice.

Z bierzmowaniem było podobnie?

Bierzmowanie to orka na ugorze. My, duszpasterze, nie mamy pewności, kto wśród dopuszczanych do bierzmowania jest wierzący, a kto jest niewierzący i ulega tylko presji rodziny lub grupy. Nie chcę o tym rozmawiać.

A różne szalone pomysły? Np. pewien niemiecki proboszcz z Hanoweru wynajął stadion, aby odprawić tam pasterkę dla możliwie dużej liczby osób.

Pandemia zmusiła nas do improwizacji, bo dotychczasowe metody nagle odpadły. Ale ta improwizacja zawsze była odniesiona do konkretnej wspólnoty i konkretnych możliwości. Dlatego nie ma sensu ocenianie poszczególnych pomysłów bez znajomości tego kontekstu. Ja mogłem sobie pozwolić na kolędę na Zoomie, ponieważ moi parafianie byli przyzwyczajeni, że komunikujemy się elektronicznie i że wychodzą z tego fajne rzeczy. To mogłoby się nie udać np. w parafii, w której komunikacja elektroniczna nie była używana wcześniej.

Podczas kolejnych trzech fal pandemii w kaplicy w Księdza kościele wisiała kartka: „Kaplica tylko do spowiedzi". Warto wracać do konfesjonałów?

Już do nich wróciliśmy. Przy niskim odsetku zachorowań, akcji szczepień, używaniu maseczek i dezynfekowaniu się przed i po wyjściu z konfesjonału – spowiedź jest relatywnie bezpieczna.

Myślałem bardziej o intymnych warunkach, jakie daje odrębne pomieszczenie.

To pan nie widział naszych konfesjonałów. Są zamykane i od strony spowiednika, i od strony penitenta. Jest miejsce na wjechanie wózkiem dla niepełnosprawnych. Jest tam okno, żeby ludzie z klaustrofobią czuli się komfortowo, a krata jest odsuwana, więc można też normalnie rozmawiać.

Co warto zachować z tego przełamania kościelnej rutyny podczas pandemii?

Wszystko to, co się sprawdziło lokalnie. W naszej diecezji jest proboszcz, który ma na imię Marek. Wymyślił, że robi „nocne Marki" – raz w tygodniu wieczorem łączył się na Zoomie z parafianami i można z nim było pogadać. Warto, żeby to zachował. Może ktoś to skopiuje? Teraz powinniśmy skatalogować te wszystkie pomysły i zrobić z nich propozycje duszpasterskie.

Świetnie się też sprawdzały wszelkie formy solidarnościowe. W czasie pandemii wzrosła wrażliwość. Był taki tydzień, że przez naszą stronę facebookową przeszło umeblowanie dwóch pokoi. Jedna rodzina chciała się pozbyć jakichś mebli, inna – jeszcze innych, a trzecia akurat tego szukała. W naszej parafii takie ogłoszenia działają: ktoś wystawia coś rano, a w południe jest to już u nowego właściciela.

Są pierwsze pomysły na duszpasterstwo hybrydowe.

Internet miał duży zasięg, ludzie wciągali się w grupy z różnych miejsc Polski. Część może się teraz spotykać jak przed pandemią, ale dla innych jest za daleko, a nie chcą tracić kontaktu. Duszpasterze odpowiadają na mieszane, wirtualno-realne zapotrzebowanie.

Dostaliśmy narzędzia, które pozwalają się sprawnie komunikować, i głupio byłoby z tego nie korzystać. Pytanie brzmi: z jaką dynamiką będziemy mieć do czynienia? W tej chwili ludzie są zmęczeni internetem i tęsknią za spotkaniami w realu. Prawdopodobnie gdy nasilająca się obecnie alergia na spotkania internetowe opadnie, te narzędzia hybrydowe się przydadzą.

Tu jest jeden kłopot techniczny – kwestia parafii terytorialnych. W pewnym momencie pół Polski „chodziło" na msze do abp. Grzegorza Rysia. To jest pewne wyzwanie. Jeśli chodzi o samą mszę, to jeszcze pół biedy. Gdy jednak mówimy o formacji w grupach duszpasterskich, zaczyna się to komplikować. Gdy ktoś ze Szczecina chce uczestniczyć w grupie duszpasterskiej u mnie w Tychach, to czy ja się powinienem na to godzić, jeżeli mamy zamiar zachować parafię terytorialną?

Czy można sobie wyobrazić parafię online albo hybrydową?

To nie takie proste. Są kwestie jurysdykcji, wymogów prawa kanonicznego, kto chrzci, kto nie chrzci, gdzie to jest zapisywane, kto asystuje przy sakramencie małżeństwa itd. W sytuacji wyjątkowej dopuszczamy wyjątki. Ale przejście do innego modelu na stałe wiązałoby się z poważnymi zmianami w prawie kanonicznym.

W Kościele są już przecież parafie personalne.

Ale są ograniczone do konkretnych grup ludzi i organizuje się je z ważnych powodów.

„Myślę, że sytuacja ta może być dla wszystkich okazją do odświeżenia doświadczenia wiary przeżywanej w domu, w rodzinie. Nie przegapcie tego, proszę!" – napisał Ksiądz na grupie parafialnej w marcu 2020 r. Pandemia pogłębiła ten rodzinny wymiar wiary. Czy rola księdza nie zmalała?

Rodzina pozostaje częścią parafii. Jest wspólnotą pierwotną – parafia to wspólnota wyższego rzędu. Obecność i aktywność księdza jest jednym z symboli trwania więzi wspólnotowych. Ludzie mają też tego potrzebę.

Zastanawiając się nad wyzwaniami pandemii, ks. Andrzej Draguła pisał w „Tygodniku" o dwóch modelach księdza: pośrednika między Bogiem a ludźmi oraz przewodnika albo moderatora wspólnoty. Kim się Ksiądz bardziej czuje?

Jest jeden tylko pośrednik między Bogiem a ludźmi – Jezus Chrystus.

Czyli bardziej moderatorem?

Bardziej się czuję towarzyszem ludzi.

Co to znaczy? Odbieranie telefonów o każdej porze dnia i nocy?

Na przykład. My, księża, jesteśmy wytrenowani do pewnych zadań w Kościele. Ludzie muszą mieć świadomość, że jesteśmy i że mogą z naszej obecności skorzystać. Ale to oni decydują, czy i jak. Nie układamy im życia.

Co Księdzu dały te ponad dwa lata probostwa?

Na pewno ogromną przyjemność podstawowego funkcjonowania jako duszpasterza.

Chodzi o kontakt z ludźmi?

Kontakt i rodzaj odpowiedzialności wyznaczonej granicami parafii. To bardzo specyficzne i bardzo fajne rzeczy.

A jak by to Ksiądz rozwinął...

Najprościej: decydowałem się na bycie księdzem, bo widziałem, że ludzie potrzebują pewnego typu posługi i pewnego typu obecności w związku ze swoim doświadczeniem wiary. Minęło ponad 30 lat od moich powołaniowych decyzji i widzę, że to się ciągle sprawdza. Reszta naprawdę jest intymna.

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Dobre namioty

Po czterdziestu latach pustynnej tułaczki Dzieci Izraela są gotowe, by wkroczyć do Ziemi Obiecanej. Rozbijają obóz przy granicy Moabu, nad którym władzę sprawuje – na mocy unii między Moabitami a Madianitami – madianicki król Balak, syn Cipora. Do Balaka dotarły wcześniej niepokojące wieści o zwycięstwie Izraelitów nad uznawanymi za potężnych amoryckimi władcami Sichonem i Ogiem. Król i jego świta, a niechybnie i poddani, obawiają się nadchodzących zdobywców. Balak wynajmuje więc słynnego proroka Balaama, aby przeklął Dzieci Izraela. Balaam podejmuje trzy próby, ale za każdym razem (Lb 23, 7-10 i 18-24 oraz 24, 1-9) z jego ust – miast przekleństwa – pada błogosławieństwo.

Prorok patrzy z oddali na izraelicki obóz i widzi „Izraela mieszkającego według swoich szczepów" (24, 2). Tak wyjaśnia to najsłynniejszy żydowski komentator: „Zobaczył, że każdy szczep mieszka oddzielnie i nie mieszają się. Zobaczył, że ich wejścia nie są umieszczone jedno naprzeciw drugiego, by nie zaglądać sąsiadowi do namiotu". Mimo zamieszkiwania klanami, Dzieci Izraela przywiązują wagę do ochrony prywatności każdej rodziny, co znajduje odzwierciedlenie w sposobie rozbicia namiotów i rozplanowaniu obozu. Podczas czwartej próby z ust Balaama płyną słowa: „Jak dobre są twoje namioty, Jakubie, twoje siedziby, Izraelu" (24, 5). Namioty i siedziby można rozumieć nie tylko dosłownie – drugi egzegeta widzi w nich również aluzję do innych przybytków: namioty to domy nauki, siedziby zaś – synagogi i Świątynia.

Jak Talmud to interpretuje? Balaam „zobaczył, że ich wejścia nie są umieszczone jedno naprzeciw drugiego – powiedział: są godni, by spoczęła na nich *Szechina* (Boża Obecność)". W „Księdze Baal Szem Towa" – antologii nauk twórcy chasydyzmu, zredagowanej przez jego uczniów – czytamy m.in.: „Kiedy dwóch uczniów spiera się ze sobą, czasami nie przyznają [że to, co powiedział kolega, jest] prawdą, lecz ich intencją jest zaprzeczyć słowom kolegi. Choć sam dobrze wie, że kolega miał rację, mimo to ma zamiar się spierać, żeby popisać się swoją własną wiedzą. Jednakże prawdziwym celem dyskusji jest dotarcie do prawdy. Wówczas wypełnia to, co powiedzieli nasi mędrcy błogosławionej pamięci w Pirkej Awot [jednym z traktatów talmudycznych]: »Dwaj, którzy siedzą razem i są między nimi słowa Tory – *Szechina* przebywa wśród nich«. Przecież usta nazywa się »wejściem« – tamtędy wychodzi mowa. Tak wyjaśnili »ich wejścia nie są umieszczone jedno naprzeciw drugiego«: ich intencją podczas dyskusji nie było przeciwstawianie się i spieranie, lecz mieli zamiar dotrzeć do prawdy. Dlatego Talmud mówi: »byli godni, by spoczęła na nich *Szechina*«". A my – też jesteśmy? ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Pochwała chwiejności

Jezus, jako prawowierny Żyd, poszedł w szabat do synagogi i wygłosił kazanie. Jego rodacy nie mogli wyjść z podziwu. Doskonale znali Jezusa. Wiedzieli, że jest „On cieślą, synem Maryi", znali „Jego braci i siostry", i nie mogli pojąć, jakim prawem rości sobie pretensje do bycia kimś, kim nie jest i być nie może, i nie powinien. Trudno sąsiada, którego zna się na wylot, postawić na równi choćby z Ezechielem, do którego Bóg mówił: „Synu człowieczy, wstań. Będę do ciebie mówił. (...) posyłam cię do Izraelitów, do ludu buntowników, którzy wystąpili przeciwko Mnie. (...) Posyłam cię do nich, abyś im powiedział: Tak mówi Pan Bóg. Oni zaś, czy usłuchają, czy nie – są bowiem narodem buntowniczym – będą wiedzieli, że jest wśród nich prorok".

Buntowniczy naród? Zwykle takie i podobne cierpkie opinie, wygłaszane przez Jezusa czy apostołów, ale i współczesnych głosicieli słowa Bożego, odnosimy do Żydów, zapominając, że też należymy do Ludu Bożego – i to do nas i o nas mówi Bóg przez Biblię. Nie lubimy odnosić do siebie takich gorzkich słów krytyki, wolimy trzymać się tego, co już wiemy o Bogu, ludziach i świecie. A to, co jawi się nam jako nowe i nie mieści się w naszych głowach, z oburzeniem odrzucamy. Przecież mocno wierzący nie może pozwalać sobie na wątpliwości, które budzą w nas te, a jakże, soborowe i Franciszkowe „nowinki". Przecież wątpiąc w cokolwiek, czego Kościół naucza, grzeszymy. Przy czym naukę Kościoła mylimy z tym, co zmagazynowaliśmy w naszych głowach jeszcze w dzieciństwie, czy też z tym, co nam wciskają do głowy i serca samozwańczy głosiciele „prawdziwej prawdy" – tylko im objawionej. Tymczasem siłą napędową wiary, czyli umiejętności nieustannego odnajdywania Jezusa w wydarzeniach codziennego dnia i współpracowania z Nim, nie jest pozorowana, lękliwa pewność własnych przekonań, ale właśnie wątpliwości.

Siostra Faustyna Kowalska w „Dzienniczku" pisze: „Jedna siostra, starsza już wiekiem (...) powiedziała mi (...), że zdaje jej się, że wszystkie spowiedzi jej są źle odprawione i że ma wątpliwości, czy też jej Pan Jezus przebaczył. (...) Wieczorem w czasie benedykcji usłyszałam w duszy te słowa: Powiedz jej, że więcej rani moje serce jej niedowierzanie aniżeli grzechy, które popełniła". W innym miejscu dodaje: „Chociaż dusza odróżnia zaraz fałszywe natchnienia od Bożego, jednak niech będzie ostrożna, bo wiele rzeczy jest niepewnych. Bóg lubi i cieszy się, kiedy dusza nie dowierza Jemu samemu dla Niego samego; dlatego że go kocha, to jest ostrożna i pyta się, i sama szuka pomocy, aby stwierdzić, czy to naprawdę Bóg jest, co w niej działa". A ks. Tomáš Halík pointuje: „Co nie jest chwiejne, jest nietrwałe". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Słowo i czyn

Gdy chcesz mieć nasiono, musisz rozbić łupinę. (...) Gdy dusza znajdzie to Jedno, w którym wszystko jest jednym, w Nim pozostaje.

MISTRZ ECKHART

Miłość czysto ludzka jest świadoma. Powinna ona ujawnić miłość najwyższą – w której człowiek traci świadomość tego, kim jest.

IBN ARABI

Wybrał PIOTR SIKORA

Słowo jest zawsze odpowiednie do przeżywanej chwili. W ostatni dzień roku szkolnego czytaliśmy fragment Ewangelii o uzdrowieniu trędowatego – w zapisie św. Mateusza (Mt 8, 1-4), co w tym przypadku wiele znaczy. Każdy z synoptyków umieszcza bowiem to wydarzenie w nieco innym kontekście.

W zapisie Mateuszowym właśnie dobiegło końca Jezusowe „Kazanie na górze". Trzy pełne, kolejne rozdziały (Mt 5–7) Jezus wyłącznie nauczał. Teraz schodzi z góry, a postępujące za Nim tłumy nie kryją zdumienia Jego nauczaniem: „Uczył ich bowiem jak ten, który ma władzę, a nie jak ich uczeni w Piśmie" (Mt 7, 29).

Na następne dwa rozdziały (Mt 8–9) Jezus właściwie zamilknie. W miejsce rozbudowanych nauk pojawią się teraz cuda – miejsce słów zajmą czyny: nauczanie w słowach przejdzie w nauczanie przez dzieła.

Ewangelista uczyni nas świadkami aż dziesięciu mocnych znaków Jezusa: od oczyszczenia trędowatego, przez uzdrowienie sługi setnika, teściowej Piotra i innych chorych w Kafarnaum, przez uciszenie burzy na Jeziorze oraz uleczenie opętanych Gadareńczyków, po uzdrowienie paralityka, niewiasty cierpiącej na krwotok i dwóch niewidomych, wskrzeszenie córki Jaira i uzdrowienie opętanego niemowy.

Oto lekcja dla wszystkich. Najpierw dla nauczycieli (przecież nie tylko tych „zawodowych"...): misji nauczycielskiej nie da się zredukować do nawet najbardziej kompetentnego „wykładu" – wiernego przedstawienia „doktryny", do przekazania „wiedzy". Trzeba jeszcze potem potwierdzić ów przekaz prawdziwym i aktywnym „byciem przy". W przeciwnym razie nauka nie okaże się dość „mocna". Jej moc nie bierze się jedynie z zachodzenia sylogizmów. Potrzebny jest jej bardzo walor świadectwa i „moc przekonywająca Miłości" (por. Flp 2, 1).

Jest też, oczywiście, pouczenie również dla uczniów.

Nie! Stanowczo nie wystarczy zdobycie i opanowanie wiedzy! „Wykucie jej na blachę", potwierdzone oceną czy świadectwem z paskiem. Trzeba się jeszcze otworzyć na to, czego przyjęte pouczenie może w nas dokonać.

Od oczyszczenia z trądu (a co za tym idzie – włączenia z powrotem do wspólnoty ludzi „niewykluczonych"), przez przywrócenie właściwego widzenia świata, aż po wyzwolenie z przemocy zła i powrót ze śmierci do życia.

Tak, stanowczo: Jezus nie chce wyłącznie tego, byśmy byli mądrzejsi... Oczekuje również, byśmy się stali inni, i żeby ta zmiana była naprawdę zasadnicza! ©

CZYTANIA LITURGICZNE (4 – 11 VII)

14. niedziela zwykła: Ez 2, 2-5; Ps 123; 2 Kor 12, 7-10; Mk 6, 1-6;
Poniedziałek: Rdz 28, 10-22a; Ps 91; Mt 9, 18-26;
Wtorek: Rdz 32, 23-32. 33b; Ps 17; Mt 9, 32-38;
Środa: Rdz 41, 55-57; 42, 5-7. 14-15a. 17-24a; Ps 33; Mt 10, 1-7;
Czwartek: Rdz 44, 18-21. 23b-29; 45, 1-5; Ps 105; Mt 10, 7-15;
Piątek: Rdz 46, 1-7. 28-30; Ps 37; Mt 10, 16-23;
Sobota: Rdz 49, 29-33; 50, 15-26; Ps 105; Mt 10, 24-33;
15. niedziela zwykła: Am 7, 12-15; Ps 85; Ef 1, 3-14; Mk 6, 7-13.

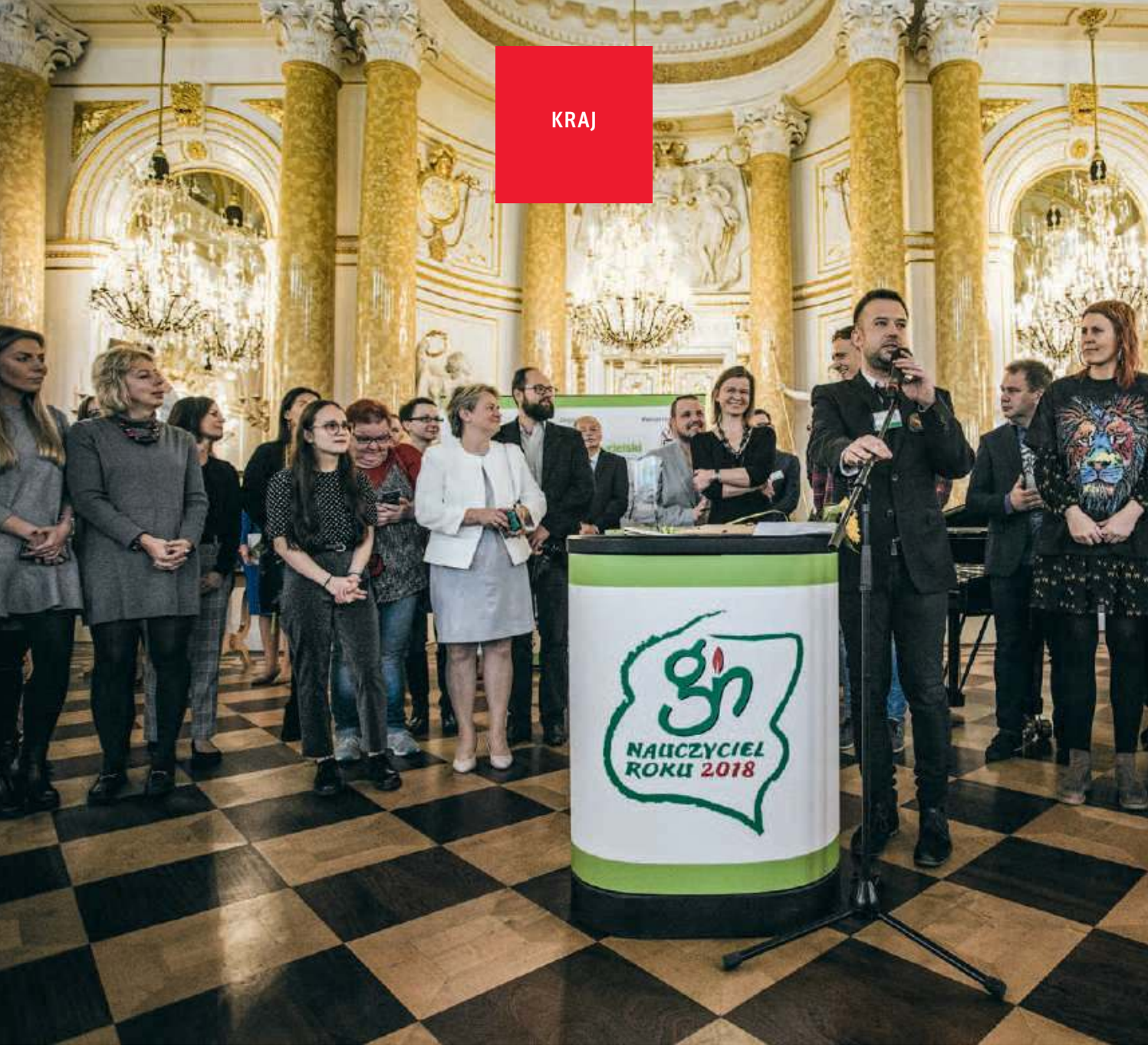

ŚWIERSZCZE W OTWARTYM SŁOIKU

PRZEMYSŁAW STAROŃ, NAUCZYCIEL I PSYCHOLOG:

Praca polskiego nauczyciela to niewielka przestrzeń wolności przy dramatycznej wręcz odpowiedzialności. To, że tak wielu z nas się jakoś trzyma, zakrawa na cud.

ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA GAZETA

Gala konkursu Nauczyciel Roku 2018. Przemysław Staroń odbiera nagrodę na Zamku Królewskim. Warszawa, 9 października 2018 r.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Wakacje!

PRZEMYSŁAW STAROŃ: Mnie akurat trudno myśleć o nich jako przerwie od jakiejkolwiek aktywności związanej z pracą.

Bo?

Bo nie jestem w stanie wziąć urlopu od tego, co dzieje się w edukacji zarządzanej przez ministra Przemysława Czarnka.

Jesteś z nim na wojnie.

Ale nie tylko o to chodzi: redaguję drugi tom mojej książki – kontynuację „Szkoły bohaterek i bohaterów", a także jestem zaangażowany w operacjonalizację wizji oświaty „Edukacja dla przyszłości", tworzonej w ramach Polski 2050 Szymona Hołowni. Co nie zmienia faktu, że cieszę się z rozpoczęcia wakacji.

To dziwny czas: dopiero co wróciliśmy do tzw. normalności, a już musimy od niej odpoczywać. Gdy wrócimy we wrześniu, może znowu zacząć się epidemiczna niepewność.

Ja mam ciągle z tyłu głowy, że o żadnym powrocie do normalności nie może być mowy. Po pierwsze, pandemia się nie skończyła. Po drugie, nie możemy wrócić do normalności, bo jej nigdy nie było – także przed marcem 2020 roku.

Co masz na myśli?

Polska szkoła była i jest zaprzeczeniem istoty edukacji, która najpełniej zachodzi w relacji i więzi. Nasza szkoła jest systemowo arelacyjna. Edukacja jest realnie możliwa tam, gdzie uczniowie czują się bezpiecznie i komfortowo – dokładnie odwrotnie niż w naszym systemie, opartym na przymusie i nieustannym ocenianiu. Edukacja udaje się wtedy, gdy jej uczestnicy doświadczają autonomii i wolności. A w polskiej szkole króluje podporządkowanie i kontrola.

Taka jest ta szkoła od dekad – nie od ministra Czarnka.

To prawda, ale w ostatnich latach przymus, kontrola i dławienie wolności gwałtownie się nasiliły. Znakiem firmowym tej ekipy jest deformacja. I nie chodzi jedynie o zniszczenie struktury, czyli gimnazjów i sześcioletnich podstawówek. To deformacja bazy wartości, włącznie z sięganiem po przemoc. Przykłady? Uruchomienie nagonki na nauczycieli i nauczycielki w czasie strajku z 2019 roku. Wielopoziomowa przemoc wobec środowiska LGBT+, do którego sam należę: walka z akcją „Tęczowy Piątek", nienawistne wypowiedzi, takie jak ta małopolskiej kuratorki Barbary Nowak, które spotkały się z aprobatą obozu władzy, a w ostatnim roku – wstrząsające wypowiedzi Czarnka.

Byłeś jednym z pierwszych polskich nauczycieli, którzy dokonali coming outu jako osoby homoseksualne. Ale ja chciałbym porozmawiać o innym Twoim coming oucie.

Miałem ich wiele, więc nie jestem pewien, o którym mówisz (*śmiech*).

Opowiadasz otwarcie o depresji.

To prawda, choć uściślając – chodzi o niekrycie się z tym, że biorę antydepresanty, mimo iż depresji jako takiej mi oficjalnie nie zdiagnozowano. Leki zostały mi przepisane ze względu na zaburzenia lękowo-depresyjne, które na pewnym etapie, ze względu na bardzo nasilone objawy psychosomatyczne, wzięto za depresję maskowaną. Leki były krokiem, który umożliwił mi kolejny: rozpoczęcie psychoterapii.

Depresja może i kojarzy się z nauczycielami, ale niekoniecznie takimi jak Ty: docenianymi, nagradzanymi, uwielbianymi.

Tak jak nie kojarzy się ze zdobywcami Oscarów. W ogóle z reguły nie kojarzy się depresji z sukcesem. Tymczasem lęk przed porażką, ale i sukcesem, oraz poczucie pustki po jego osiągnięciu to stany bardzo często spotykane. Pamiętam rozmowę ze swoją terapeutką, tuż przed galą finałową konkursu Nauczyciel Roku 2018, do którego zostałem zgłoszony. Zapytałem ją z niepewnością w głosie, co będzie, jak tym Nauczycielem Roku nie zostanę. A ona na to: a co będzie, jeśli nim pan zostanie?

Polski nauczyciel jest szczególnie narażony na depresję?

Na depresję i wszelkiego rodzaju zaburzenia emocjonalno-afektywne. Powiem więcej, to, że tak wielu z nas jeszcze się jakoś trzyma, zakrawa na cud. Albo wyjaśnienie jest inne – nasze psychiczne zaburzenia są po prostu maskowane psychosomatyką. Bólami głowy, kręgosłupa, problemami z głosem, układem pokarmowym itd.

Dlaczego tak jest?

Powód pierwszy z wielu – bo pracujemy z dużą liczbą ludzi, nieustannie „zbierając" ich emocje, nawet jeśli nie jesteśmy tego świadomi. I nie mamy zwykle możliwości, żeby je skanalizować, bo nie ma w naszym zawodzie superwizji.

Powinna być?

↦

↦ Naturalnie i bezwzględnie! Skoro bezwarunkowo jest potrzebna psychoterapeucie z dziesięciorgiem pacjentów tygodniowo, to dlaczego nie miałbym mieć do niej dostępu ja, wychowawca, nauczyciel ponad trzech setek uczniów rocznie, z których wielu chce mi coś powierzyć, z czegoś się zwierzyć, poprosić o pomoc, przychodząc do mnie najczęściej z wielkimi emocjami?

A ja i tak jestem w niezłej sytuacji – mam wykształcenie psychologiczne, pracuję jako psycholog, sam jestem w procesie terapii.

Za którą sobie sam zapłaciłeś.

O niczym innym nie może być mowy – system tego nie funduje.

W ogłoszonym niedawno raporcie Centrum Edukacji Obywatelskiej znajdziemy m.in. taką informację: połowa nauczycieli deklaruje, że po powrocie do stacjonarnej nauki potrzebuje wsparcia psychologicznego. Z innego raportu, przygotowanego przez Fundację Orange, wiemy z kolei, że połowa pedagogów nie ma dostępu do psychologa.

A ci, w których placówce pracuje psycholog szkolny, i tak nie bardzo mogą z jego pomocy skorzystać. Jest on przeznaczony głównie do pomocy uczniom, a nawet gdyby tak nie było, to wielu nauczycieli krępowałoby się, zwracając się po pomoc do kogoś, kto jest przecież częścią tej samej społeczności. Znam niejednego nauczyciela, którego od sięgnięcia po pomoc w szkole odwiodły myśli w rodzaju: „Co powiedzą inni? Że się skarżę na pracę? Na innych nauczycieli? Na dyrektora? Że sobie nie radzę?". Ani *de iure*, ani *de facto* polski nauczyciel w kryzysie psychicznym nie ma szans na systemową pomoc.

W „Szkole bohaterek i bohaterów" piszesz, że nie ma najważniejszej lekcji: o ludziach i ich emocjach. Rozumiem, że ta uwaga dotyczy też studiów pedagogicznych?

Oczywiście! Ujmę to metaforycznie. Jesteśmy krajem, w którym trzeba zrobić długi i trudny kurs, by jeździć samochodem. A równocześnie nikt nas nie uczy i nikt od nas nie wymaga kończenia kursu z poruszania się po drogach życia – swojego i innych.

Więcej niż co trzeci pedagog pytany o obszary, w których chciałby podnieść swoje kompetencje, wskazuje na radzenie sobie ze stresem i umiejętność rozwiązywania konfliktów. Na studiach się tego nie uczy?

Bardzo niewiele, mimo że stres jest nieodłącznym elementem tego zawodu, a konflikt – także ten na linii uczeń–nauczyciel – jest zjawiskiem permanentnym. Co ciekawe, dużo czasu i miejsca poświęca się np. na trening emisji głosu, bardzo potrzebny, ale w kontekście braku treningu psychologicznego jakby wyrwany z większej całości. Przecież od sfery psyche wszystko się zaczyna, także ta emisja głosu! Nawet nieustanne wpajanie nauczycielom zasady tzw. przeponowego mówienia zawiera ukryte założenie, że ten nauczyciel ma ciągle stać i przemawiać. Bo na to, by usiąść, zamilknąć, obserwować, oddać inicjatywę uczniom – co jest znacznie skuteczniejsze niż metoda „podawcza" – brakuje wielu pedagogom świadomości, pewności siebie i umiejętności. A brakuje, gdyż nikt ich w te kompetencje nie wyposażył.

Gdzie Ty je nabyłeś?

Mój przypadek nie jest reprezentatywny, bo ukończyłem też psychologię. Na KUL-u, gdzie studiował również nasz imiennik, minister Czarnek (*śmiech*).

Rozumiem, że sobie te studia chwalisz.

Wtedy psychologia na KUL-u to było coś, wybrałem ją świadomie – miałem na nią wstęp wolny dzięki zdobyciu tytułu finalisty Olimpiady Literatury i Języka Polskiego. Na studiach były np. zajęcia z dydaktyki, niesamowicie praktyczne, oparte na mnóstwie przypadków. To tam dowiedziałem się, że wciąganie nauczyciela w konflikt to jedna z najczęstszych sytuacji – główna strategia choćby dzieci z dysfunkcyjnych domów, pozwalająca im zostać w jakikolwiek sposób zauważonym. Większość nauczycieli wchodzi w ten konflikt jak w masło.

Jak go uniknąć?

Przerwać go. Już jako nauczyciel stażysta uczyłem w III klasie liceum wiedzy o kulturze. I wtedy w sytuacji narastającego konfliktu powiedziałem: „Słuchajcie, widzę, że gramy w jakąś grę, jakieś przeciąganie liny, ale w białych rękawiczkach. Ja z wami w tę grę nie wygram: jestem jeden, was jest wielu. No i w ogóle nie mam aspiracji do wygrywania. Chciałbym tylko dokończyć lekcję". Balon został przebity. Niby w prosty sposób, a jednak z jakiegoś powodu niedostępny wielu nauczycielom, bo nas tego się nie uczy.

Co może pomóc poza kompetencjami?

W tym systemie niewiele. Przecież tym czymś, co generalnie człowiekowi w kryzysie – i nie tylko – pomaga, jest poczucie sprawczości, wpływu na rzeczywistość. I na odwrót: tym, co go niszczy, wywołuje jeszcze większą degrengoladę, jest poczucie, że nic od niego nie zależy. A teraz zagadka: która z sytuacji jest typowa dla polskiego nauczyciela?

Od nauczyciela nie zależy nawet termin wypoczynku.

Nawet to! W pierwszych latach swojej zawodowej kariery zdarzało mi się kłócić o to z kolegami i koleżankami nienauczycielami. „Wy możecie sobie lecieć tanimi liniami w październiku albo lutym w dowolne miejsce – mówiłem. – Ja w lipcu na żaden lot nie mam pieniędzy".

Ale wakacje to jest drobiazg, są rzeczy fundamentalne.

Jakie?

Zacznijmy od tych najbardziej ogólnych – politycznych. Przecież my kompletnie nie mamy wpływu na to, co się wokół edukacji wyprawia. Był strajk, ale został rozbity.

A popierało go, jak się dowiadujemy ze wspomnianego raportu Fundacji Orange, 82 proc. nauczycieli.

Tylko co z tego, skoro jego postulaty zostały zignorowane, a nam zafundowano masową akcję szczucia?

Idźmy dalej, a w zasadzie niżej. Polski nauczyciel nie może liczyć na to, że jego kompetencje, pracowitość, zaangażowanie przełożą się w jakikolwiek sposób na to, jak będzie doceniany i wynagradzany. Mamy kostyczny, anachroniczny, nieuzasadniony wnioskami płynącymi z nauki system awansu zawodowego.

Pokonywanie kolejnych jego szczebli niekoniecznie zależy od kompetencji. Poza tym jest antymotywacyjny: bardzo szybko osiąga się najwyższy szczebel.

Nagrody, premie – też niekoniecznie zależą od tego, jaki jesteś dobry, bo i tak o wszystkim decyduje dyrektor. Ciężko jest w związku z tym stworzyć nauczycielowi bezpieczny i motywujący plan rozwoju zawodowego.

Sprawa kolejna: nawet pandemia, która generalnie wpłynęła na stopień elastyczności pracy, nie zmieniła trwale niczego w życiu nauczyciela. Zwróć uwagę, że na rynku pracy wiele rzeczy uległo przewartościowaniu. Pracownik X, jeśli jest częścią dobrej firmy i ma świadomego szefa, może sobie polecieć na miesiąc na Maltę i stamtąd pracować.

Przemek Staroń, nauczyciel etyki z Sopotu, leci w listopadzie na Maltę i przez miesiąc prowadzi stamtąd zdalne lekcje?

A dlaczego nie? Nauczanie zdalne nie było idealne, ale dlaczego z tych doświadczeń nie skorzystać? Dlaczego wybór formy zajęć znowu zależy od decyzji siedzącego za biurkiem pseudoministra Czarnka?

Dlaczego?

Bo pruski model nauczania, który obowiązuje nadal w Polsce, polega m.in. na tym, że nieważne są efekty pracy – grunt, by była ona widzialna, choćby była bzdurna, i dała się skontrolować.

I tak można by mnożyć przykłady pokazujące, że polski nauczyciel ma na niewiele rzeczy wpływ. Dodajmy nauczane treści, czytane z uczniami lektury...

Ale przecież sam jesteś przykładem, że jednak można mieć wpływ na to, co i jak się w szkole robi – w ramach oficjalnego programu bądź nawet wbrew niemu.

Tyle że po latach obowiązywania systemu opartego na kontroli i przymusie nie wymagajmy od każdego nauczyciela, że będzie chciał się buntować i konfrontować. Prawda jest taka, że część nauczycieli nie widzi już potrzeby większej sprawczości. W naszej pracy została zaburzona fundamentalna równowaga. Sednem funkcjonowania polskiego nauczyciela i polskiej nauczycielki jest bardzo mała przestrzeń wolności i autonomii, przy dramatycznej wręcz odpowiedzialności. To sprzyja zjawisku, które znamy pod nazwą wyuczonej bezradności: jak przywykłeś do sytuacji, że niewiele od ciebie zależy, to przestajesz też dostrzegać sens walki o siebie. To jak z zamkniętym w słoiku świerszczem, który po jakimś czasie izolacji i po iluś tam próbach wydostania się nie wylatuje na wolność, kiedy wieko jest już uchylone.

MICHAŁ RYNIAK / AGENCJA GAZETA

Przemysław Staroń na manifestacji „W rękach rządu nasza matura". Gdańsk, 23 kwietnia 2019 r.

PRZEMYSŁAW STAROŃ jest pedagogiem, z wykształcenia psychologiem i kulturoznawcą. Uczy m.in. etyki i filozofii. Nauczyciel Roku 2018, nominowany do międzynarodowej Global Teacher Prize. Autor bestsellerowej książki „Szkoła bohaterek i bohaterów, czyli jak radzić sobie z życiem" (Wydawnictwo Agora, Warszawa 2020). Ekspert ds. edukacji w Instytucie Strategie 2050.

Sztywne ramy – pracy, nauczanych treści, trybu lekcji – dają poczucie bezpieczeństwa?

Jestem pewien, że część nauczycieli miałaby problem z większą dozą wolności.

W „Szkole bohaterek i bohaterów" odpowiedzi na lęki i problemy młodych ludzi szukasz w opowieściach: z literatury, filmu, animacji, gier. Jakie opowieści nadają się dla znękanego epidemią – i nie tylko nią – polskiego nauczyciela AD 2021?

Najbardziej symboliczna, jaka przychodzi mi od razu do głowy, to „Cykada" Shauna Tana. O biurowym pracowniku, szarym robaczku wykonującym codziennie tę samą, niewidzialną pracę. Do czasu.

To Twoja rada: wyjść z roli cykady? Zbuntować się?

Tak. To esencja na absurd, który – jak mówił Camus – rodzi się, gdy wołanie człowieka spotyka się z milczeniem świata. Ale na bunt trzeba mieć siłę. Dlatego ja mam przekonanie, że jedyną drogą jest zaoranie tego systemu opartego na przymusie, braku autonomii i niszczeniu wewnętrznej motywacji – i ucznia, i nauczyciela. Właśnie dlatego postanowiłem walczyć o to w skali makro.

Dlaczego akurat w ramach Polski 2050 Hołowni?

Miałem wiele doświadczeń z różnymi osobami, organizacjami, partiami, które walczą o demokrację liberalną, krzyczą, jak PiS zniszczył oświatę, i... nic. Tak naprawdę nie rozumieją jej roli, a mówiąc prostym językiem – mają ją gdzieś. Szymon jako jedyny polityczny lider rozumie, że edukacja to klucz do wszystkiego. W dodatku ma do mnie zaufanie jako do eksperta, daje mi autonomię. Nawet jeśli istnieją obszary, w których się nie zgadzamy, robimy to, co jest istotą agory – rozmawiamy, argumentujemy. A już w ogóle nie ma mowy o tym, co jest standardem gdzie indziej, a co najlepiej pamiętam z sytuacji, gdy Paweł Rabiej dostał reprymendę od Rafała Trzaskowskiego za słowa o adopcji dzieci przez pary jednopłciowe i zaczął się tłumaczyć. W Polsce 2050 żyjemy standardami, o których boomerom się nie śniło.

To jest zresztą ideał do przeniesienia na grunt szkoły – nauczyciel musi mieć odwagę głoszenia swoich poglądów. I równocześnie musi stworzyć przestrzeń, by każdy z uczniów czuł się bezpiecznie w wyrażaniu własnych. A wracając do rad, o które pytałeś, dałbym jeszcze jedną: aby zadawać sobie pytania fundamentalne.

Jakie?

Czy na pewno chcę tu być? W tej szkole, z tymi nauczycielami, z tym dyrektorem? A jeśli tak – to czy na pewno chcę trwać w tym systemie?

Co jeśli odpowiedzi są przeczące?

A jak myślisz?

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA GAZETA

Okoliczni mieszkańcy oraz właściciele gospodarstw agroturystycznych protestują przeciwko budowie przemysłowych kurników w pobliżu cennych przyrodniczo terenów. Kruszyniany, 11 lipca 2019 r.

Przez kury taka złość poszła

BARTOSZ RUMIEŃCZYK

„Chcemy, żeby było, jak jest, a nie żeby śmierdziało" – mówią ci, którym w słynnych podlaskich Kruszynianach grozi widok z okna na wielkie fermy drobiu. „Jak można rolnikowi zabraniać się rozwijać?" – pukają się w głowę inni.

Nazywam się Dżenetta Bogdanowicz i jestem Tatarką, ale przede wszystkim Polką. Przyjechałam z Wielkopolski – przedstawia się, ale o kurnikach rozmawiać nie chce. Gdy więc Bronisław Talkowski, przewodniczący Muzułmańskiej Gminy Wyznaniowej w Kruszynianach przedstawia nas sobie, od razu zastrzegam, że chcę mówić o jej restauracji, odbudowanej po pożarze w 2018 r. Tatarskiej Jurcie, bo jej historia stanowi odbicie dziejów samych Kruszynian.

Ale zacznijmy od początku. Wertuję książeczkę od Talkowskiego pt. „Jest w tej wsi coś niezwykłego", w której etnografowie o Kruszynianach piszą: „Przez wieki mieszkali w niej razem wyznawcy islamu, prawosławia, judaizmu i katolicyzmu. Mieszkali nie tylko obok siebie, ale i ze sobą. Wspólnie pracowali, a niekiedy wspólnie świętowali". Mówi też o tym Dżemil Gembicki, opiekun meczetu, gdy żartuje, że ze wspólnych świąt to same problemy, bo nie ma kiedy pracować. Za meczetem leży mizar, cmentarz polskich muzułmanów, a przy wjeździe do wsi stoją krzyże: katolicki i prawosławny.

Meczet i mizar ściągnęły tu i Bogdanowicz, i Talkowskiego, a także uwagę Polski. W Kruszynianach mieści się centrum kultury tatarskiej, a meczet ma status pomnika historii i jest miejscem żywej wiary, na mizarze cały czas odbywają się pogrzeby. Wieś licznie odwiedzają dziś turyści, choć jeszcze nie tak dawno była na skraju wymarcia. Kilka lat temu okolicą wstrząsnęła jednak wieść, że tuż za Kruszynianami ma powstać ferma na 240 tys. brojlerów. W wyniku protestów inwestor, Marek Mentel, przeniósł się kilka kilometrów dalej, za Górkę, ale i tam spotkał się z oporem. Mówi, że wygrał w sądzie, ale prace stoją. Drugi inwestor, Adrian Pieśluk, chce również budować kurniki. Na 89 tys. brojlerów, między Górką a Kruszynianami. Decyzja ma zapaść w połowie lipca, więc mieszkańcy, a w ślad za nimi media biją na alarm: ta-

tarskie dziedzictwo zagrożone, natura w niebezpieczeństwie, będzie smród.

Ale jak to bywa z polskimi sporami, tak i w tym chodzi o coś więcej.

Nawałocz

– Mam korzenie udokumentowane na ziemiach polsko-litewskich od 1397 r. – mówi Talkowski. – W Kruszynianach od 1697 r. Jestem w prostej linii potomkiem pułkownika Samuela Krzeczowskiego, którego król Jan III Sobieski osadził tu wraz z oddziałem. Ojciec zawsze mówił: syneczku, jak kiedyś cię będzie stać, postaw tu dom. Na tej ziemi, którą nadał Tatarom król.

Talkowski tu się urodził, ale dorosłe życie spędził w Białymstoku, także na emigracji, w Kanadzie i USA. Tuż po wojnie jego ojciec został wywłaszczony, ziemię włączono w PGR.

Gdy komuna padła, ziemię wyprzedano za bezcen, a gminie i mieście Krynki wciąż ciężko się podnieść. Na tym tle Tatarzy to ludzie sukcesu, którzy odbudowali Kruszyniany, ale to tylko część tej opowieści, bo region chcą budować na nowo także przyjezdni. Mówią tu na nich „nawałocz". To chwast, co się nawlókł na te ziemie, jak miastowi, którzy za pieniądze zarobione w Warszawie pokupowali domy i teraz udają swojaków.

– Wśród nich są paniusie, które dzwonią na policję, bo kogut pieje rano, i wielcy greenpeace'owcy, co własne szambo wylewają na pola, a kury im śmierdzą. Chcą z nas zrobić zielone płuca Polski, a jedzenie skąd? Z Chin? Wolę nasze kurczaki, od rolnika, jak dawniej – takie opowieści słyszę na rynku w Krynkach, gdzie próżno szukać zrozumienia dla argumentów Stowarzyszenia Doliny Nietupy.

Stowarzyszenie jest stroną w sporze, a prezesuje mu Maciej Sidorowicz, znany szerzej z telewizyjnego programu „Rolnicy. Podlasie". Nie jest Tatarem, ale jest tutejszy. Z ojcem Pieśluka chodził do podstawówki, z Mentlem też się zna.

– Do jednego i drugiego pojechałbym pomóc, traktor z pola wyciągnąć na przykład, tylko że żaden do mnie nie zadzwoni. Nie pamiętam, kiedy ostatnio normalnie rozmawialiśmy. Tylko wyzwiska – zapewnia Sidorowicz.

– Blokujecie im interes – zauważam.

– Bo trzeba zachować te tereny w takim stanie, w jakim są. Ich zapóźnienie dziś jest zaletą – odpowiada prezes, który uważa przyciąganie „nawałoczy" za dobry kierunek rozwoju. – Wiele razy podnosiliśmy też argumenty o ptasiej grypie i co? Afera na cały kraj, gazowane całe kurniki, problemy z utylizacją. A jak u nas zakopaliby kilkadziesiąt tysięcy sztuk drobiu, to byłby fetor nie do opisania i skażenie wód gruntowych.

Drogi mamy gówniane, rozjeżdżą. Praca w kurniku? Tam wszystko zautomatyzowane. Ot, zlecenie, dla paru osób, za parę złotych. To żaden rozwój, a przekreśla to, co wypracowano tu przez lata.

Stanowiska i lokalizacje

Jedną inwestycję, tę Marka Mentla, już zablokował cietrzew. Przedsiębiorca mieszka na końcu Kruszynian, ale wywiadu nie udzieli. Mówi, że raz wypowiedział się dla telewizji, ale tak pocięli, że szkoda gadać. Adrian Pieśluk na rozmowę się zgodził, ale ostatecznie odmówił autoryzacji wypowiedzi.

Mentel w telewizji faktycznie nie wypadł korzystnie, choć na co dzień wypowiada się rzeczowo, bez zagubienia, przeciwnie, na jego twarzy maluje się zacięcie. Czuje się skrzywdzony przez mieszkańców, bo gdy przeniósł się z inwestycją za Górkę – w okolicy ma sporo ziemi kupionej już po transformacji – też się uczepili. Ostatecznie wygrał w Naczelnym Sądzie Administracyjnym, więc teraz mógłby wszystkich pozwać za utracone pieniądze, nerwy i zdrowie. Sobie nie ma natomiast nic do zarzucenia, choć już w 2016 r., podczas konsultacji społecznych prowadzonych przez burmistrz Krynek Jolantę Gudalewską, pokazał, że też nie widzi szans na porozumienie. Nie chciał wtedy zabrać głosu, więc oburzenie protestujących skupiło się na decyzji uzgadniającej warunki środowiskowe wydanej przez Regionalną Dyrekcję Ochrony Środowiska.

Talkowski streszcza zarzuty wobec decyzji dla inwestycji Pieśluka, które są bliźniaczo podobne do tych z 2016 r. – Brzmi, jakby dotyczyła pustyni. Mowy nie ma o walorach przyrodniczych – o programie Natura 2000, o Wzgórzach Sokólskich, o zagrożonych stanowiskach, na których występuje cietrzew.

Adrian Pieśluk zapewnia, że na jego działce cietrzew nie tokuje. By rozwikłać spór o to, powołano biegłego. Miał bezstronnie ocenić raport środowiskowy inwestora i zgłoszony kontrraport. Jak słyszę, jego bezstronność budzi jednak zastrzeżenia. Wertuję więc dokumenty i czytam, że biegły ostrzega przed używaniem programu Natura 2000 do załatwienia porachunków sąsiedzkich, a na szereg obaw odpowiada logiką rachunku ekonomicznego: jeśli inwestor nie zastosuje się do zaleceń, padnie mu drób i straci pieniądze. Dlatego – pisze biegły – nawet niedoskonały raport zostanie skorygowany przez życie.

„Odniosłem wrażenie, że przeciwnicy inwestycji zapominają o możliwości rozwoju gospodarczego" – zaznacza autor ekspertyzy i dodaje, że uważa „wybór miejsca na fermę za trafny". Jego zdaniem zakład nie będzie znacząco oddziaływać środowiskowo poza granicę działki.

Tuż obok miejsca planowanej inwestycji przewidziano teren pod program reintrodukcji cietrzewia, ale zdaniem biegłego inwestycja nie jest żadnym zagrożeniem.

Pytam Pieśluka o armatkę hukową, którą jego ojciec rokrocznie używa na działce. Mówi, że ojciec płoszył nie cietrzewia, a dziki niszczące uprawy, i przedstawia dokumenty, z których wynika, że sprawy zostały umorzone, choć wyroki na 1,5 tys. zł grzywny dalej wiszą we wsi. Wspomina też, że pod kontrraportem znalazły się podpisy osób, które go nie sporządziły, oraz zarzuca, że na jednej z list przeciwników fałszowano podpisy.

Rolnicy wyklęci

Przed wydaniem opinii zorganizowano wizję lokalną. Odbyła się 27 sierpnia 2020 r., na działce Pieślików i, co biegły skwapliwie odnotował, z grona protestujących nie pojawił się nikt. Dlaczego?

Pieśluk senior ma opinię człowieka upartego, niedającego nikomu dojść do słowa awanturnika. O politykę z obecnym sołtysem Górki tak się pokłócił, że nie rozmawiają już od roku. Sam zresztą był sołtysem, do roku 2018. Nie ubiegał się o kolejną kadencję, by zająć się interesami.

Gdy pytam delikatnie Adriana o to, co się mówi o jego ojcu, przekonuje, że wszystko wynika z chęci obrony syna, który chce działać, a ludzie się sprzeciwiają. A gdy pytam o to, kto grozi wieszaniem Tatarów, zapewnia, że to nie jego ojciec i że ktoś przesadza. Podkreśla też, że on sam konfliktu z Tatarami nie ma i że inwestycji sprzeciwia się raptem kilku właścicieli gospodarstw agroturystycznych. ↦

↦ Konflikt widać za to w sieci. Ludzie piszą, że polska flaga, która wisi na Jurcie Tatarskiej, dla właścicieli nic nie znaczy, albo że gdyby to była ubojnia baranów, a nie ferma kur, to Tatarzy by nie mieli nic przeciwko. A słowom Dżemila z meczetu o wspólnym świętowaniu przeczą stawiane dziś we wsi krzyże: katolicki i prawosławny, jakby na złość muzułmanom. Ktoś rozpuszcza plotki, że Talkowskiemu one przeszkadzają.

– Przeszkadza mi tworzenie atmosfery wojny religijnej. Cała wieś jest pod nadzorem konserwatora zabytków, ale wyraźnie powiedziałem: nie mam nic przeciwko krzyżom, niech stoją. Owszem, naprzeciw mojego domu już nie postawili, ale to dlatego, że sąsiad, nie muzułmanin, ich pogonił – prostuje Talkowski.

Podobno kasę dali na to niemiejscowi, w domyśle Pieślukowie, ale we wsi mówią też, że to inicjatywa ludzi z Kruszynian i że przecież nie tylko Tatarzy tu mieszkają, więc stąd krzyże.

Talkowski stwierdza też, że nigdy we wsi nie czuł się tak źle, jak teraz. Adrian Pieśluk kontruje, że jego ojciec nie jest złym człowiekiem, i przywołuje konkretne przykłady: kiedy i komu z sąsiadów pomógł.

Sąsiedzi potwierdzają: była pomoc, była przyjaźń z Talkowskim i z Pieślukiem, to przez te kury taka złość poszła.

Ta złość ma podłoże ekonomiczne, a głębokość korzeni zapuszczonych w tej ziemi ma większe znaczenie niż imię Boga, do którego ludzie się modlą. Jedni mówią, że nawet rdzenni Tatarzy popierają kurniki w odróżnieniu od Bogdanowiczów i Talkowskich, którzy ich zdaniem rdzenni nie są. A inni o Mentlu mówią, że nietutejszy, a ziemię to skupił tę, co Talkowskim komuna zabrała.

Są i tacy, co uważają, że Tatarom wolno więcej, mimo że wieś jest pod nadzorem konserwatora.

– Ile tu trzeba pozwoleń, by wybudować garaż na traktory? A jak pierwsza Jurta się spaliła, to już na drugi dzień się odbudowywali. Turystom się te pałace nie podobają, wolą prostą chatę – słyszę w przydrożnym sklepie z tatarskimi pamiątkami.

Sprzedawca żyje z turystów, których ściąga tu Bogdanowicz, ale bierze stronę inwestorów. – Przyjechała tu i zakazy chce wprowadzać. Dlaczego młody rolnik nie może w swoim kraju, na swojej ziemi inwestować i się rozwijać?

Młody rolnik ewidentnie nie życzy sobie też, by go miastowy pouczał. Głosy wsparcia dla niego na Facebooku idą często z profilów sławiących husarzy i żołnierzy wyklętych: „Nie podcinamy gałęzi, na której siedzimy. To, że mieszkańcy miasta, którzy osiedlili się w naszej gminie, mają zniekształcony obraz współczesnego rolnika (niepisaty, nieczytaty, ubabrany w gnoju), świadczy o nieznajomości otaczającego ich świata. (...) [N]ie jesteśmy dzikusami, którzy mają nosić łapcie i obwozić bryczkami łaskawie przybyłych pracowników korpo na wakacje”.

Adrian Pieśluk przekonuje mnie, że tu wcale nie chodzi o kury i kurniki. Więc o co?

Hodowla przyszłości

Sidorowicz jest rolnikiem, ma bydło i konie, pamięta dobrze komunę i PGR-y, na które pomstuje, choć nie tak namiętnie jak na współczesny kapitalizm.

– Rynek zglobalizowany utrudnił prowadzenie małych gospodarstw, wsie zaczęły się wyludniać. Z 10 małych gospodarstw zostaje jedno, które się rozrasta w duże, przemysłowe. To jak PGR, tylko że w tym wypadku bogaci się jeden rolnik, w oderwaniu od całej społeczności. Do ludzi popierających inwestycje te argumenty nie trafiają. Mówią jasno: w regionie nie ma pracy, więc bardzo dobrze, że coś się wreszcie zacznie dziać.

Sam młody Pieśluk mówi, że spośród jego rówieśników – jest z rocznika ’92 – niemal wszyscy powyjeżdżali. Na razie mieszka w Białymstoku, ale chce wrócić do Górki i osiąść na stałe. Uważa, że agroturystyka ludzi nie zatrzymuje, a w gminie są grunty niskiej klasy, więc rolnicy będą dążyć do prowadzenia hodowli, czy to krów, czy właśnie kur. Jego zdaniem, to jedyny sposób na przetrwanie.

Górka jest podzielona. Jedni obawiają się, że to za blisko wsi i że będzie smród, a drudzy popierają, bo z Pieślukiem mają dobre relacje albo u niego dorabiają. Mają

AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA GAZETA

Okolice wsi Górka, gdzie trwają przygotowania do budowy kurników; sto metrów dalej znajduje się rezerwat.

nadzieję, że przy kurnikach też będzie praca.

Gdy pytam o ocenę korzyści i zagrożeń dla gminy burmistrz Jolantę Gudalewską, odpowiada, że prowadzone postępowanie administracyjne nie dotyczy inwestycji celu publicznego, w którym rozpatrywane byłyby korzyści dla okolicznych wsi oraz całej gminy. – Gmina określa warunki realizacji przedsięwzięcia, by nie naruszyć stanu środowiska. To jest obszarem badania administracyjnego – wyjaśnia, a ja drążę, czy gmina nie może – z uwagi i na protesty, i kontrowersje – wyjść z propozycją alternatywnej lokalizacji dla inwestora, tak jak to podnoszono na konsultacjach społecznych jeszcze w 2016 r.

– Taki gest ze strony rolnika został poczyniony – dopowiada Jolanta Gudalewska, mając na myśli przeniesienie kurników Mentla za Górkę. – On inwestuje tam, gdzie są jego grunty. Obecna lokalizacja inwestycji oddalona jest od najbliższych zabudowań wsi Kruszyniany o ok. 3 km w linii prostej, a spotyka się z oporem. To gdzie rolnik ma prowadzić działalność? Rozbudowa gospodarstw to proces naturalny – dodaje.

Ta złość ma podłoże ekonomiczne, a głębokość korzeni zapuszczonych w tej ziemi ma większe znaczenie niż imię Boga, do którego ludzie się modlą.

Pani burmistrz retorycznie pyta na koniec: czy skoro cała gmina leży w obszarze programu Natura 2000 i Obszarze Chronionego Krajobrazu „Wzgórza Sokólskie", to znaczy, że nie można nic zrobić?

Pytam więc Adriana Pieśluka o konkrety: ilu ludzi znajdzie pracę w kurnikach?

Przyznaje, że kilka osób, ale dodaje, że cały czas kupuje ziemię i że chce się rozwijać. Sidorowicz z kolei uważa, że ferma to krótkowzroczność – chęć odbierania przelewów co sześć tygodni, bo tyle trwa cykl produkcyjny. Boi się też powtórki z upadku PGR-ów.

– Sami będziemy mogli tylko budować kurniki, ale po co? Dziś taka inwestycja nie ma sensu. Fermy padną i co z tymi halami zrobić? Przy trasie można wynająć na magazyn, a tu? – pyta retorycznie, a inni boją się, że na miejscu kurników pojawią się składowiska odpadów.

Opinie Sidorowicza podziela adiunkt z Katedry Hodowli Zwierząt Instytutu Nauk o Zwierzętach SGGW dr hab. Krzysztof Damaziak. – Rozwijają się duże firmy, które dyktują ceny i są bezkonkurencyjne dla małych przedsiębiorców, więc jak ktoś nie ma gwarancji rynku zbytu, to dużo ryzykuje planując obecnie rozpoczęcie produkcji od podstaw. Ja bym się dziś nie odważył – mówi i wskazuje, że drobny producent jest najczęściej sprowadzony do roli podwykonawcy. – Kurnik bez dużych firm nie istnieje. Gdzie odstawić ptaki, jeśli większość ubojni jest częścią dużych przedsiębiorstw posiadających własne kurniki? – pyta.

Pieśluk zapewnia mnie, że popiera ograniczenia zabudowy w drobiarstwie. Deklaruje też, że spełnił wszystkie wymagania, zastosuje najnowocześniejsze filtry i nie będzie czyścił kurnika w święta, bo zależy mu na dobrych relacjach sąsiedzkich. Ale dr Damaziak zwraca uwagę, że uciążliwość fermy to nie tylko smród.

– Na co dzień fetoru nie ma, to momenty po zakończeniu cyklu produkcyjnego. Upraszczając, raz na 8 tygodni dla jednego cyklu produkcyjnego. Wszystko zależy od tego, z ilu kurników składa się dana ferma i czy wszystkie są zasiedlane ptakami jednocześnie. Ale nie można twierdzić, że wszystko zamknie się w obrębie działki – mówi i wskazuje na dostawy piskląt, ściółki, odbiór żywca, dostawy paszy, wywóz pomiotu. – To jest ruch ciężkich pojazdów. Nie da się ukryć, taka ferma zmienia życie okolicy.

Rozwiązaniem dla protestujących jest powołanie Parku Krajobrazowego, ale zdaniem burmistrz to tylko kolejne utrudnienia. Byłyby też protesty, tym razem ze strony części rolników. Gudalewska rozwiązanie upatruje więc w decyzjach na szczeblu centralnym. A póki przepisy nie stanowią inaczej, zgodę raczej wyda.

© BARTOSZ RUMIEŃCZYK

Doświadczenie różnicy

JAGODA LATKOWSKA, PSYCHOTERAPEUTKA:

Dla matek dzieci z niepełnosprawnościami wspólne jest poczucie bycia niewystarczająco dobrą, za mało jakąś. Doświadczanie karcących spojrzeń kompetentnych wychowawczo przechodniów, gdy dziecko „źle się zachowuje".

ANNA GOLUS: Proces, który przechodzi człowiek, gdy dowiaduje się o własnej niepełnosprawności czy nieuleczalnej chorobie, porównuje się do żałoby. Czy tak samo jest u rodzica, gdy słyszy diagnozę swojego dziecka?

JAGODA LATKOWSKA: W takim momencie zaciemnia się obraz przyszłości. Rodzic musi się mierzyć ze świadomością, że dziecko czegoś nie będzie mogło w życiu robić.

Doświadczenie niepełnosprawności to doświadczenie różnicy; tego, że bycie sobą oznacza inność, niestety często gorszość, brak. Gdzieś ginie ta bezpieczna, swojska „zwyczajność". Trudności związane z niepełnosprawnością wynikają bowiem nie tylko z rzeczywistych fizycznych ograniczeń, ale właśnie z poczucia odstawania od normy, skali czy siatki. To, że dziecko nie mieści się w jakiejś normie, rodzi też lęk u rodziców. Boją się – niestety często zasadnie – że właśnie ta różnica będzie źródłem bólu. Czasem ograniczeń jest naprawdę wiele i zaakceptowanie ich jest długim procesem. Myślę jednak, że jest coś, co może w tym procesie bardzo pomóc.

Co takiego?

Warto spojrzeć na sytuację dziecka z jego perspektywy. Zobaczyć, że ono przez tę swoją inność – która może zresztą wynikać nie tylko z niesprawności – funkcjonuje w trochę innym świecie, i zaciekawić się tym światem. To jest coś, czym zachwyciłam się w książkach Olivera Sacksa, neurologa, który pisał o różnych, często bardzo dziwnych schorzeniach neurologicznych z ciekawością badacza odwiedzającego inne planety. Starał się poznawać świat, w jakim żyją osoby z niesprawnościami, i wspólnie z nimi zastanawiać się, jak może im pomóc. Sacks opisał na przykład malarza, który stracił zdolność widzenia kolorów, co oznaczało dla niego rezygnację z twórczości i tym samym utratę sensu życia. Kiedy przeszedł proces żałoby, nauczył się malować noc. To, że przestał widzieć kolory, pozwoliło mu zobaczyć szarości i odkryć świat niezwykłych wrażeń, którego istnienia wcześniej nie podejrzewał. Ale Sacks przytacza też – ku przestrodze – smutną historię dwóch braci, niepełnosprawnych umysłowo geniuszy wykonujących w pamięci nieprawdopodobnie skomplikowane obliczenia. Chłopców, wbrew ich możliwościom i chęciom, zaczęto na siłę „rehabilitować", niszcząc ich dotychczasowe, bezpieczne środowisko.

Warto zobaczyć, że dzieci, które z racji niesprawności mają inną wrażliwość, inaczej czują, inaczej widzą albo słyszą, żyją we własnych, nieco innych światach, równie interesujących jak nasz.

Najpierw starała się Pani jednak znaleźć sposób na przywrócenie swojej córce Marii wzroku.

To oczywiste, że kiedy jest jakaś niesprawność, jakaś dysfunkcja, to chce się ją naprawić, wyleczyć. Chyba jednak w pewnym momencie trzeba przestać się na tym koncentrować. Usilne dążenie do wyleczenia dziecka może przykryć wszystko inne i stać się takim ciągłym przypominaniem, że coś jest nie tak, coś jest źle i że nic więcej się nie liczy. Czasem jest to właśnie zaprzeczanie stracie i jej nieodwracalności. A w efekcie nadawanie tej stracie największego znaczenia. Warto uważać, by nie wpaść w taką koleinę, tylko zwrócić się w kierunku życia i rzeczywistych możliwości, jakie ono stwarza.

A u Pani to długo trwało?

Trochę trwało... Myślę, że głównie do momentu decyzji, do jakiej szkoły Marysia pójdzie. Przeszkoda związana z niedowidzeniem nie wydawała się na tyle duża, by uniemożliwić funkcjonowanie w tzw. zwykłej edukacji. Poza tym na szczęście zaczęły się pojawiać społeczne szkoły i to było zupełnie inne środowisko, z mniejszą liczbą uczniów, bardziej dla nich przyjazne. Dzięki temu mieliśmy poczucie, że taka szkoła nie stwarza dla niej zbyt dużych obciążeń. Ale to jest zawsze bardzo trudna decyzja, bo skąd wiedzieć, na ile wychodzenie ze strefy komfortu będzie rozwojowe, a na ile wręcz przeciwnie. To był chyba czas, kiedy najbardziej musiałam się mierzyć z myślą o niepełnosprawności mojej córki.

Maria pisze w swojej książce, że już jako dorosła osoba, po lekturze eseju Elaine Jenks o byciu mamą niedowidzącego chłopca, zaczęła się zastanawiać: „Jak to jest być mamą, która odprowadza siedmioletnie dziecko do szkoły i wie, że ono nie będzie widziało twarzy nauczycielki, twarzy kolegów, nie będzie widziało, co jest napisane na tablicy. A jednak trzeba je tam zostawić, bo alternatywą jest szkoła specjalna, a tego się dla swojego dziecka nie chce. Więc będzie grało w tenisa i będzie mogło samo wracać do domu ze szkoły, chociaż po drodze są różne skrzyżowania, a ono nie zawsze widzi kolor świateł". Jak to jest być taką mamą?

Dopiero po przeczytaniu tego eseju zobaczyłam swoje macierzyństwo jako doświadczenie w jakiejś części osobne. Podszyte chyba podwyższoną niepewnością czy lękiem. Czy to bezpieczne dla Marysi dokądś samej jechać, coś robić, gdzieś być? A może trzeba było jej ten pomysł odradzić, ale to znaczy coś odebrać? Czy nie za mało myślę, że może być jej zbyt trudno? Oczywiście, są to zapewne dylematy każdej mamy. Ale może jednak trochę większe? Trochę głupio o nich wspominać, kiedy

LILIYA KRÜGER / ALAMY / BE&W

pomyślę o historiach matek niepełnosprawnych dzieci opisanych w książce Jacka Hołuba „Żeby umarło przede mną". Ale kiedy zastanawiam się, co może być wspólne dla matek, niezależnie od stopnia niepełnosprawności ich dzieci, co odnajduję w rozmowach z nimi, to tym czymś jest doświadczanie bycia niewystarczająco dobrą, za mało jakąś. Doświadczanie karcących spojrzeń „kompetentnych wychowawczo" przechodniów, kiedy dziecko „źle się zachowuje". Wysłuchiwanie podszytych dezaprobatą dobrych rad bliskich i przyjaciół.

Ale chodzi tu nie tylko o zderzenie ze środowiskiem, które nie widzi czy nie chce zobaczyć inności, a często też cierpienia dziecka. Z tym może nawet łatwiej sobie poradzić, bo pojawia się zdrowa złość, która pozwala stawiać granice. Znacznie bardziej podważający poczucie matczynej kompetencji może być wysiłek uczenia się relacji z dzieckiem, które trudno zrozumieć, do którego trudno się dostroić czy uzyskać dostęp, jak np. w przypadku dziecka z autyzmem. Jak budować zaufanie do siebie, swoich intuicji, odczuć, wreszcie do swojej miłości wobec dziecka, którego płaczu nie potrafię ukoić, którego krzyku nie potrafię już znieść? Kiedy spotykam się z mamami, które znajdują się w takiej sytuacji, widzę, jak ważne jest uznanie, że one same i ich doświadczenia są ważne, szczególne. Że swojego macierzyństwa uczą się z dużo większym trudem. Widzę, jak ważne jest obdarzenie współczuciem również samych siebie. To często umyka, a może być bardzo pomocne, dawać więcej ufności i siły.

Uświadomiła sobie Pani to dopiero gdy Maria była dorosła?

Może po prostu głębiej to poczułam – z empatią, bez żalu czy nadmiaru dzielności. Wcześniej oczywiście myślałam o tym wszystkim, ale koncentrowałam się na tym, żeby nie traktować niesprawności Marysi jako zbyt wielkiej przeszkody, tylko jako coś zwyczajnego, z czym po prostu trzeba żyć, tak jak z różnymi innymi życiowymi niedostatkami. Myślę teraz, że było w tym też zaprzeczenie, ucieczka. Łatwiej mi było myśleć o otwieraniu przed nią kolejnych możliwości, ↦

niż tak naprawdę zobaczyć i zaciekawić się jej odmiennością, trudnością. A tym samym zobaczyć też trudności własne. Jednym z piękniejszych fragmentów w jej książce jest moment, w którym jej sześcioletni synek mówi: „Chciałbym przez jeden dzień widzieć tak jak ty, a ty żebyś widziała tak jak ja". Myślę, że rodzice mogą z lęku o dziecko, z chęci „unormalnienia" jego życia zapomnieć o takim wymiarze miłości, jaki jest w tym jednym zdaniu.

Nie rozmawiałyście o tym?

Najczęściej były to rozmowy „operacyjne": jak coś załatwić, co jest potrzebne, czy i w czym pomóc. A rozmowy o tym, jak to jest źle – inaczej? – widzieć, były chyba też w nurcie radzenia sobie, pokonywania przeszkód, nabywania sprawności pomimo niesprawności. Znajdowałam w gazetach i czytałam Marysi takie relacje, które z grubsza były o tym: można wcale nie widzieć i być spełnioną osobą. Myślę teraz, że to ważne, ale mówi też o moim własnym lęku i niemocy.

Maria wspomina w swojej książce o „ciasnej miłości" – ograniczającej, nadopiekuńczej, o której opowiadały jej rozmówczynie z zespołem Turnera, ale której ona sama nie doświadczyła.

Ta „ciasność" wynika przede wszystkim z troski. To nadmiar troski i lęku, który jednak ma swoje racjonalne podstawy. Świat może być niebezpieczny dla każdego dziecka, w przypadku zaś dzieci z niesprawnościami ryzyko – a wraz z nim lęk rodziców – jest podwyższone. Np. jeśli dziecko, które dobrze widzi, jest na placu zabaw, to jego rodzice, jeśli nie są nadmiernie lękowi, specjalnie się tym nie przejmują. Natomiast rodzice dziecka, które źle widzi, źle słyszy albo ma jakąś inną niesprawność, mogą mieć w takiej sytuacji większe powody do obaw. „Ciasna miłość" pojawia się wtedy, gdy rodzice do granic, które dziecko i tak ma przez swoją niesprawność, dokładają jeszcze granice wyznaczone przez ich własne obawy. Ta dodatkowa bariera utrudnia mu sprawdzanie swoich możliwości, bo rodzice z góry zakładają, że ono jakichś możliwości nie ma, że z czymś sobie nie poradzi. Uważają, że muszą je ochronić, zanim dojdzie do konfrontacji z przeszkodą. „Ciasność" może być odbieraniem szansy na własne doświadczenia.

„Nieciasność" natomiast wiąże się z ryzykiem, że ten brak specjalnej ochrony może wzbudzić u dziecka poczucie braku troski, niezwracania uwagi, opuszczenia. Że może mu być za mało bezpiecznie, za trudno. Chyba najważniejsze, żeby troska pojawiała się w odpowiedzi na jego doświadczenia, a nie z lękiem je wyprzedzała. Takie balansowanie jest dla rodziców wyzwaniem, ale stawką jest wykorzystanie przez dziecko jego rzeczywistych możliwości i szans.

© Rozmawiała ANNA GOLUS

DOROTA KOZIERADZKA / MATERIAŁY PRASOWE

JAGODA LATKOWSKA *jest psychoterapeutką, edukatorką, matką dr Marii Reimann, autorki autoetnograficznej książki pt. „Nie przywitam się z państwem na ulicy. Szkic o doświadczeniu niepełnosprawności".*

„Ciasna miłość" pojawia się wtedy, gdy rodzice do granic, które dziecko i tak ma przez swoją niesprawność, **dokładają jeszcze granice wyznaczone przez ich własne obawy.** Ta dodatkowa bariera utrudnia mu sprawdzanie swoich możliwości, bo rodzice z góry zakładają, że ono jakichś możliwości nie ma, że z czymś sobie nie poradzi.

TYGODNIK POWSZECHNY
Podkast Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów podkastów „Tygodnika Powszechnego"

Własny pokój
rozmowy Katarzyny Kubisiowskiej o kobiecej niezależności

#DOM
rozmowy Krzysztofa Storego o małej ojczyźnie

Opowieści z Izraela
korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

Miesiąc w nauce
z autorskim przeglądem newsów naukowych Łukasza Lamży

Punkt zwrotny
Katarzyna Kubisiowska i jej goście

Sztuka powszechnie nieznana
Magdalena Łanuszka odkrywa dla nas na nowo średniowieczne dzieła

Więcej bezpłatnych podkastów do odsłuchania na **powszech.net/podkast**

SALESmanago marketing automation

weź, słuchaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego", zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: **zamowienia@TygodnikPowszechny.pl**, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 wybranych wydań dodajemy gratis „TP Historia. Wiślna 12"!

W ofercie dostępne są wydania: „Polska Żydowska", „Smak wolności", „Zwierzenia zwierząt", „Halo tu Ziemia", „Dobre życie", „Moc kobiet", „Święto spotkania", „Kryzys w Kościele" oraz „Moc mózgu".

* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł.

i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania
Pomocy przy problemach technicznych udziela Mateusz Gawron pod nr. tel. 668 479 075 (w godz. 10.00-14.00) lub pod adresem kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE" W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM"

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	**75 zł**	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Dziękujemy Wam!

Po opublikowaniu komunikatu o wypowiedzeniu „Tygodnikowi" umowy najmu nastąpiła spontaniczna reakcja naszych Czytelników i Przyjaciół: zbiórka pieniędzy na FB, wpłaty przez FaniPay oraz wprost na konto Fundacji Tygodnika Powszechnego. Trudno nam było wtedy oszacować, ile może kosztować przeprowadzka i urządzenie nowej siedziby w tak nietypowych warunkach – w szczycie kolejnej fali COVID-19. A zbiórka dopiero nabierała rozpędu, by do końca marca przekroczyć 630 tysięcy zł!

Wielka wdzięczność dla wszystkich Państwa, Darczyńców. Teraz już wiemy: wystarczyło na przeprowadzkę i stworzenie miejsca na miarę Państwa oraz naszych oczekiwań, potrzeb i wyzwań. To Państwo nadają naszej pracy sens. Owszem, zmieniliśmy adres, ale tak naprawdę siedzibą „Tygodnika" są Wasze domy.

Dobrem, które staramy się chronić w naszej pracy nade wszystko, jest suwerenność pisma. Nigdy nie była i nie będzie zagrożona, dzięki takim Czytelnikom.

Serdecznie za to dziękujemy, już z nowej siedziby na ulicy Dworskiej, którą wkrótce Państwu zaprezentujemy.
„Tygodnik Powszechny"

JOANNA RUSINEK DLA „TP"

DOROTA

Masłowska:
Życie literackie

Czemu nigdy nie zadzwonią do mnie z „Pytania na śniadanie" czy innego równie kulturotwórczego programu, żebym opowiedziała, jak wygląda dziś życie literackie? Widzę miękką sofę, widzę skyline Warszawy za panoramicznym oknem studia, widzę perłową szminkę i swoją twarz niecodziennie zmatowioną i misternie wykonturowaną, a na pasku pytanie: „Jak wygląda dziś życie literackie stolicy?". Ja wtedy opowiadam, że takich *sensu stricto* może kawiarni literackich i życia jako takiego to nie ma... Ale bywa, że nierzadko się spotykamy, by dyskutować i rozmawiać, wymieniać uwagami i opi... Trzeba już kończyć. Więc Tomasz Kammel, czy tam ktoś, pyta mnie jeszcze o takie może ostatnie przykładowe spotkanie, na jakim byłam. Mówię, że ostatnio to chyba z pisarzy spotkałam się *de facto* z Adamem i Waldkiem. Tak. On zaś pyta, bo jednak jakieś nazwiska, nazwiska... Otwieram usta, by... Niestety, trzeba już kończyć; ani się obejrzę, a wywalają mnie już z tej sofy. Więc ani słowa o tym, że umówienie się wymagało niesłychanych przepychanek i negocjacji, gdyż Adam jest leniwym, rozpsutym przez towarzyskie powodzenie, ziewającym wciąż kotem, natomiast Waldek starszym panem nerwowym jak moja babcia, a ja z kolei bardzo asertywna nowoczesna dziewczyna po dziesięciu psychoterapiach umiem zaznaczyć swoje granice i z diabłem umówię się tak, że będzie na moje: gdzieś blisko mnie albo przynajmniej gdzie mam niekłopotliwy dojazd.

Z Adamem i Waldkiem pasujemy więc do siebie jak nie ulał, jak sofix, żółta ciżemka i but kota w butach udające w CCC parę. W dodatku oni są na Żoliborzu, a ja na Ochocie i kiedy próbujemy się w jakimś dogodnym miejscu umówić, wymaga to około jedenastu telefonów każdego do każdego, narad w diadach, toksycznych przegrupowań, szantaży i rzucania słuchawką. Potem znów pojednawczych esemesów, ponownych umawiań, przekonywań, rejtanów, przejść na stronę wroga i targowania się o każdy kilometr do przejechania w tym upale. Ogrom tych podchodów wart jest lepszej sprawy niż tyskie z kija w Iglicy przy Pałacu Kultury, na którą drogą kompromisu ostatecznie pada. Na początku nie kojarzę, ale ostatecznie przypominam sobie taki pocieszny okrąglaczek; jak wracam zimą z kina, to czuję wyślizgujące się z niego, ciężkie wstęgi zapachu frytury. Takie jest teraz życie literackie. Umawiamy się 18.30. Ale Waldek to taki facio, co o 18.26 już do mnie dzwoni, gdzie niby jestem. Mimo konieczności ciągłego zatrzymywania roweru przez jego przynaglające telefony udaje mi się dojechać na miejsce. Panowie siedzą przy piwku, po całym dniu wynudzeni już sobą, więc całkiem radośnie witają taką odmianę od siebie jak ja. Parasole Żywiec łopoczą. Policjanci spacerują melancholijnie w swoich zbrojach, chrzęszcząc rynsztunkiem, z dłońmi założonymi na lędźwiach. Plac Defilad. Niezłote tarasy. Zero Zary, zero jarmużu, zero komosy i zdecydowanie nie na sojowym. Towarzystwo wspaniale eklektyczne, za naszymi plecami rozsiadają się Polskie Babcie, emanując aurą sławy i rebelii; wszędzie ich przybory do manifestacji; torby z Ikei pełne transparentów, tęczowych flag. Obok różni polscy mężczyźni tryskający cholesterolem, w różnym stopniu upojenia, rozgogolenia i wysmażenia słonecznego, zaś jako wisienka na tym torcie my, pisarze, dyskutujący o pisaniu.

Waldek mówi, że rano się budzi i ma całe kawałki napisane w głowie; musi tylko wstać i je zapisać. Adam mówi, że źle mu się teraz pisze, wolno. Że trochę pisze, ale w większości juroruje w konkursach poetyckich. To nie taka zła praca. Siedzi sobie z kartonem wierszy. Karton wierszy – to już samo w sobie brzmi jak krótki wiersz. Oddziela dobre wiersze na kupkę. Potem ponownie je czyta. Złymi wierszami mama Adama całą zimę rozpala potem w piecu. Gdy szykuje piec do rozpalenia, czyta te złe wiersze i zaczyna ponownie jakby je przeżywać, rozgrzewać i przywracać do życia ciepłem swojego serca. Dzwoni do Adama i chce o nich rozmawiać, jeszcze je jakoś ratować przed unicestwieniem. To jednak ostatni podryg tych wierszy, już za chwilę są tylko smogiem. Mierniki smogu mierzą poziomy PM1, PM2,5 i PM10, jednak w ogóle nie mówi się o zawartości w powietrzu ZW – złych wierszy. Porywy dusz, namiętności, marzenia, biadolenie serca wdychane są przez mieszkańców miejscowości zamieszkiwanej przez mamę Adama, bez żadnej świadomości, przenikając do ich krwiobiegów. Jednak tego wątku w „Pytaniu na śniadanie" też nie dadzą mi rozwinąć. W tych programach jest ogromny pośpiech, następny, następny... Widzę tylko siebie, jak potem siedzę i zmywam godzinami ten cały *make-up*, po kolei te mazy, brwi, bronzery, rozświetlacze, aż moja twarz zostanie niewykonturowana i pusta jak kartka albo pupcia niemowlęcia. ©

POŻEGNANIE

Bartłomiejowi Swojakowi

serdeczne wyrazy współczucia z powodu śmierci

Mamy

składa „Tygodnik Powszechny"

TT O PETRE DIXISTI TV ES CHRISTVS
DEI VIVI A TT IESVS BE

WIARA

CZAS PRZEMIAN

RAFAEL LUCIANI, TEOLOG:

Wrzenie, jakie się teraz dzieje, jest analogiczne do zmiany soborowej. Tego procesu nie da się cofnąć.

ZUZANNA RADZIK: Co się dzieje, że już nawet biskupi mówią o potrzebie zmiany strukturalnej w Kościele?

RAFAEL LUCIANI: Doświadczamy Kościoła przechodzącego transformację. Mamy nowe doświadczenia, nawet jeśli tylko punktowe i wyrażane pojedynczymi głosami. Równocześnie otwarcie mentalności napotyka na opór ultrakonserwatywnych środowisk. To czas przemian.

Z czego to się bierze?

Franciszek otworzył recepcję Soboru Watykańskiego II na nowy sposób, przez teologię ludu Bożego i to, co nazywamy synodalnością. Jako Kościół byliśmy zamknięci na problemy świata. I teraz nagle mamy wolność nazywania tych spraw i dyskusji o nich. Nie wszczyna się śledztw wobec teologów i biskupów, gdy powiedzą coś nowego.

Nie prześladujemy swoich teologów – to postęp?

Taka polityka tego pontyfikatu z pewnością pomaga. Przyjaźnię się z kardynałem z Caracas w Wenezueli, który uczestniczył we wszystkich synodach czasów Jana Pawła II, Benedykta XVI i teraz Franciszka. On naprawdę uważa, że po raz pierwszy może mówić, co myśli – w wolności i bez strachu. Kościół pozwala ludziom mówić!

Kardynałom.

Świeccy, księża, zakonnicy też czują więcej wolności. Nie jest to duża grupa, ale mamy wiele głosów w różnych krajach, nie tylko tam, gdzie zwykle, czyli w Ameryce Łacińskiej czy Niemczech. Widzimy to nawet w bardziej konserwatywnych środowiskach i Kościołach, jak w USA. Tam też są biskupi, choć w mniejszości, mówiący rzeczy, których wcześniej nie można było sobie wyobrazić. Widzimy też, że teologia odzyskuje własne życie, niezależne od magisterium Rzymu. Nie ma teraz procesu żadnego teologa.

Zaiste postęp!

Nie śmiej się, to nowe i niespotykane. Widzimy biskupów rozumiejących potrzebę zmiany w Kościele, nawet jeśli nie są większością, oraz innych, którzy nic nie mówią, ale...

...pozwalają na eksperymenty?

Tak, nawet jeśli nie całkiem się z nimi zgadzają. To znów mniejszość, ale nie widzieliśmy tego 10 lat temu. To jakiś znak wolności w Kościele.

Czy to wolność ich pcha ku reformie, czy poczucie, że nie ma wyjścia, bo system jest skompromitowany i chyli się ku upadkowi?

Dwie rzeczy się zbiegły. Nadużycia władzy zdarzają się nie tylko w Kościele, przez co wzrosła świadomość społeczna w tej kwestii. Poza tym Kościół przestał ukrywać problemy. To wszystko stanowi wypadkową presji zewnętrznej i zmiany świadomości wewnątrz Kościoła. Za czasów tego pontyfikatu pojawiła się świadomość, że trzeba coś zmienić strukturalnie, a nie indywidualnie. Na przykład sprawa nadużyć seksualnych wobec małoletnich w Chile pokazała całkowity upadek modelu Kościoła. Nie ma prostego rozwiązania, bo problem jest strukturalny i nie dotyczy tylko 2-3 biskupów i paru księży. To problem też wiarygodności Ewangelii, bo nie jest ona skutecznie głoszona przez strukturalnie kulejący Kościół. I nie wiadomo, jak sobie z tym poradzić.

To co zrobimy?

Żeby wypracować skuteczne procedury odpowiedzialności, potrzebujemy zewnętrznego, obiektywnego audytora w życiu całego Kościoła, nie tylko Watykanu. Sami nie znajdziemy rozwiązania. W niektórych obszarach łatwiej to zrobić, na przykład w ekonomii, administracji, sposobie gospodarowania pieniędzmi.

Chcesz robić audyt nie tylko władzy, ale i pieniędzy?

No bo kto decyduje, jak użyć pieniędzy? Ci, którzy mają władzę.

Ale właśnie dlatego wielu nie chce przejrzystości spraw Kościoła, bo jest tam dużo niekontrolowanej władzy i pieniędzy.

↦

FILIPPO MONTEFORTE / AFP / EAST NEWS

Papież Franciszek celebruje mszę świętą na zakończenie synodu biskupów w bazylice św. Piotra w Watykanie. 28 października 2018 r.

↦ I dlatego tacy audytorzy byliby ważni. Znamy przecież na przykład przypadki biskupów używających kościelnych pieniędzy do budowy własnych rezydencji. To jest jedna przestrzeń odpowiedzialności. Kolejną rzeczą, jakiej można uczyć się od ludzi z zewnątrz, jest przywództwo, w tym przypadku przywództwo biskupa, bo jego kształt wpływa na posługę innych. Przywództwo powinno formować innych do współodpowiedzialności, pokazywać, jak dzielić władzę i decyzje. Nie uczymy tego w seminarium i na wydziale teologii. Ale tę wiedzę znajdziemy w naukach społecznych, psychologii, w doświadczeniach korporacji i organizacji pozarządowych. Kościół może się uczyć od innych.

Nie widzę dużych szans, by to wszystko się spełniło.

Dlatego mówimy o reformie. Zastanawiamy się nad tym, co może pomóc Kościołowi się zmienić. Mamy takie doświadczenia w Ameryce Południowej. Konferencja Biskupów Ameryki Południowej i Karaibów (CELAM) ma nową strukturę, którą wprowadzono parę tygodni temu. Świeccy będą uczestniczyć w decyzjach i dochodzeniu do nich przez to ciało. To wstępna droga do współzarządzania. Zupełnie nowe rozwiązanie.

Skąd ten pomysł?

Teologowie, zakonnicy, biskupi i świeccy pracowali nad dokumentem reformy. Ma teologiczne uzasadnienie i organizacyjną część, co jest bardzo ciekawe, bo dokumenty zwykle dają tylko podstawę teologiczną, a tu nakreślono strukturę praktyczną. To nie jest perfekcyjne rozwiązanie, ale jakiś krok w stronę dzielenia się odpowiedzialnością pastoralną i administracyjną.

Co jest esencją tej zmiany?

Współodpowiedzialność. Założenie, że świeckich należy włączyć w proces wypracowania i podejmowania decyzji. Już na konferencji w Aparecidzie w 2007 r. nasi biskupi mówili wprost, że świeccy powinni w nim uczestniczyć. Nie tylko, jak dotychczas, w momencie wprowadzania decyzji w życie czy w pierwszej fazie – wysłuchania racji. Gdy włączasz świeckich w całość procesu, wydarza się zmiana. Biskup w trakcie takiego procesu usłyszy eksperckie głosy świeckich. Reforma strukturalna i organizacyjna Kościoła musi zakładać uczenie się dobrych praktyk. Nasze zawiodły, musimy uczyć się od innych instytucji.

> Dawniej teologii uczyliśmy się na wydziale. Teraz dostępna jest w internecie i każdy może po nią sięgnąć. **Decentralizujemy wiedzę w Kościele!**

Jak świecki może być współodpowiedzialny, skoro prawo kanoniczne nie pozwala delegować nań realnej władzy?

To również wezwanie do reformy prawa kanonicznego. Zmiany i tak dokonują się obok niego. Na przykład mamy cztery kobiety w roli podsekretarzy w Watykanie, choć jest to funkcja zastrzeżona biskupom. Jednak praktyką obecnego pontyfikatu jest oddanie tym kobietom należnych biskupom kompetencji, nawet przed reformą kurii. To krok ku sformalizowaniu tej praktyki.

Kościół się trzęsie i zmienia, tylko jeszcze się do tego nie przyznajemy?

Tak.

Czyli trzeba eksperymentować na granicy tego, co można?

To, co teraz się dzieje, jest analogiczne do zmiany soborowej. Ktoś musi zrobić pierwszy krok, nawet ryzykując. Na przykład w Niemczech ludzie mają doświadczenie kobiet administrujących parafiami, podobnie w Amazonii. Takie miejsca dają posmakować zmiany i tworzą precedens. Zdobywamy doświadczenie, potem się to instytucjonalizuje. Tak zawsze zmieniał się Kościół. Po Trydencie ustanowienie parafii i seminariów, jakie znamy, zajęło sto lat. Ale ostatecznie było to dziedzictwo tego soboru. Zwykle jest to powolne zmaganie.

Jako katolicy jesteśmy wychowani dość legalistycznie, trudno nam uczestniczyć w czymś, co jeszcze niedozwolone.

I tu jest przestrzeń na zmianę mentalności. Ludzie są uformowani w Kościele, który potrzebuje głębokiej zmiany. To się nie stanie w rok lub dwa, raczej w dwadzieścia czy trzydzieści lat. Trzeba zacząć od seminariów – to jeden z centralnych punktów. Drugi to parafie, czyli formacja wiary i sposób, w jaki zbudowane są wspólnoty parafialne. W Wenezueli toczy się właśnie rozmowa o parafiach. Teologowie z Kanady, Belgii czy Brazylii pracują nad modelem zespołowej pracy w parafii. Nie mają większości, ale dostarczają narzędzi i trochę doświadczeń.

I to wystarczy?

Zmiana mentalności jest częścią reformy. Precedens otwarcia tych wszystkich tematów sprawia, że ciężko będzie je zamknąć. Problemy nie zostaną rozstrzygnięte szybko, ale o nich rozmawiamy. Pamiętaj, że dwadzieścia lat temu nie było to możliwe. Teraz budowana będzie teologia tych tematów. To wszystko jest nowe.

Jakie tematy potrzebują najpilniej nowej teologii?

Kościół czeka poważna dyskusja o teologii posług. Same postulaty ich tworzenia nie wystarczą, trzeba zbudować z wnętrza katolickiej teologii ich teorię. Taka teologia istnieje w innych Kościołach. U nas praktyka posług istnieje, pytanie: jak budować ich teologię, jak ustanawiać je w diecezji? Trzeba też opisać, w jakiej relacji będą posługi ordynowanych i nieordynowanych w jednej diecezji. Problemem jest, że uważamy posługi za służbę Kościołowi, a nie za coś, do czego się oficjalnie powołuje. Ciekawe, że mamy bardzo mało teologów, którzy tym tematem się zajmują. Jedynym latynoskim teologiem, który zajmował się tym całe życie, jest Antonio de Almeida z Brazylii. Teraz to centralne zagadnienie.

Jak to się stało, że Franciszek przyjechał do Rzymu z pomysłem synodalności i reformy? Zapowiadał ich potrzebę już w „Evangelii gaudium". Czy stoi za tym jego osobowość, formacja, doświadczenie Kościoła?

Myślę, że przede wszystkim usłyszał na konklawe od kardynałów o potrzebie reformy. Wiedział, że coś musi się zmienić i to jest zadanie na ten pontyfikat. Poza tym ma styl charakterystyczny dla większości latynoamerykańskich biskupów, bo nasz Kościół jest bardziej horyzontalny. Dla Franciszka relacje są bardziej otwarte, bezpośrednie, co daje mu więcej okazji słuchania i dowiadywania

się, co się dzieje. Poza tym on umie uznać błąd, jak w Chile, gdy najpierw bronił biskupa, którego mianował, a gdy zorientował się, że był przez chilijski episkopat oszukiwany, przeprowadził własne śledztwo. Jest otwarty na zmiany nawet tam, gdzie już wcześniej zadecydował. To też jest nowe.

Klerykalizm nazwał wprost problemem.

Tak, i to już w pierwszym roku pontyfikatu. W Ameryce Południowej klerykalizm zbudowany jest bardziej wokół sakramentów, co też jest dotkliwe. W Europie, Stanach Zjednoczonych, no i zwłaszcza w Watykanie mamy inny klerykalizm: organizacyjny. Niemożliwa jest relacja horyzontalna. To nie tyle klerykalizm, co hierarchalizm. I to właśnie władzę powiązaną z hierarchią Franciszek wziął na warsztat.

Mówisz: będziemy mieli synodalny Kościół lub żaden. Możesz opisać wizję takiego Kościoła?

Pierwszy element to zaangażowanie. Zaangażowanie wszystkich – świeckich kobiet i mężczyzn, zakonników, biskupów – w wypracowanie i podejmowanie decyzji. Drugą rzeczą jest wprowadzanie specjalistów, a nie tylko ludzi dobrej woli. Administrujesz instytucją – potrzebujesz administratora. Prowadzisz duszpasterstwo związane z pracą społeczną – też potrzebujesz specjalistów. Zwykle tak nie robimy, bo księża powołują do tego znajomych lub...

...zgarniają całą robotę.

Dokładnie. Poza tym, gdy powstaje dokument, to tworzy go biskup i paru księży, albo sam biskup, konsultujący paru teologów. A potrzebne są szerokie konsultacje z ludźmi. Zresztą to nic nowego. W Ameryce Południowej w latach 30. i 40. zeszłego wieku Akcja Katolicka robiła badania społeczne na potrzeby biskupów, a ci używali wyników do pisania listów pastoralnych. Był to jeden z największych ruchów kościelnych.

A dziś?

W CELAM zatrudniliśmy zewnętrzną firmę jako audytora, jej pracownicy nawet nie rozumieli katolickiej terminologii. Tworząc dokument braliśmy pod uwagę głosy zewnętrznych konsultantów, teologów, z szerszych konsultacji w Kościele. A co najważniejsze, ten nowy model działania stał się doświadczeniem całej Konferencji Episkopatów Ameryki Południowej i Karaibów, a nie pojedynczego biskupa.

BRATNI ZEW / MATERIAŁY PRASOWE

RAFAEL LUCIANI jest świeckim teologiem z Wenezueli, profesorem Jezuickiego Uniwersytetu Katolickiego Andrés Bello w Caracas i Boston College w USA. Ekspert Rady Episkopatu Ameryki Łacińskiej (CELAM) i członek zespołu doradczego Konfederacja Zakonników Ameryki Łacińskiej (CLAR). Niedawno mianowany ekspertem komisji teologicznej przygotowującej najbliższy synod biskupów.

Co zaleciłbyś tym z nas, którzy żyją w krajach, gdzie biskupom nie śniła się taka synodalność?

Pandemia pokazała, że możemy dotrzeć bezpośrednio do ludzi, bez pośrednictwa struktur Kościoła. Możemy przez internet spotykać się na modlitwie czy wykładach. To jest nowy sposób pracy, również nowe narzędzie duszpasterskie. W ten sposób tworzy się świadomość nowych tematów i metod bycia Kościołem.

Tak, cały świat odebrał tę lekcję.

Tyle mówiliśmy o zmianie mentalności i jej znaczeniu dla reformy Kościoła, a te narzędzia naprawdę ułatwiają katolikom z różnych części świata wymianę doświadczeń i wypracowywanie wspólnych rozwiązań. Rozmawiałem z młodymi ludźmi, którzy po doświadczeniu spotkań z katolikami z innych krajów chcą zmienić sposób pracy u siebie. Teologii uczyłaś się wcześniej na wydziale, katechezy w parafii. Teraz teologowie wykładają na internetowych platformach i każdy może tam zajrzeć. Decentralizujemy wiedzę w Kościele!

To taki przełom?

Tak, tworzy się nowa świadomość, która przyspieszy konieczne zmiany. One nie biorą się z siedzenia i wymyślania ich, ale ze zmiany świadomości, która przekuwa się w presję na Kościół.

Nie jestem pewna, czy to wystarczy.

Rozumiem. Nie wierzę w wielkie przewroty ani w to, że Kościół zmieni się cały w jednej chwili. Ale wierzę w konkretne doświadczenia, które pokazują, że można coś robić inaczej. Kościół zawsze się tak zmieniał. Zmianę wykuwa mniejszość. Kościół jest Kościołem wspólnot, małych społeczności.

Jak to się robi w praktyce?

Na przykład włoska teolożka Serena Noceti prowadzi teraz kurs dla parafii, diecezji i biskupów o tym, co oznacza zmiana w posługach i ustanowienie akolitatu oraz lektoratu również dla kobiet. To praca oddolna i mozolna. Służąca budowie nowej świadomości.

A jakie miejsce w tej nowej świadomości powinien zajmować fakt, że Kościół tworzymy jako kobiety i mężczyźni?

Teraz świadomość płci pojawia się coraz mocniej, nawet jeśli nie jest to wyrażane wprost. Może się tak nie wydawać, ale to wielka zmiana. Mam przyjaciółkę teolożkę we Włoszech, która zajmuje się eklezjologią ludu Bożego. Mówi, że dziesięć lat temu nie mogłaby pisać tego, co pisze teraz, i uniknąć kary od biskupa. No i czytasz, co ona pisze, i prawdę mówiąc, nie ma w tym nic groźnie rewolucyjnego.

Czyli znów zmiana polega na tym, że teologowie i teolożki nie są karani. Mam się cieszyć?

Kobiety w Ameryce Południowej mają stowarzyszenie Teologanda, w Hiszpanii też jest stowarzyszenie kobiet tworzących teologię. Ważne jest nie tylko postulowanie obecności kobiet u władzy i tworzenie presji, ale także wypracowanie teologii posług włączającej tematy gender i feminizmu. Teologii i eklezjologii robionej z perspektywy kobiet. I to już wkracza w główny obieg. W podręczniku używanym na wydziale teologii w Buenos Aires jest rozdział o eklezjologii z feministycznej perspektywy. Musimy nie tylko żądać większej obecności kobiet w strukturach Kościoła, ale rzucać wyzwanie teologiczne. Budować teologiczną presję.

© Rozmawiała ZUZANNA RADZIK

Biskup, czyli Bóg

MARTA ZDZIEBORSKA

W zachodnioafrykańskiej Ghanie za język nienawiści wobec mniejszości seksualnych odpowiadają również duchowni chrześcijańscy.

Przewodniczący ghańskiego episkopatu abp Philip Naameh ma co do tego jasność: to, że ktoś jest gejem lub lesbijką, nie powinno być karane, ale już wszelkie „akty homoseksualne" należy uznać za grzeszne. Dlatego też w wywiadzie dla lokalnej telewizji Joy News arcybiskup przekonuje, że w Ghanie nie ma miejsca na „praktykowanie homoseksualizmu" i potrzeba przepisów, które zdefiniowałyby to zjawisko jako „odchylenie od normy".

To nie pierwsze takie wystąpienie hierarchy. Dzień wcześniej wezwał do zamknięcia pierwszego w Ghanie ośrodka dla osób LGBT. Komunikat episkopatu oraz nagonka ze strony antygejowskich aktywistów zadziałały – w lutym, zaledwie po trzech tygodniach funkcjonowania, ośrodek skontrolowała i zamknęła policja. Choć minęły ponad cztery miesiące, nagonka na mniejszości seksualne trwa. Episkopat ma w tym niemały udział.

Boski plan

Wszystko zaczęło się od wspomnianego komunikatu, w którym biskupi wezwali władze do zamknięcia ośrodka w stolicy Ghany Akrze i zaapelowali, by „bronić się przed naciskami mającymi na celu legalizację praw mniejszości seksualnych". Episkopat tłumaczył punkt po punkcie, dlaczego Kościół katolicki sprzeciwia się „odrażającej praktyce, jaką jest homoseksualizm". Biskupi zacytowali kilka fragmentów ze Starego i Nowego Testamentu oraz podkreślili, że homoseksualizm jest sprzeczny z biblijnym opisem stworzenia świata.

„W Księdze Rodzaju czytamy, że Bóg stworzył mężczyznę i kobietę, by »żyli w jedności« i »płodzili dzieci«. Jako że aktywność seksualna człowieka ma służyć prokreacji i przetrwaniu ludzkości, każda inna forma aktywności niż heteroseksualna jest sprzeczna z naturą i (...) stanowi pogwałcenie planu Bożego" – pisali ghańscy biskupi.

Jednocześnie episkopat nie miał oporów, by poprzeć w swoim oświadczeniu działania Narodowej Koalicji na rzecz Praw Seksualnych Człowieka i Wartości Rodzinnych. To czołowa antygejowska organizacja w Ghanie, której lider Moses Foh-Amoaning rozpoczął nagonkę prowadzącą do zamknięcia ośrodka dla osób LGBT.

Wspierany przez episkopat Foh-Amoaning działał bez skrupułów – nie tylko wezwał do aresztowania prowadzących ośrodek aktywistów, ale sugerował również, że mniejszościom seksualnym „potrzeba pomocy psychologicznej", a nie „prawa do życia w zgodzie ze swoją orientacją homoseksualną". Na efekty nie trzeba było długo czekać – działacze LGBT zaczęli otrzymywać pogróżki. Według cytowanego przez agencję Reutera Danny'ego Bediako, aktywisty z organizacji Rightify Ghana, niektórym osobom grożono podpaleniem i ukamienowaniem.

Ratunek przed szatanem

Nie powstrzymało to antygejowskich działaczy przed kolejną inicjatywą. Zaledwie miesiąc po zamknięciu ośrodka LGBT Moses Foh-Amoaning współorganizował modlitwę ekumeniczną, w której promocję zaangażowali się liderzy Kościołów chrześcijańskich, w tym m.in. abp Philip Naameh. Podczas spotkania w Akrze (pod tytułem „Homoseksualizm: obrzydliwy grzech wobec Boga") zielonoświątkowcy, metodyści, charyzmatycy, a nawet liderzy muzułmańscy wygłaszali płomienne przemówienia wymierzone w środowisko LGBT.

„Nasz naród jest atakowany i musimy stawić temu czoło. Musimy uratować Ghanę przed szatanem!" – krzyczał do zgromadzonego tłumu przywódca Kościoła metodystycznego Paul Kwabena Boafo. W równie katastroficznym tonie wypowiedział się lider zielonoświątkowców Eric Nyamekye. Przekonywał wiernych, że „Ghana jak nigdy potrzebuje bo-

FRANCIS KOKOROKO / REUTERS / FORUM

Julia Selman Ayetey, prawniczka dwudziestu jeden aktywistów zatrzymanych przez policję i oskarżonych o nielegalne gromadzenie się oraz promowanie programu LGBT, rozmawia z dziennikarzami w Sądzie Okręgowym w Ho. Region Wolta, Ghana, 4 czerwca 2021 r.

skiej interwencji". „Jeśli chcemy, by nasz kraj powrócił na ścieżkę moralności, musimy paść na kolana. Tylko siła modlitwy nas uchroni" – przestrzegał Eric Nyamekye.

Jeszcze dalej w swej retoryce posunął się były lider metodystów Opoku Onyinah. Określił działania na rzecz osób LGBT jako „zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego" i zasugerował, że tęczowi aktywiści powinni „mieć zakaz działania na terenie kraju".

Terapia dla aktywisty

W półtoragodzinnym spotkaniu wzięło udział kilku parlamentarzystów. Ich nie trzeba zachęcać do upolitycznienia tematu LGBT. Już na początku marca ośmiu polityków przedstawiło projekt ustawy penalizującej działalność aktywistów LGBT, którzy w przypadku skazania przez sąd trafiliby na tzw. terapię konwersyjną.

W dyskusji wokół LGBT zawrzało również za sprawą kandydatów na ministrów, którzy na początku lutego pytani byli o stosunek do mniejszości seksualnych. Z kontrowersyjnej wypowiedzi zasłynęła wówczas przyszła minister spraw zagranicznych Shirley Ayorkor Botchway. Wypaliła, że homoseksualizm jest zachowaniem „nieafrykańskim", a sam ruch na rzecz równości osób LGBT to wymysł Zachodu. Oburzała się, że w ceremonii otwarcia ośrodka dla osób LGBT w Akrze uczestniczyli zagraniczni dyplomaci – ambasador Danii w Ghanie, reprezentant australijskiego rządu i przedstawiciele Unii Europejskiej.

Suchej nitki na ruchu LGBT nie zostawiła też kandydatka na ministra ds. polityki społecznej Sarah Adwoa Safo. Stwierdziła, że homoseksualizm godzi w ghańską tradycję i zwyczaje, a „przestępczy charakter ideologii LGBT" nie podlega wątpliwości.

Oliwy do ognia dolał prezydent Nana Akufo-Addo, który ogłosił, że „podczas swoich rządów nie dopuści do legalizacji małżeństw jednopłciowych". Jego wystąpienie wywołało konsternację wśród aktywistów, którzy nie formułowali nawet tego rodzaju żądań. Wystarczającym przełomem byłaby reforma kodeksu karnego, który przewiduje karę do 25 lat więzienia za tzw. nienaturalne stosunki cielesne. Choć w kodeksie nie ma wzmianki o stosunku z osobą tej samej płci, ghańskie władze przyjęły interpretację, że chodzi o „penetrację wszystkiego, co nie jest waginą". Przepisy, do tej pory rzadko egzekwowane, od lat służą jako pretekst do nagonki na osoby homoseksualne.

Zaledwie trzy miesiące po policyjnym nalocie na ośrodek LGBT zawrzało za sprawą aresztowania 21 aktywistów w mieście Ho na południowym wschodzie kraju. Działacze, zatrzymani pod zarzutem „nielegalnego gromadzenia się" i promowania treści dotyczących LGBT, uczestniczyli w szkoleniu na temat praw mniejszości seksualnych. Aktywistów zwolniono za kaucją dopiero po trzech tygodniach aresztu. Jak alarmuje Human Rights Watch, nic nie wskazuje na to, by szybko wycofano postawione im zarzuty.

Powiedz, że jesteś lesbijką

Wydarzenia ostatnich miesięcy tylko pogorszyły sytuację osób LGBT w Ghanie. Jak wynika z raportu Human Rights Watch z 2018 r., geje i lesbijki padają ofiarami samosądów, gwałtów, szantażu, a także dyskryminacji w dostępie do edukacji, zatrudnienia czy przy wynajmie mieszkań.

Prześladowań trudno uniknąć nawet ze strony lokalnych władz. Przypomina o tym opisana przez Human Rights Watch historia Pearl, trzydziestoletniej aktywistki LGBT z południowej Ghany. Kobieta wspomina, jak wylądowała w siedzibie lokalnych władz, gdzie pięćdziesięcioosobowy tłum chciał zmusić ją do przyznania się, że jest lesbijką.

„Gdy odpowiedziałam na ich pytania przecząco, jeden z policjantów kopnął mnie w twarz i zaczęłam krwawić. Niedługo potem bili mnie wszyscy. Gdy wypchnięto mnie na zewnątrz budynku, młody chłopak założył mi na szyję oponę samochodową i oblał mnie benzyną. Wówczas stojący obok pastor powiedział, że powinnam wyznać wszystko przed śmiercią" – relacjonowała Pearl, która po tych wydarzeniach ostatecznie opuściła swoje rodzinne miasto.

Niektórych Ghańczyków do ucieczki zmuszają prześladowania ze strony członków rodziny. Raport Human Rights Watch przedstawia opowieść lesbijki, którą najbliżsi zaatakowali maczetą. Wyrzucona z domu kobieta nie miała szans na powrót, choć na miejscu została jej dwuletnia córeczka. Z kolei inną rozmówczynię, 21-letnią Aishę, rodzina wysłała na tzw. obóz modlitwy. To coś w rodzaju przymusowej terapii prowadzonej przez organizacje powiązane z ghańskimi kościołami ewangelickimi i zielonoświątkowymi. Podczas miesięcznego pobytu na obozie modlitwy Aisha była wielokrotnie okładana „świętym" kijem, gdyż w ten sposób próbowano... wygonić z niej demona homoseksualizmu.

Grzech Sodomy

Davis Mac-Iyalla, dyrektor organizacji Interfaith Diversity Network of West Africa (IDNOWA), mówi „Tygodnikowi", że od dyskryminacji wobec mniejszości seksualnych trudno uciec również w parafiach katolickich.

– Podobnie jak w innych kościołach chrześcijańskich ghańscy księża katoliccy wygłaszają kazania o jedynym i słusznym modelu rodziny tworzonym przez kobietę i mężczyznę – podkreśla Davis Mac-Iyalla, którego organizacja ↦

GHANAWEB.COM

Plakat informujący o ekumenicznym zgromadzeniu modlitewnym przeciwko LGBT pod hasłem „Homoseksualizm: obrzydliwy grzech wobec Boga". Ghana, 21 marca 2021 r.

↦ promuje międzyreligijny dialog na temat LGBT w homofobicznych krajach Afryki Zachodniej. – Zdarza się, że wiernym, którzy nie kryją się ze swoją homoseksualnością, odmawia się udzielenia komunii świętej, a nawet grozi się wykluczeniem z życia religijnego. Wydarzenia ostatnich miesięcy i apel episkopatu w sprawie zamknięcia ośrodka LGBT tylko nasiliły ten problem. Ghana to kraj, gdzie głos biskupów traktowany jest jak głos Boga – dodaje.

W odpowiedzi na kontrowersyjne oświadczenie episkopatu z lutego, Mac-Iyalla wydał własny komunikat, w którym oskarżył biskupów o opieranie się na „przestarzałych" interpretacjach teologicznych. Chodzi dokładnie o fragment Księgi Rodzaju (19, 1-29), który zdaniem ghańskich biskupów sugeruje, że to homoseksualizm ściągnął na Sodomę karę Bożą. Mac-Iyalla przypomina jednak, że według dokumentu Papieskiej Komisji Biblijnej „Czymże jest człowiek? Droga antropologii biblijnej" opowiadanie o grzechu Sodomy „nie ma na celu przedstawienia obrazu całego miasta zdominowanego przez nieokiełznane żądze natury seksualnej". Zdaniem teologów z Papieskiej Komisji Biblijnej historia ta potępia niegościnność mieszkańców Sodomy. Mac-Iyalla wytknął również ghańskim biskupom, że ignorują słowa papieża Franciszka, który w poświęconym mu filmie dokumentalnym „Francesco" poparł związki partnerskie dla par jednopłciowych.

– Hierarchowie Kościoła katolickiego w Ghanie i innych krajach Afryki Zachodniej mogą pozwolić sobie na ignorowanie tego rodzaju sygnałów ze strony papieża – przekonuje Mac-Iyalla. – Dzieje się tak między innymi z prostego powodu: wielu Ghańczyków ma utrudniony dostęp do internetu, przez co nie wiedzą, co dzieje się na świecie ani tym bardziej jak kształtuje się watykańska debata na temat LGBT – dodaje.

Gra pozorów

Nie jest jednak tak, że ghański Kościół całkowicie ignoruje papieskie stanowisko w sprawie mniejszości seksualnych. W lutowym oświadczeniu biskupi zacytowali fragment adhortacji „Amoris laetitia", w której papież Franciszek stwierdza, że „każda osoba, niezależnie od swojej skłonności seksualnej, musi być szanowana i traktowana z troską tak, by uniknąć »jakichkolwiek oznak niesłusznej dyskryminacji«".

Choć lutowe działania ghańskiego episkopatu z tymi słowami się kłócą, widać, że abp Philip Naameh stara się zrównoważyć swoją retorykę. Tuż po tym, jak zaapelował o zamknięcie ośrodka dla osób LGBT, mówił w wywiadach radiowych, że gejom i lesbijkom należy się szacunek oraz ochrona przed dyskryminacją w dostępie do pracy, edukacji czy mieszkalnictwa.

„Choć osoby należące do społeczności LGBT żyją w sposób niezgodny z wolą Boga, są wciąż naszymi krewnymi i przyjaciółmi, którym należą się takie same prawa jak innym ludziom"– przekonywał.

Arcybiskup Naameh próbował też studzić emocje w oświadczeniu wydanym już po zamknięciu ośrodka. W odpowiedzi na krytykę ze strony Davisa Mac-Iyalli hierarcha napisał, że „osoby ze skłonnościami homoseksualnymi mogą liczyć na taką samą opiekę duszpasterską jak inni członkowie Kościoła".

Innego zdania jest Rosebud, ghańska katoliczka, lesbijka, której historię opisano w raporcie holenderskiej organizacji European Forum of LGBT Christian Groups. Kobieta wychowuje 14-letniego syna i dla bezpieczeństwa rodziny woli ukrywać swoją prawdziwą tożsamość przed członkami lokalnej parafii. „Wiem o tym, że Bóg mnie kocha. Gdybym miała okazję porozmawiać z biskupami dyskryminującymi osoby LGBT, spojrzałabym im prosto w oczy i powiedziała, że nie wybrałam swojej orientacji seksualnej" – mówiła Rosebud.

O ten rozdźwięk między rzeczywistością a oficjalnymi komunikatami episkopatu chciałam zapytać abp. Naameha. Przed zamknięciem tego numeru „Tygodnika" otrzymałam tylko krótką odpowiedź od sekretarza generalnego episkopatu Lazarusa Anondee. Odesłał mnie do tego samego oświadczenia, w którym w jednym akapicie pisano o szacunku dla gejów i lesbijek, a w drugim nawoływano do zamknięcia ośrodka LGBT.

© MARTA ZDZIEBORSKA

MARCIN STĘPIEŃ / AGENCJA GAZETA

Komunia udzielana na rękę w kościele Matki Boskiej Jasnogórskiej na Widzewie w Łodzi.

Zdrowie i pobożność

ANNA JASTRZĘBIEC-WITOWSKA

Wbrew doniesieniom konserwatywnych mediów na uniwersytecie w Bergen nie udowodniono, że bezpieczniej jest przyjmować komunię do ust niż na rękę. Skąd się wzięło całe zamieszanie?

Po zniesieniu dyspens wraz z wiernymi powraca do polskiego Kościoła spór o sposób przyjmowania komunii. W połowie czerwca konserwatywne media katolickie – m.in. „Nasz Dziennik", Radio Maryja, a nawet świeckie „Do Rzeczy", powołując się na wyniki badań naukowych prowadzonych na Wydziale Nauk Biologicznych norweskiego uniwersytetu w Bergen, ogłosiły, że komunia przyjmowana do ust i w postawie klęczącej jest najbezpieczniejsza. Informacja ta jest powielana na Facebooku, forach internetowych, a także w niektórych parafiach. Nietypowe jak na zsekularyzowaną Norwegię badania naukowe i zaskakujący ich wynik skłania do wykonania manewru „sprawdzam".

Czy to przełom?

Konserwatywne anglojęzyczne media katolickie, promujące ryt łaciński i często krytyczne wobec praktyk wprowadzonych przez Sobór Watykański II, np. churchmilitant.com i gloria.tv, piszą o przełomowym studium o bezpieczeństwie przyjmowania komunii do ust, ale nie prezentują go jako pracy wydziału uniwersyteckiego. Precyzyjnie wskazują źródło, którym jest opublikowany pod koniec maja artykuł dr. Sergeya Budaeva, ekologa behawioralnego zajmującego się ewolucją zachowań ryb pod pływem presji środowiskowych na Wydziale Nauk Biologicznych uniwersytetu w Bergen. Napisany został siedem miesięcy wcześniej.

Lektura artykułu potwierdza, że jest to rozważanie teoretyczne, nawiązujące do istniejącej już literatury z zakresu zdrowia publicznego i teologii. Nie stanowi relacji z aktualnie prowadzonych badań empirycznych (bo takich nie ma) i nie należy tak go prezentować. Tekst Budaeva nosi tytuł „Safety and Reverence: How Roman Catholic Liturgy Can Respond to the COVID-19 Pandemic" („Bezpieczeństwo i pobożność: liturgia Kościoła rzymskokatolickiego w odpowiedzi na pandemię COVID-19") i można go znaleźć w najnowszym numerze czasopisma naukowego „Journal of Religion and Health".

Tezy artykułu nie odnoszą się jedynie do sposobu przyjmowania komunii. Nie jest to rdzeń tekstu. Celem, jaki przyjął autor, było wskazanie różnorodnych sposobów minimalizacji ryzyka epidemicznego dla uczestników mszy, a przede wszystkim dla sprawującego liturgię księdza. Jego bezpieczeństwo przyjmuje jako priorytetowe, gdyż „jeśli będzie zainfekowany (lub z objawami, czego należy unikać na wszystkie sposoby), stanowi wówczas ryzyko dla całej kongregacji".

Rozwiązania takie jak odprawianie mszy bez koncelebry, bez ministrantów czy posługi osób świeckich, z księdzem zwróconym przodem do ołtarza mają zmniejszać ryzyko dla sprawującego liturgię. Autor proponuje utrzymanie ich także po zakończeniu pandemii, uznając je za odpowiednio nabożne i bezpieczniejsze, także w przypadku grypy sezonowej czy ospy wietrznej. Jak zaznacza, w dawnych czasach praktyki te chroniły wiernych przed chorobami, gdy nie było szczepionek i nowoczesnych osiągnięć medycyny.

Tekst można odczytywać jako afirmację liturgii trydenckiej, ale autor zaprzecza w swoim mailu, że ją preferuje. Uczęszcza zwykle na msze w obrządku zwykłym, ale niektóre praktyki nadzwyczajnego rytu rzymskiego uznaje obecnie za korzystne dla zdrowia publicznego, gdyż zapewniają dystans. ↦

Dyskusja o wątpliwościach

W wielu aspektach dotyczących bezpieczeństwa liturgii Budaev zgadza się z rekomendacjami Światowej Organizacji Zdrowia (WHO). Nie kwestionuje zasadności używania maseczek, stosowania dystansu społecznego i limitu wiernych w świątyniach, zaniechania śpiewu i nadmiernego poruszania się po kościele podczas nabożeństw. Wszelkie natomiast uzasadnienia większego bezpieczeństwa komunii przyjmowanej na rękę uważa za niejasne. Pisze o „fałszywym poczuciu bezpieczeństwa", co prowokować może „lekkomyślne zachowania księdza lub komunikowanego" i przypadkowe przekazywanie wirusa z rąk do rąk. Nie komentuje zagadnienia redukcji zagrożenia przez dezynfekcję rąk bezpośrednio przed przyjęciem komunii.

Sensownie przedstawia bezpieczeństwo przyjmowania komunikantu w postawie klęczącej i w kolejce. Taka postawa rzeczywiście eliminuje kontakt twarzą w twarz i zmniejsza możliwość zakażenia drogą kropelkową lub przez oddech, zwłaszcza dla księdza. Jednak tezie o większym bezpieczeństwie komunii przyjmowanej do ust brakuje solidnego oparcia empirycznego. Przedstawiony przez Budaeva przegląd literatury fachowej pochodzi z przeszłości bez epidemicznego kontekstu. Przytaczane opracowania Gilla (1988), Hobbsa (1967) oraz Pellerina i Edmonda (2013) dotyczą picia wina ze wspólnego kielicha bez udziału osób chorych, co miało nie zwiększać zachorowalności w normalnych czasach. W jednym z tych tekstów pojawia się zalecenie używania osobnych kielichów.

Artykuł Budaeva nie stanowi relacji z aktualnie prowadzonych badań empirycznych i nie należy tak go prezentować.

Autor zakłada, że hostia, będąc materią suchą, podawana do ust niesie mniejsze ryzyko niż wspólne picie wina z kielicha. Nie chcąc zakazów dla osób tak przyjmujących Eucharystię, szacuje ich ryzyko zachorowania na COVID-19 jako niewielkie. Przedstawia idealny model komunii, gdzie język wysunięty jest w odpowiedni sposób, a oddech wstrzymany. Hostia z ręki księdza bezpiecznie trafia na język przyjmującego, tak jakby kontakt palców ze śliną był czymś niespotykanym. W rzeczywistości może wyglądać to inaczej, na co m.in. na tych łamach wielokrotnie zwracał uwagę o. Wacław Oszajca SJ.

W artykule Budaeva kontakt palców kapłana ze śliną jest wzmiankowany tylko przy opisie stresu, jakiego mogą doświadczać niektórzy wierni podczas przyjmowania komunii do ust. Autor nie lekceważy ich obaw ani nie odmawia im prawa do wyboru. Stwierdza nawet, że powinni jako pierwsi otrzymać komunię na rękę. Zachęca osoby przyjmujące komunię do ust do cierpliwego czekania na swoją kolej i wykorzystanie tego czasu na duchowe uzdrowienie. Przestrzega ich przed złudnym poczuciem wyższości wobec tych, którzy robią to inaczej. Jego zdaniem Kościół jako „instytucja boska i ludzka jest dużo większy niż poszczególne grupy ludzi, czy to konserwatyści, czy postępowcy". Uważa, że różnorodność Kościoła jest cenna, i unika piętnowania którejkolwiek ze stron.

W warstwie teoretycznej tekst Budaeva jest popartą tekstami źródłowymi i dość wyważoną intelektualną dywagacją na temat bezpieczeństwa przedsoborowych praktyk Kościoła katolickiego. Autorowi nie można odmówić umiejętności prowadzenia ciekawego, empatycznego wywodu. Jednak publikacja tekstu w uznanym czasopiśmie naukowym nie jest równoznaczna z przeprowadzeniem empirycznych badań naukowych. Autorskie dzieło jednego człowieka to nie wynik prac zespołu badawczego czy kompleksowy projekt wydziału uniwersyteckiego.

Budaev potwierdza w swoim mailu, że w Bergen nie prowadzono badań empirycznych nad bezpieczeństwem komunii do ust, gdyż trudno byłoby przeprowadzić je na reprezentacyjnej próbie. Odcina się także od magicznego myślenia, wedle którego opłatek po przeistoczeniu nie podlega prawom fizyki i biologii.

© ANNA JASTRZĘBIEC-WITOWSKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

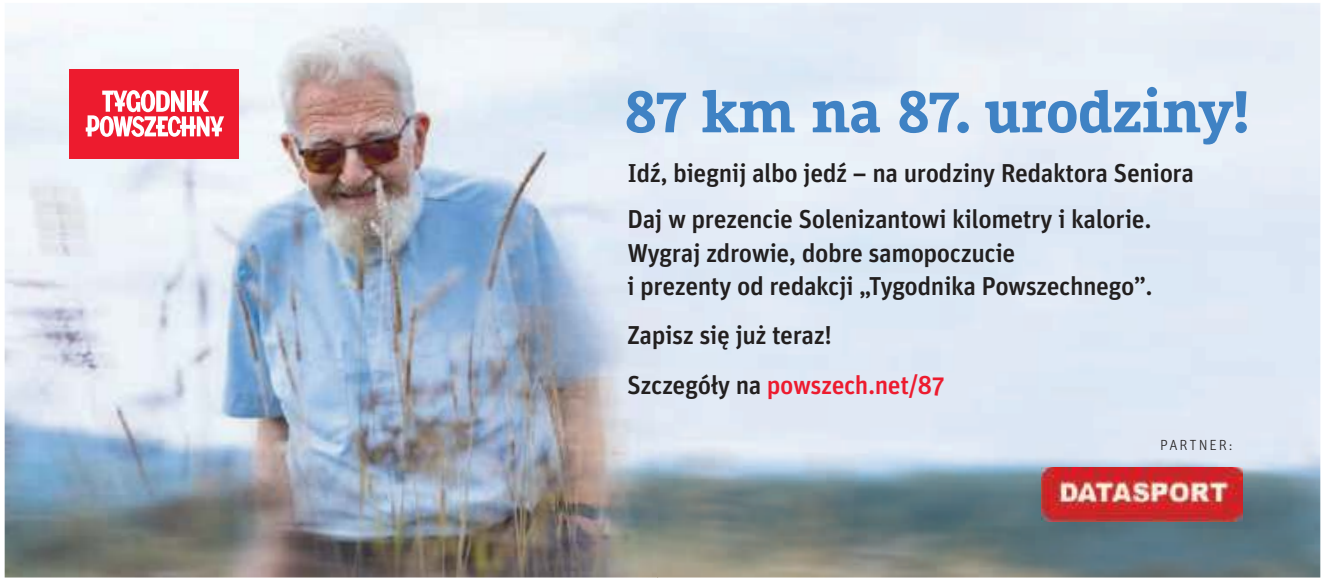

ZUZANNA

Radzik:
Kwit na sumienie

Na wielkiej scenie kościelnej dyscypliny (i polityki) amerykańscy biskupi bawią się w bramkarzy. Nie tych, których oglądacie teraz co wieczór w mistrzostwach piłki nożnej, tylko takich, jak w klubie: taksujących wzrokiem, czy się nadajesz do towarzystwa. Tym razem nie decyduje strój i atrakcyjny wygląd, lecz stosunek do aborcji. W centrum zainteresowania stoi Joe Biden, bo został prezydentem i drażni biskupi wzrok. Ten gorliwy katolik w sprawie ustawodawstwa dotyczącego praw reprodukcyjnych ma inne zdanie od swojego episkopatu. Ciekawe, że stosunek do wojny, migracji, kryzysu klimatycznego (z każdym z tych tematów wiąże się wszak ochrona i zagrożenie życia) nie skłonił jeszcze biskupów do rozważań nad zdyscyplinowaniem polityka. Zresztą wiemy nie od dziś, że tylko sprawy łóżka i macicy mogą do tego stopnia zawładnąć uwagą hierarchów.

Jednak sprawa Biden vs episkopat frapuje mnie nie tylko na politycznym poziomie. Biskupi dopadną Bidena, ale już nie tych niepublicznych katolików, którzy również nie chcą zmian w sprawie dopuszczalności aborcji. Gdzie postawić tych bramkarzy i na jakiej podstawie mają ich osądzać? I dlaczego katolicy publiczni mają doświadczać surowych konsekwencji, gdy reszta się wymknie?

To wszystko na wielkiej scenie, światowej, publicznej. Za to na małej scenie kościelnej dyscypliny nastał czas komunii, bierzmowań i chrztów. Eksplodujące po lockdownie rodzinno-kościelne uroczystości ciągną za sobą przejawy dyscypliny na miarę naszych niepolitycznych żyć – karteczki. Karteczki od spowiedzi bierzmowanych, pieczątki odznaczające obecność na mszach, karteczki od spowiedzi przed ślubem, karteczki dla chrzestnych...

Na tej małej scenie stoję ja, a nie Joe Biden, i drepczę do kancelarii parafialnej. Dla Bidena głosuje się dokumenty episkopatu, dla nas jest gotowy druczek. Mały, administracyjny terror dopada, gdy już zgodzimy się towarzyszyć bliskim w ważnych dla nich sakramentach. Chylimy więc głowy, załatwiamy, uśmiechamy się. To nie jest dobry moment na dyskusje.

Na karteczki nie ma mocnych. Rok temu próbowałam. Rodzice chrześniaczki przekazali proboszczowi, że chrzestna karteczek nie uznaje. Kazał szukać innej chrzestnej. Może to jest faktycznie jakiś test katolicyzmu: tylko gdy pochylisz głowę przed władzą proboszcza i poddasz się biurokratycznym rytuałom, jesteś godna towarzyszyć młodym katolikom na ich ścieżce wiary, gdzie prędzej czy później czeka ich dokładnie to samo.

Wtedy z kancelarii wyszłam z poczuciem upokorzenia. Kleryk na wakacyjnych praktykach wypisał kwit, że jestem wierząca i praktykująca, na podstawie rejestru przyjmowanej kolędy. Moje własne deklaracje uznano za bezwartościowe, choć wiem o sobie więcej niż parafialna kartoteka.

Niektóre przyjaźnie są ważniejsze niż własne poczucie godności. W tym roku stanęłam więc w kolejce po ten sam kwit. Na drzwiach kancelarii wyjaśniono: „zaświadczenia kanoniczne są wydawane na podstawie rzeczywistego kontaktu danej Osoby z Parafią (pisownia oryginalna) tzn. m.in. uczestnictwa w życiu sakramentalnym oraz przyjmowania kapłana z wizytą duszpasterską”. Tymczasem przez drzwi słyszę zadane mojej sąsiadce pytanie: „Ale nie żyje pani na kocią łapę?”.

Pytanie w mojej głowie goni pytanie. Cóż znaczy „na kocią łapę”? I czy skoro nie wstyd o to pytać, to czemu nie nazwać sprawy po imieniu? To jednak pojemna kategoria spraw, wachlarz samego życia. Czy kancelaria jest dobrym miejscem do tej rozmowy? Zgaduję, że zaraz będę musiała odpowiedzieć na to samo pytanie. Czy odpowiedź jest objęta tajemnicą, niczym na spowiedzi, czy zostanie dopisana w mojej kartotece obok adnotacji „katolewica”? Tyle pytań, tak mało czasu. No i nie ośmielę się ich zadać, bo... potrzebuję tego kwitu.

„Żyję z kotem” – odpowiadam z dystansem do procedury. Ale już gdy prawie mam ten papier, coś pęka i zaczynam gderać: że pytają tylko o to, a nie o inne istotne sprawy. Nie wypominam jednak, że siostra nawet nie sprawdziła w kartotece, czy jestem faktycznie chrzczoną i bierzmowaną parafianką. Gderam dalej, że właściwie każdy powinien ocenić w swoim sumieniu, czy nadaje się na chrzestnego. Siostra podnosi wzrok znad druczku, zmieszana: „Ale wie pani, jakie ludzie mają sumienia?”. No, rozumiem, pewnie różne, ale wciąż należy je uszanować. Na tym ten system polega. Wtedy moja karteczka ląduje w szufladzie. „Nie wypiszę tego, bo ma pani niekatolickie poglądy!”.

Mam co prawda różne nieortodoksyjne poglądy, ale akurat nie te. ©

TYGODNIK POWSZECHNY
Wolność, równość, siostrzeństwo!
Wydanie specjalne „Moc kobiet” dostępne jako e-book na powszech.net/emockobiet
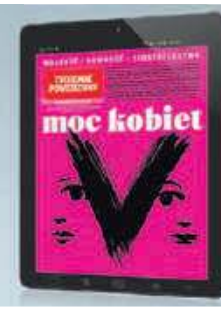

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

POWRÓT Z KALIFATU

Ukrainki i Polka mają nadzieję, że po latach spędzonych w Syrii – najpierw w Państwie Islamskim, potem w obozach jenieckich – wreszcie wrócą do domu.

TEKST PAWEŁ PIENIĄŻEK I ALONA SAWCZUK, ZDJĘCIA ALINA SMUTKO

Amina, obywatelka Ukrainy, miała szczęście: ona i siedmioro jej dzieci zostało ewakuowanych z obozu jenieckiego w Syrii. Na zdjęciu opuszczają specjalny samolot, który przetransportował ich z Iraku. Lotnisko w Kijowie, 16 czerwca 2021 r.

Właśnie dowiedziały się, że ewakuacja jest kwestią czasu, że mają się zbierać. To nie pierwszy raz, gdy tak im mówią, ale za każdym razem szczerze w to wierzą. Obozowego życia mają już dosyć.

Spakowały rzeczy i były gotowe wyruszyć w każdej chwili. Zresztą nie bardzo jest co pakować: zwykle trochę ubrań, skromna biżuteria (dobrze ukrywana), trochę kosmetyków, zabawki dla dzieci i Koran. Pracownicy ukraińskich służb już trzeci tydzień prowadzili negocjacje z przedstawicielami kurdyjskich milicji, aby zabrać z Syrii dziesięć swoich obywatelek i trzydzieścioro ich dzieci; mowa była też o jednej Polce i jej córce.

– Dostałyśmy wiadomość z Ukrainy, że zabiorą nas za dwa-trzy dni. Przygotowałyśmy torby, zacerowałyśmy ubrania. Wszystko było gotowe, a nastroje super – pisze nam Magda w wiadomości wysłanej przez internetowy komunikator.

Magda to imię fikcyjne, warszawianka nie podaje prawdziwego. Do Syrii na terytoria kontrolowane przez Państwo Islamskie trafiła w 2014 r., gdy była nastolatką. Pojechała tam wówczas za narzeczonym, który wyruszył wcześniej.

W trzech obozach jenieckich w północno-wschodniej Syrii, z których największy to Al-Hol, przebywa dziś pod strażą 4 tys. kobiet i 8 tys. dzieci narodowości innej niż iracka lub syryjska. Podejrzane o powiązania z Państwem Islamskim, przyznają się do obywatelstwa niemal 60 państw.

O Ukrainki upominają się ich rodziny. Od ponad dwóch lat naciskają na ukraińskie władze, by sprowadziły kobiety wraz z dziećmi do domów.

Ze szkoły do Syrii

Większość obcokrajowców trafiła do Syrii i Iraku w 2014 r., gdy Państwo Islamskie było u szczytu potęgi. Obiecywało stworzyć kalifat, islamskie państwo boże, i zachęcało muzułmanów z całego świata, by pomagali je budować. Miały rządzić w nim prawo religijne, sprawiedliwość i dobrobyt. Zjechało się 40 tys. ludzi, szacunkowo (te szacunki, jak i wszystkie inne dotyczące Państwa Islamskiego, są niepotwierdzone). Nie przebierając w środkach, Państwo Islamskie szybko zdobyło ogromne połacie Iraku i Syrii, zajmując takie miasta jak Ar-Rakka czy Mosul.

Wśród przybyłych z zagranicy przeważali ci, którzy chcieli walczyć zbrojnie pod czarnymi flagami. Ale wraz ze swoimi mężami przyjechały też kobiety, niektóre z dziećmi. Były też takie, które wyjechały same. Jak Alina (imię zmienione). Niektóre szczerze wierzyły w Państwo Islamskie, a inne po prostu podporządkowały się decyzji męża.

Także przynajmniej kilkanaście Ukrainek, w większości Tatarek Krymskich, trafiło wtedy na terytoria Syrii i Iraku kontrolowane przez Państwo Islamskie.

Alina do Syrii wyjechała tuż po ukończeniu szkoły fryzjerskiej. Miała 19 lat. – Lubiła się malować, ładnie ubierać i wyglądać modnie – mówi Marija (imię zmienione), siostra Aliny.

Ich rodzina to wierzący muzułmanie, choć niezbyt konserwatywni. Marija, o kilka lat starsza od Aliny, też jest wymalowana, ubrana w dżinsy rurki i ma odsłonięte włosy. Podczas rozmowy regularnie zaciąga się dymem z e-papierosa.

Wirtualny mąż

Marija wspomina, że tuż przed wyjazdem do Syrii jej siostra miała złamane serce. Spotykała się z chłopakiem, który, jak się potem okazało, ją zdradzał. Marija sądzi, że właśnie wtedy Alina trafiła na rekrutera Państwa Islamskiego. Regularnie korespondowała z obywatelem Tadżykistanu na portalu Odnoklassniki (rosyjski odpowiednik Naszej Klasy). Marija ani reszta rodziny początkowo nie wiedzieli, że coś jest nie tak. Wkrótce jednak Alina zmieniła sposób ubierania, a islam odgrywał coraz większą rolę w jej życiu.

– Jestem srogą siostrą, więc po tym, jak się okryła, zabroniłam jej korzystać z mediów społecznościowych – mówi Marija. – Ale ona robiła to dalej, tylko nie mówiła nam o tym.

Mówiąc „okryła", Marija ma na myśli hidżab, zasłonę na twarz.

A potem Alina wzięła ślub, przez internet. Jej wirtualny mąż napisał jej, że skoro jest jego żoną, to ma być mu posłuszna i powinna przyjechać do niego, do Syrii.

Pretekstem okazała się kłótnia z matką o hidżab. Alina powiedziała, że idzie nocować do koleżanki, nigdy jednak do niej nie dotarła. Po dwóch-trzech dniach rodzina poszła na policję. – Usłyszeliśmy, że jest pełnoletnia i młoda, więc pobawi się i wróci – mówi Marija.

Czas mijał. Rodzina, coraz bardziej przerażona, wypytywała znajomych o Alinę. Bezskutecznie. Wreszcie po kilku dniach ona sama się odezwała. Napisała matce wiadomość przez komunikator: „Mamo, nie martw się. Ze mną jest wszystko dobrze". ↦

↦ Matka i Marija dzwoniły do niej, ale numer był niedostępny, a esemesy pozostały bez odpowiedzi.

Podróż w jedną stronę

Minęły kolejne dni, zanim Alina ponownie się odezwała. Poinformowała, że wszystko z nią w porządku i przebywa na „ziemiach Szamu". Szam to region historyczny mniej więcej pokrywający się z Lewantem (jak określa się obszar dzisiejszej Syrii, Palestyny, Izraela, Jordanii i Libanu). Na dowód wysłała swoje zdjęcie w nikabie, stroju zakrywającym całe ciało kobiety. – Nigdy wcześniej czegoś takiego nie nosiła, zakrywała się ładnie – mówi Marija, mając na myśli hidżab.

Alina przyznała wówczas, że wyszła za mąż, a na miejscu jej się podoba, bo tu nie gnębią islamu. – Powtarzała w kółko to samo, że u niej wszystko dobrze. Była jak zombie – wspomina Marija.

Miesiąc po przyjeździe na Bliski Wschód Alina była już w ciąży, a tuż przed urodzeniem dziecka została wdową. W jaki sposób? Alina o tym nie mówi. Czy mąż brał udział w walkach? O tym też nie. – Takich rzeczy nie mogła nam mówić. Kafejki, gdzie był jedyny dostęp do internetu, były pilnowane – mówi Marija. – Jednak po śmierci męża w jej wiadomościach było czuć, że bardzo chce wracać do domu.

Po kilku miesiącach znowu wzięła ślub, tym razem z Uzbekiem. On rozmawiał z rodziną Aliny przez internet. Mówił jej mamie: „Proszę się nie martwić, opiekuję się pani córką i jestem za nią odpowiedzialny". Wkrótce Alina ponownie zaszła w ciążę. Mąż chciał ją wywieźć do Turcji, bo po krótkim okresie rozkwitu Państwo Islamskie traciło kolejne ziemie. W wojnę przeciwko niemu były zaangażowane już nie tylko lokalne siły, jak armie iracka i syryjska czy kurdyjskie milicje, ale też państwa zewnętrzne, zwłaszcza Stany Zjednoczone, Rosja czy Iran – w tej kwestii wyjątkowo zgodne. W lipcu 2017 r. dżihadyści stracili Mosul, a kilka miesięcy później Ar-Rakkę.

Mąż Aliny został przyłapany na tym, jak próbował wywieźć rodzinę z terenu Państwa Islamskiego. Dżihadyści nie tolerowali takiej zdrady, stracili go.

Wyjście z oblężenia

Historia Magdy jest podobna. Narzeczony, którego poznała w Polsce, stał się jej mężem już w Syrii. Tam urodziła dziecko. Magda twierdzi, że po prostu tam żyli, a jej mąż nigdy nie brał broni do ręki. Ona zajmowała się domem i dzieckiem. Mąż Magdy zginął w tym samym roku, co do drugi mąż Aliny. Miał potrącić go samochód we wschodniej Syrii.

Fatima Bojko, aktywistka nieformalnej grupy Dzieci: Syria-Irak, która walczy o ewakuację ukraińskich obywatelek z Syrii, udziela wywiadu po tym, jak jej siostrzenica z dziećmi wylądowała na lotnisku w Kijowie. 16 czerwca 2021 r.

Tymczasem Państwo Islamskie zostało zepchnięte przez Syryjskie Siły Demokratyczne, sojusz milicji arabskich i kurdyjskich, wspieranych przez międzynarodową koalicję ze Stanami Zjednoczonymi na czele, na skrawek pustyni: do miejscowości Baghuz al-Fawkani. Na koniec było tam ponad 60 tys. ludzi, upchniętych w prowizorycznych schronieniach. Oprócz bojowników, zamierzających walczyć do końca, były tam liczne kobiety i dzieci, zmuszone przebywać pośrodku trwającej batalii. Wśród nich Alina z dwójką dzieci i Magda z córką.

Kobiety z dziećmi uciekały w trakcie bitwy na własną rękę albo czekały na korytarze humanitarne. One trafiły z Baghuz al-Fawkani do obozu Al-Hol, który pękał już w szwach: nagle musiał pomieścić kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Na skutek przeludnienia warunki bytowe w pustynnym Al-Hol były bardzo trudne. Ukrainki z dziećmi stanowiły w nim grupę około stu osób.

Właśnie tu, w Al-Hol, większość Ukrainek, a także Magda się poznały. Zaczęły trzymać się razem i dzielić trudy obozowego życia. Z nadzieją, że prędzej czy później uda im się wrócić do domu.

Wątpliwe, czy tak by się stało, gdyby nie ciągły nacisk rodzin na urzędników i decyzja, aby tę historię upublicznić. Były dziesiątki zapytań do organów państwowych, listy do organizacji broniących praw człowieka, zamknięte spotkania z przedstawicielami władz, a wreszcie opowieści samych kobiet o doświadczeniu wojny i życiu w obozie, które trafiały do mediów.

Fatima walczy o Aminę

Presja na władze i upublicznienie sprawy to zwłaszcza zasługa 69-letniej Fatimy Bojko, której bratanica Amina wraz z rodziną także wyjechała do Syrii. 36-letnia Amina straciła tam dwóch mężów (okoliczności ich śmierci nie są znane). Łącznie miała z nimi siedmioro dzieci. Najmłodsze ma trzy lata, najstarsze czternaście.

Fatima Bojko zaczęła szukać kontaktów do osób, które mogłyby pomóc w ściągnięciu Aminy z dziećmi na Ukrainę. Udało jej się skontaktować z przedstawicielami władz, a później także ze służbami bezpieczeństwa. Do niej z kolei zwracali się krewni innych kobiet przebywających w Syrii. Bojko powołała nieformalną grupę Dzieci: Syria-Irak. To ona pomaga ustalić ich tożsamość (większość z nich nie ma paszportów, a dzieci urodzone już po wyjeździe nigdy żadnych nie otrzymały), by każda osoba oczekująca na pomoc mogła liczyć, że zostanie uwzględniona. Bojko jest przekonana, że gdyby nie ich nacisk, nikt by się sprawą nie zainteresował.

Córki Aminy po wylądowaniu w Kijowie. W obozach jenieckich w Syrii przebywa 4 tys. kobiet narodowości innej niż iracka lub syryjska, podejrzanych o związki z Państwem Islamskim; towarzyszy im 8 tys. dzieci. 16 czerwca 2021 r.

Zresztą i tak na pierwsze kroki trzeba było długo czekać. Rodziny zwracały się do ukraińskich władz od razu po tym, jak kobiety trafiały do obozu Al-Hol, czyli na początku 2019 r. Dopiero w drugiej połowie 2020 r. sprawa zaczęła nabierać rozmachu. Do końca ubiegłego roku wszystkie obywatelki Ukrainy i Magda miały zostać ewakuowane z Syrii.

Długie oczekiwanie

Magda twierdzi, że jej matka zwracała się do wszelkich możliwych polskich instytucji państwowych z prośbą o pomoc. Miała usłyszeć w odpowiedzi, że zajmą się sprawą, ale że nie powinna jej nagłaśniać. Jednak przez niemal dwa lata żadnych widocznych działań ze strony instytucji państwowych nie było, choć funkcjonariusze ABW regularnie kontaktowali się z rodziną Magdy.

W październiku 2020 r. Biuro Rzecznika Prasowego MSZ, odpowiadając na zapytanie złożone przez współautora tego tekstu, napisało: „Ministerstwo Spraw Zagranicznych monitoruje sytuację obywateli RP w regionie i posiada informację, że w obozach na terenie Syryjskiej Republiki Arabskiej przebywają obywatele Polski. Z uwagi na charakter i dobro sprawy oraz ochronę danych osobowych nie możemy udzielać bardziej szczegółowych informacji. Jednocześnie zapewniamy, że służba konsularna podejmuje wszelkie działania, zgodnie z posiadanymi uprawnieniami, wynikającymi z ustawy Prawo konsularne z 2015 roku”.

– Był moment, gdy myślałam, że utknęłam tutaj już na zawsze – mówi Magda. – Fatima Bojko powiedziała mi, że Ukraina będzie się starać, aby zabrać także mnie i moją córkę. To dało mi nadzieję, że uda mi się stąd wydostać.

Pierwsza ukraińska operacja nie odniosła jednak pożądanego efektu. W ostatni dzień grudnia minionego roku z Syrii udało się ewakuować tylko dwie kobiety i siedmioro dzieci. Choć przedstawiciele władz mówili o sukcesie, to pozostałe w obozach Ukrainki i Polka były rozczarowane. Spakowane czekały, aż wyruszą do domu.

Przetrwać w obozie

Od ponad dwóch lat kobiety przebywają w obozach w Syrii. W Al-Hol regularnie dochodzi do zabójstw i pobić. Ich przyczyną są, jak się zdaje, napięcia między dwiema grupami: kobietami, które wciąż gorąco wierzą w Państwo Islamskie, i tymi, które w ich oczach zdradziły idee dżihadu: przestały dostrzegać upragnioną utopię w państwie bożym, nie są lojalne wobec organizacji i nie przestrzegają rygorystycznych zasad narzuconych przez dżihadystów odnośnie do ubioru, modłów i ogólnego zachowania.

Prócz tego kobiety i dzieci znajdujące się w obozach muszą zmagać się z udrękami życia codziennego. Trudno wytrzymać w namiotach, gdy panuje letni skwar, albo ogrzać się w nich podczas zimowych nocy na pustyni. Bywało, że namioty rwały się na skutek ostrego wiatru czy burz piaskowych. W obozach jest ograniczony dostęp do wody pitnej, warunki sanitarne pozostawiają wiele do życzenia. Kobiety i dzieci nie mogą liczyć na właściwą opiekę medyczną.

– Niezależnie od choroby dają tutaj paracetamol, czasami przepiszą jakiś antybiotyk. Jak już jest bardzo źle, to wsadzą pod kroplówkę – mówi Alina.

Dzieci nie mogą liczyć na edukację. Wiele z nich nie potrafi czytać ani pisać – w tym dzieci Aminy, nawet 14-letnia córka. Organizacje zajmujące się ochroną praw człowieka alarmują, że niepełnoletni w obozach mogą łatwo paść ofiarą ekstremistów z takich organizacji jak Państwo Islamskie, które, choć zepchnięte do podziemia, wciąż zachowało swoje struktury w Syrii i Iraku.

Wszystkie płakaliśmy

We wtorek 15 czerwca rzeczy Ukrainek i Polki znowu były spakowane. Fatima Bojko otrzymała informację, że wraz z dziećmi w nocy przylecą do Kijowa. Radość jednak nie trwała długo. Najpierw poinformowano, że z Al-Hol nikt nie zostanie zabrany, że polecą tylko dwie Ukrainki wraz z dziećmi, ale z innego obozu. Potem decyzja zmieniła się jeszcze raz. Na koniec okazało się, że tylko jedna kobieta wraca: Amina, bratanica Fatimy, z dziećmi.

Nocą z 15 na 16 czerwca wraz z grupą prowadzącą negocjacje Amina przyleciała do Kijowa. Po wyjściu z samolotu na płytę lotniska Amina i dzieci wyglądali na oszołomionych i zagubionych, a jeszcze bardziej na zmęczonych. Fatima Bojko mocno objęła bratanicę. Ta podziękowała wszystkim zaangażowanym za pomoc. Z lotniska rodzinę zabrano na badania lekarskie, a po dwóch dniach do jednego z pensjonatów – do czasu, aż bliscy pomogą znaleźć jej nowy dom.

Tymczasem jedna z Ukrainek z obozu w Syrii przysłała wiadomość głosową: „Wszystkie płakałyśmy. Nie wiemy, co robić dalej. Nawet nie mogę mówić. Od zabrania pierwszych dwóch do wyjazdu Aminy minęło pół roku. To znaczy, że za kolejne pół roku znowu zabiorą tylko jedną? Wygląda na to, że zostaniemy tutaj, dopóki nie poumieramy”.

Ukraińskie władze deklarują jednak, że ewakuacja pozostałych obywatelek i ich dzieci to tylko kwestia czasu.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK, ALONA SAWCZUK

Zrobimy ich razem, znów

TADEUSZ IWAŃSKI

Po dwóch latach urzędowania Wołodymyr Zełenski jest na fali. Nauczył się, jak działa Ukraina, i skutecznie zwalcza oponentów.

Miejsce dobrano nieprzypadkowo. Hangar zakładów lotniczych imienia Antonowa w Kijowie okazał się dość pojemny, by zmieścić nie tylko dziesiątki dziennikarzy – w prawie przepisowych odstępach – ale też największy produkowany seryjnie transportowy samolot świata. An-124 Rusłan, gigant o masie własnej 175 ton, imponuje w każdych okolicznościach. Teraz, pomalowany w państwowe barwy żółtą i niebieską, tworzył tło dla Wołodymyra Zełenskiego, gdy ten podsumowywał dwa lata na stanowisku prezydenta.

Bohater tego dnia emanował pewnością siebie. Chwalił się osiągnięciami i obiecywał nowe. Wśród nich cel numer jeden: zbudujemy kraj bez oligarchów, mówił Zełenski, dla 40 mln Ukraińców, a nie dla garstki oligarchów z listy „Forbesa". Więcej: zniszczymy ich wpływ na media, politykę i urzędników.

Tak zwana deoligarchizacja to nowy konik prezydenta. A tak naprawdę koń, na którym jego poprzednik się przejechał. On chce na nim dojechać daleko.

Jak zdefiniować oligarchę

Grzmiąc na oligarchów, Zełenski anonsował ustawę, której projekt wkrótce potem trafił do parlamentu. Przewiduje, że o tym, kto będzie uznany za oligarchę (albo z kogo taka łatka zostanie zdjęta), ma decydować Rada Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony (RNBiO) – gremium, w skład którego wchodzi 23 najwyższych urzędników państwowych. Przewodniczącym Rady jest prezydent, on też powołuje i odwołuje jej członków.

Zapis ten od razu wzbudził wątpliwości. Tym większe, że kryteria określające, kto ma być oligarchą, nie grzeszą precyzją. Są cztery: udział w życiu politycznym, znaczny wpływ na media, bycie monopolistą w pewnym segmencie gospodarki i majątek powyżej 83 mln dolarów (to ukraińskie minimum socjalne pomnożone przez milion). Spełnienie trzech ma decydować o przyznaniu statusu oligarchy. Projekt stanowi, że będą oni ujęci w specjalnym rejestrze, będą musieli składać jawne deklaracje majątkowe (jak dziś urzędnicy), nie będą mogli brać udziału w prywatyzacji wielkich zakładów ani finansować partii. Urzędnicy i politycy, którzy się z nimi spotkają, będą musieli o tym publicznie informować.

Obóz rządzący uważa, że ustawa to pierwszy krok do demontażu oligarchicznego systemu i tym samym do zwiększenia bezpieczeństwa kraju. Jej sens ma polegać na tym, aby wielkiego biznesu nie zabijać, lecz przeciąć jego patologiczny wpływ na media i politykę.

Marzenie o normalnym kraju

To fakt, z którym na Ukrainie nikt nie polemizuje: system oligarchiczny, wraz z immanentną dlań korupcją i nepotyzmem, to stały element niepodległej Ukrainy. Przetrwał trzech prezydentów (w tym jego twórcę Leonida Kuczmę) i dwie rewolucje, nie nadwyrężyła go też wojna z Rosją. Niektórzy oligarchowie trzymają w garści całe sektory gospodarki. Rinat Achmetow – produkcję energii i sporą część produkcji stali. Ihor Kołomojski – produkcję paliw. Dmytro Firtasz – wewnątrzkrajową dystrybucję gazu. Swoją pozycję budowali cierpliwie, dała im bogactwo i wpływy. Zatrudniają dziesiątki tysięcy ludzi. Utrzymują nierentowne, lecz kształtujące polityczne gusta stacje telewizyjne.

Wiadomo też, że gdyby nie mieli wpływu na polityków, urzędników i sądy, część ich biznesu nie byłaby rentowna. Skoro więc tylko powyższa trójka kontroluje w sumie grubo ponad setkę deputowanych do Rady Najwyższej (w tym z rządzącej partii Sługa Narodu), to czy zechcą sami skręcić sznur na własną szyję, pozwalając na uchwalenie takiej ustawy?

Ołeksij Daniłow, sekretarz RNBiO, uważa, że pod przepisy ustawy podpadnie trzynastu biznesmenów. Nie podał nazwisk, ale na dziennikarskiej giełdzie łatwo zidentyfikowano pierwszą dziesiątkę. Niektórzy reagowali sucho, stroniący od mediów Achmetow nazwał się skromnie inwestorem. Inni z czarnym humorem:

Kołomojski zapowiedział, że uszyje sobie specjalny garnitur, który odróżni go od nieoligarchów, czyli frajerów, i przyczepi do niego gwiazdkę „oligarcha". Jeszcze inni śmiertelnie poważnie: były prezydent Petro Poroszenko (lider w biznesie spożywczym, „król czekolady") uznał to za osobistą zemstę Zełenskiego.

Dla nich sam pomysł ustawowego uregulowania ich działalności to zamach na wszystkie świętości. Szykują się więc do batalii w parlamencie. Podobnie jak prezydent, który grozi, że w razie nieuchwalenia projektu ogłosi w tej sprawie referendum. W ten sposób wraca do korzeni, do swego wyborczego hasła z 2019 r. Brzmiało: „Zrobimy ich razem", w podtekście: zrobimy w konia. Zełenski dawał tak do zrozumienia Ukraińcom, że jego wybór oznacza ogranie establishmentu, że jest receptą na normalność.

Oligarcha, ale dobry

Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Dodajmy, że ustawa – w przypadku jej uchwalenia – dotknie też pewnego nowego, „dobrego" oligarchę. Ten biały kruk to Tomáš Fiala, szef największej na Ukrainie firmy inwestycyjnej Dragon Capital, której portfel szacowany jest na miliard dolarów.

Fiala zaczął działalność na Ukrainie jeszcze w tzw. bandyckich latach 90. XX w., ale głośno o nim zrobiło się dopiero po majdanowej rewolucji godności, gdy zaczął budować imperium medialne. Dziś kontroluje m.in. „Nowe Wremia"

STRINGER / SPUTNIK / BE&W

Prezydent Wołodymyr Zełenski podczas konferencji prasowej w zakładach lotniczych imienia Antonowa w Kijowie, 20 maja 2021 r.

(tygodnik i portal internetowy), do których dokupił największą ogólnokrajową sieć stacji radiowych (obecnie pod nazwą Radio NW), a ostatnio także opiniotwórczy portal Ukraińska Prawda. Media te mają profil prorynkowy, prozachodni i prodemokratyczny. Podobnie proreformatorska – choć obecnie pogrążona w kryzysie – jest partia Hołos (Głos), do finansowania której, przez wspólników, Fiala się przyznaje.

O co tutaj chodzi?

Na Ukrainie istnieją dziś wszelkie możliwe instytucje niezbędne do walki nie tylko z oligarchami, ale też z patologiami w biznesie, jak korupcja i rejderstwo (siłowe przejmowanie firm). Co więcej, na czele kluczowych, jak Prokuratura Generalna i Służba Bezpieczeństwa Ukrainy, stoją ludzie Zełenskiego. Czy więc do rozmontowania systemu oligarchicznego potrzebna jest nowa ustawa czy raczej wola polityczna? Pytanie tym bardziej zasadne, że kluczowe reformy antykorupcyjne – wybór specjalnego prokuratora antykorupcyjnego, przywrócenie odpowiedzialności karnej za błędy w deklaracji majątkowej i sanacja sądów – wciąż buksują, a obóz władzy nie jest tu bez winy.

Nie sposób nie zgodzić się z opinią, że sensowniej byłoby przyjąć inne ustawy, zawierające np. przepisy antykoncentracyjne i zasady przejrzystego lobbingu. Choć zapowiadane, wciąż się nie pojawiają. Ponadto prawnicy twierdzą, że projekt Zełenskiego jest na tyle nieprecyzyjny, iż z jednej strony może otwierać furtkę do użycia go w charakterze politycznej pałki, a z drugiej może oznaczać, że ludzie, których dotknie, uzyskają pozytywny wyrok europejskich sądów i odszkodowanie z ukraińskiego budżetu. Jak to mówią na Ukrainie: surowość regulacji często rekompensowana jest brakiem nieuchronności ich wykonania.

O co więc chodzi? Zełenskiemu można przypisywać trzy motywacje: odzyskanie inicjatywy politycznej i społecznej miłości (wszak uderzenie w bogaczy nie może nie dodać popularności), zdobycie narzędzia wzmacniającego pozycję głowy państwa wobec oligarchów (ale nie po to, by ich zniszczyć, lecz podporządkować), wreszcie uzyskanie większego wpływu na media. Część komentatorów uważa, że aby nie trafić do rejestru, właściciele mediów mogą je sprzedać, a kupującymi będą osoby związane z władzą.

Zełenski odzyskuje inicjatywę

Od początku urzędowania prezydent chciał, aby było szybko, efektownie i skutecznie. Rychło zmienił rząd, prokuratora generalnego i szefa swojej administracji (nie bacząc, że zdymisjonowany to jego druh i najbliższy doradca, który wprowadzał go w arkana polityki). Dziś władza wykonawcza jest mu w pełni podporządkowana.

Jednak od wiosny 2020 r. zaczęła mu się wymykać władza ustawodawcza: potężna, bo 254-osobowa (w 450-osobowej izbie) i rządząca bez koalicjanta frakcja Sługa Narodu przestała – wskutek emancypacji deputowanych i coraz hojniejszych propozycji oligarchów – przegłosowywać bez zająknięcia prezydenckie ustawy. Z kolei władza sądownicza dokonała jesienią 2020 r. potężnej wolty: Sąd Konstytucyjny podważył kluczową reformę antykorupcyjną i planował zablokowanie innych, kierując się przesłankami bardziej politycznymi niż prawnymi. Zełenski potraktował to jak osobistą zniewagę i zaczął szukać instrumentu, który pozwoliłby przełamać opór systemu i knowania opozycji.

Znalazł go w lutym – w postaci wspomnianej już Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony. Sankcje wobec osób fizycznych i prawnych, które w ostatnich miesiącach Rada nakładała szerokim strumieniem na polityków, propagandzistów i kontrabandzistów (w tym na obóz prorosyjski), a także inne jej decyzje mające wpływ na sprawy bieżące, pozwoliły Zełenskiemu odzyskać inicjatywę i szacunek wyborców. Dziś cieszy się w sondażach prawie dwukrotnie większym poparciem niż jego poprzednik Poroszenko (nie porzucił on ambicji, by wrócić na urząd) i dystansuje też Jurija Bojkę, czołowego kandydata obozu prorosyjskiego.

Także ostatnia inicjatywa Zełenskiego, pod hasłem deoligarchizacji, dowodzi jego wyczucia społecznych nastrojów. Oraz sprytu właściwego politykom, którzy wyszli już z fazy początkującej: sam nie może na niej przegrać, a jeśli mu się uda – wygra też państwo.

Prezydent przez duże „P"

Do hangaru zakładów imienia Antonowa Zełenski wszedł szparkim krokiem, z podniesioną głową. Jak rasowy polityk, jakże inny od tego ze swojej pierwszej konferencji prasowej jesienią 2019 r. – czternastogodzinnego maratonu w Kyiv Food Market, gdy z uśmiechem na coraz bardziej zmęczonej twarzy odpowiedział na pięćset pytań trzystu dziennikarzy.

Dziś dowcip stężał, stopniała kurtuazja i serdeczność, z jaką wtedy czarował rozmówców. Pojawiły się za to chmurne miny, ostre sądy i pokrętne odpowiedzi – zwłaszcza na pytania o skandale korupcyjne w jego otoczeniu. Przez dwa lata Zełenski nauczył się polityki. Połknął bakcyla władzy i bezlitośnie korzysta z dostępnych mu narzędzi, by ją utrzymać. ©

ALEXANDER DEMIANCHUK / ITAR-TASS / PAP

Trzecie w kolejności miejsce wśród regionów Rosji, gdzie notuje się największy przyrost zachorowań, zajmuje Petersburg. Mimo to odbywają się tu mecze piłkarskich mistrzostw Europy. Na zdjęciu: polska drużyna przybywa do hotelu przed spotkaniem ze Słowacją, 13 czerwca 2021 r.

Covid wrócił do Rosji

ANNA ŁABUSZEWSKA

Rok temu prezydent Putin triumfalnie ogłaszał, że Rosja pokonała epidemię. Dziś nowa jej fala zmywa optymizm i zmusza do stawiania przykrych pytań.

A miało być już dobrze, Rosjanom spokój miała zapewnić rodzima szczepionka. Dziesięć miesięcy temu Władimir Putin z satysfakcją oznajmił, że Rosja jako pierwsza na świecie opracowała szczepionkę przeciw koronawirusowi. Nazwano ją Sputnik V, a rosyjskie władze przeprowadziły akcję propagandową mającą przekonać kraj i świat, że jest ona efektywna i bezpieczna.

Gdyby utworzyć jednostkę mierzącą nasilenie propagandy (nazwijmy ją np. propagandon), i gdyby zastosować stustopniową skalę, to akcja wychwalania zalet szczepionki opracowanej przez Centrum im. Gamalei zasługuje na maksymalną wartość stu propagandonów. Tymczasem specjaliści od szczepień – i rosyjscy, i zagraniczni – ostrzegali, że Sputnik powinien zostać wprowadzony dopiero po trzeciej fazie badań klinicznych, których nie przeszedł w chwili, gdy dopuszczono go w Rosji do obiegu.

Zresztą Europejska Agencja Leków (EMA) do dziś nie wydała rekomendacji dla Sputnika, choć niektóre kraje, w tym członkowie Unii, nabyły partie Sputnika. Na Słowacji doprowadziło to do trzęsienia na politycznej górze i dymisji zaangażowanych w kupno polityków. Gdy wreszcie Słowakom pozwolono się nim szczepić, akcja zakończyła się fiaskiem: Sputnik wybrało niespełna 6 tys. osób.

Naród nie wierzy władzy

Wróćmy do rosyjskich realiów. Władze nadal chwalą się Sputnikiem, a także dwiema innymi szczepionkami opracowanymi przez dwa inne instytuty badawcze (EpiVaCorona z Centrum Wektor i CoviVac z Centrum im. Czumakowa) oraz jednodawkową wersją Sputnika, zwaną Sputnik Light. Zagraniczne szczepionki zostały przez państwową propagandę dawno zmieszane z błotem, na razie nie ma mowy o sprowadzeniu ich do Rosji.

Z ostatnich komunikatów wynika, że jedną dawką zaszczepiło się zaledwie 13 proc. populacji, a dwiema – 11 proc. Na Rosjan nie działają spływające z ekranu telewizora codzienne zaklęcia, aby się szczepili. Nie podziałało nawet wezwanie prezydenta. W marcu Kreml ogłosił, że Putin zaszczepił się pierwszą dawką, miesiąc później drugą. Wydarzeniu towarzyszył wyłącznie ustny komunikat, co wzbudziło wiele podejrzeń u i tak podejrzliwych Rosjan. Putin nie zaszczepił się bowiem przed kamerą, choć lubi wszelkie akcje, w których prezentuje się jako heros. Na dodatek nie ujawniono, jaką szczepionką został zaszczepiony; powiedziano jedynie, że rosyjską.

Według nowego sondażu Centrum Lewady aż 62 proc. Rosjan nie chce się zaszczepić. Za to coraz bardziej popularne są ogłoszenia w internecie o możliwości nabycia fałszywego certyfikatu o szczepieniu. Firmy Google i Yandex ujawniły, że w należących do nich wyszukiwarkach internetowych w ostatnim miesiącu wzrosła aż o 850 proc. częstotliwość pytań o możliwość zakupu fałszywego certyfikatu. Na lewo można sobie załatwić taki papierek za kilka tysięcy rubli.

Politolog Władimir Pastuchow uważa, że władze popełniły kardynalny błąd w swojej strategii walki z koronawirusem i w prowadzeniu akcji szczepionkowej. Błąd wynikający z niezrozumienia istoty i kondycji tzw. głębokiego narodu. „Za nowoczesną fasadą nadal żyje w nim patriarchalny chłop pańszczyźniany – dowodzi Pastuchow. – Kreml zdawał sobie sprawę, że przedstawiciel narodu nie wierzy władzy. I nauczył się robić z tego użytek. Ale nie był przygotowany na to, że naród nie wierzy nikomu i w nic: w na-

ukę, medycynę, statystykę, a nawet w logikę też, tak jak nie wierzy w to, że władza może być uczciwa. Fatalizm i cierpliwość – oto środki obrony przed pandemią, suszą, powodzią itd. Naród w Rosji mniej się boi klęsk żywiołowych niż wymyślonych przez ludzkość metod walki z nimi. Szczepionki też. (...) Zamiast to zwalczać, władze przytakiwały i szły naprzeciw oczekiwaniom".

Dziś chyba za późno na odbudowanie wiary w szczepionki, przyszło sięgnąć po knut.

Prezydent przed „ikonostasem"

W zimowych miesiącach poziom zakażeń koronawirusem utrzymywał się w przedziale 7-9 tys. dziennie. Uznano, że w 145-milionowym kraju jest to na tyle niski wskaźnik, iż można luzować ograniczenia. Stopniowo otwierano gastronomię, kurorty, siłownie, szkoły, placówki kultury itd. No i szczepiono. Ale powolutku – mimo że już w styczniu ogłoszono masowe, darmowe i dobrowolne szczepienia dla wszystkich.

Władze realizowały swobodnie swój kalendarz polityczny. Np. w rocznicę aneksji Krymu Putin zwołał na stadionie Łużniki wiec – przygnano 80 tys. ludzi, maseczki mieli tylko nieliczni. Sam prezydent od marca 2020 r. na ogół siedział w swoim bunkrze. Były okazje, że opuszczał bezpieczną kryjówkę – pojawił się np. na trybunie na placu Czerwonym, by odebrać defiladę wojskową z okazji Dnia Zwycięstwa, a niedawno wybrał się do Genewy na spotkanie z Joem Bidenem.

Według niepotwierdzonych informacji wszyscy, którzy są dopuszczani do kontaktu z Putinem (np. dziennikarze lub gubernatorzy), obowiązkowo przechodzą wcześniej dwutygodniową kwarantannę. Natomiast telewidzowie oglądają narady z udziałem przywódcy odbywające się w dalszym ciągu online: Putin nieodmiennie siedzi przy biurku naprzeciw wielkiego ekranu, na którym wyświetlają się ikonki z gadającymi głowami ministrów i innych ważnych osób (komentatorzy nazywają ten ekran złośliwie „ikonostasem").

Czy to już „covidobyl"?

Tymczasem na początku czerwca sukcesywnie zwiększający się dobowy przyrost zakażeń zaczął wzbudzać coraz większe zaniepokojenie. Ostatnio notowano już 20 tys. nowych przypadków dziennie, z tendencją rosnącą. Szpitale covidowe, wcześniej „spakowane", ponownie „odpakowano", bo zwykłe szpitale momentalnie zapełniły się chorymi. Lekarze biją na alarm, że dziś umiera o wiele więcej ludzi niż w poprzednich dwóch falach, które przeszły przez Rosję: ponad pięćset osób w ciągu doby, a to dopiero początek śmiertelnego żniwa. Czy to „tylko" trzecia fala, czy już „covidobyl" (jak obrazowo określił to Pastuchow, nawiązując do katastrofy w Czarnobylu)?

Do Rosji dotarły nowe mutacje wirusa. Zbliżony do sfer rządowych lekarz wskazywał, że tzw. wuhańskiego wariantu, tego pierwotnego, już w kraju praktycznie nie ma, natomiast rosną w siłę mutacje Alfa (zwana też brytyjską) i Delta (indyjska): bardziej zakaźne, bardziej niebezpieczne, którymi zakażają się młodzi ludzie, najbardziej niechętni szczepieniom. Niechęć do wakcynacji potęgują naświetlane przez opozycyjne media liczne przypadki podmiany jednej szczepionki na inną, bez informowania o tym pacjentów. Poza tym szczepionek nadal brakuje, zwłaszcza na prowincji.

Minister zdrowia uprzedzał, że nawet ci, co już się zaszczepili lub są ozdrowieńcami, będą musieli się „doszczepić" kolejną dawką, aby obronić się przed mutacjami. Lecz co tu mówić o rewakcynacji, skoro 87 proc. społeczeństwa nie przyjęło nawet pierwszej dawki?

„Udalonka" wraca do użytku

W Moskwie, gdzie notuje się najwięcej nowych zachorowań (prawie 10 tys. dziennie), rzucono pomysł, aby przymusowo szczepić ludzi pracujących w usługach i państwowych zakładach pracy. Mer Siergiej Sobianin dał w połowie czerwca mieszkańcom prawie tydzień wolnego, by opanować sytuację. Przebąkuje się o nowych ograniczeniach w komunikacji i gastronomii. Inne regiony podchwyciły pomysł z przymusowym szczepieniem niektórych kategorii pracowników. Natomiast Buriacja – jako pierwszy region Federacji Rosyjskiej – wprowadziła lockdown do 11 lipca.

W czwartek 24 czerwca sztab operacyjny ds. walki z covidem oświadczył, że pracodawcy są zobowiązani odsunąć od pracy tych, którzy odmawiają szczepień. Tacy pracownicy powinni zostać pozbawieni pensji lub przymusowo przesunięci do pracy zdalnej. Słowo „udalonka" (online), popularne w zeszłorocznym lockdownie, wraca do użytku.

Wydaje się, że pomysły powstają od przypadku do przypadku. Brak w akcji władz konsekwencji, brak wizji. Bo z jednej strony jest znowu wielki strach przez zarazą, ale z drugiej otwarto właśnie bez ograniczeń połączenia lotnicze z Turcją i Rosjanie szeroką ławą ruszyli, by odreagować niedawne nagłe zamknięcie tego kierunku (loty do Turcji zawieszono kilka tygodni temu z powodów politycznych, za to nie ograniczano połączeń z Indiami; teraz Rosjanie odczuwają fatalne tego skutki). Tym bardziej że na Krymie, wskazywanym przez władze jako miejsce idealnego wypoczynku, przydarzyła się ostatnio tragiczna w skutkach ulewa i powódź. Inne rosyjskie regiony turystyczne zapowiedziały, że nie będą wpuszczać turystów bez certyfikatu szczepień.

Kibic ma się bawić

Trzecie w kolejności miejsce wśród regionów Rosji, gdzie odnotowuje się największy przyrost nowych zachorowań, zajmuje Petersburg – ponad tysiąc przypadków dziennie. W internecie krążą filmy z petersburskich szpitali, w których pacjenci leżą na korytarzach; dla niektórych nie wystarcza łóżek, kładzie się ich na materacach. Oficjalne komunikaty nie są tak katastrofalne – może dlatego, aby nie powodować paniki w mieście, gdzie odbywają się mecze piłkarskich Mistrzostw Europy. Kibice mają przyjechać i dobrze się bawić. A co przywiozą z Rosji do domu? To się niebawem okaże.

Władze próbują robić dobrą minę do złej gry. Na wrzesień są wyznaczone wybory do Dumy Państwowej. Czy do tego czasu trzecia fala opadnie, a jeśli tak, to czy kraj zdoła się po niej pozbierać? W jakich nastrojach będą wyborcy? A może wybory zostaną przesunięte, aby administracja w regionach mogła zająć się epidemią, a nie zapewnianiem odpowiednich wskaźników wyborczych? O tym na razie nie ma mowy.

Widać natomiast, że wzbierająca covidowa fala może mocno namieszać w planach polityków, oderwanych od rzeczywistości. I jeszcze mocniej zmienić stosunek społeczeństwa do władz. Nieufność zostanie podniesiona do kolejnej potęgi. ©

Tekst ukończono 24 czerwca.

Pewnej niedzieli nad Morzem Czarnym

PIOTR OLEKSY

W Bułgarii i Mołdawii politycy walczący o uczciwość mierzą się z obrońcami starego systemu, którzy przez lata zawłaszczali oba państwa.

Wachlarz muzycznych możliwości Sławiego Trifonowa jest szeroki. W swej karierze ten niespełna 55-letni bułgarski piosenkarz grywał pop, rzewne ballady, punk, a przede wszystkim czałgę – mieszankę popu z bałkańskim folkiem. Z powodzeniem tworzył też programy telewizyjne, w których występował jako prezenter.

Najwyraźniej show-biznes to nie koniec jego możliwości. Przez ostatnich kilkanaście tygodni Trifonow był też posłem. I to nie byle jakim, bo liderem drugiej siły politycznej w bułgarskim parlamencie. Partia pod nazwą Jest Taki Lud, założona w przededniu wyborów, które odbyły się w kwietniu tego roku, to również jego autorski projekt.

Charyzma showmana i antyelitarny przekaz wystarczyły, by w krótkim czasie osiągnąć polityczny sukces w kraju, w którym od roku obywatele protestują przeciw oligarchiczno-mafijnej autokracji. Tym, którzy go poparli, nie przeszkadzał fakt, że o planach partii Trifonowa trudno było powiedzieć coś konkretnego. Mimo to jej polityczne znaczenie wkrótce może być jeszcze większe: 11 lipca w Bułgarii odbędą się kolejne wybory, przedterminowe. Sondaże pokazują, że poparcie dla partii piosenkarza może wzrosnąć z 17 proc., które uzyskała w kwietniu, do nawet 23 proc.

Tej samej lipcowej niedzieli przyśpieszone wybory odbędą się również w niedalekiej Mołdawii. Sytuacja jest zaskakująco podobna – po jednej stronie mamy siły walczące o oczyszczenie kraju z korupcji, a po drugiej sojusz polityków i oligarchów dążących do zachowania *status quo*. W obu przypadkach obóz zmian odwołuje się do uczciwości w życiu publicznym i godności obywatelskiej, a druga strona walczy hasłami pełnymi odniesień do tożsamości i godności narodu.

Borisow i jego układ

Bułgarskie kwietniowe wybory przyniosły też, być może, początek końca długich rządów Bojka Borisowa. Wprawdzie jego partia Obywatele na rzecz Europejskiego Rozwoju Bułgarii (GERB) uzyskała najlepszy wynik, jednak w porównaniu do poprzedniej kadencji straciła sporo miejsc w parlamencie. Co dla Borisowa gorsze, żadne z pozostałych ugrupowań nie dopuszczało myśli o zbudowaniu z nim koalicji. Musiał więc pożegnać się z teką premiera, którą dzierżył (z krótką przerwą) od 2009 r. Czy na stałe, zobaczymy wkrótce.

Przez całe lata ten 62-letni dziś polityk postrzegany był na Zachodzie jako gwarant politycznej stabilności Bułgarii i jej atlantyckiego kursu w polityce zagranicznej. Za ten kredyt zaufania, który owocował przymykaniem oka przez zagranicznych partnerów na korupcje i naruszanie standardów państwa prawa, Borisow odpłacał się lojalnością w kwestiach kluczowych dla europejskiej polityki, takich jak kryzys migracyjny.

Jednocześnie nieustannie starał się tworzyć wrażenie, że jego współpraca z Rosją w sferze energetycznej i niechęć do sankcji, którymi zachodnia wspólnota reagowała na poczynania Władimira Putina, wynikają przede wszystkim z pragnienia utrzymania w ryzach tradycyjnej ponoć prorosyjskości Bułgarów. Jej uosobieniem mieli być główni polityczni przeciwnicy Borisowa, czyli Bułgarska Partia Socjalistyczna (BSP).

Jednak w ostatnich latach w kraju postrzegano Borisowa zupełnie inaczej. Od mniej więcej 2015 r. aktywiści obywatelscy i prawnicy powtarzają, że premier i współdziałający z nim oligarchowie zawłaszczyli państwo. W czerwcu 2018 r. Lozan Panow, przewodniczący Sądu Najwyższego, wystąpił z bezprecedensowym – choć niezauważonym przez zagranicę – przemówieniem, w którym stwierdził, że w Bułgarii nie funkcjonuje trójpodział władzy, a jego rodzina jest prześladowana, gdyż on sam nie chce przyjmować rozkazów od rządu.

Frankenpaństwo

Zdaniem Radosvety Vassilevej, bułgarskiej badaczki z Middlesex University w Londynie i autorki licznych prac o mechanizmach tutejszego systemu władzy, to Prokuratura Generalna (ona miała podejmować działania wobec bliskich Panowa) jest głównym filarem bułgarskiego „frankenpaństwa". Tym pojęciem, nawiązującym do horroru o monstrum Frankensteina, które nie było ani żywe, ani martwe, Vassileva nazywa współczesne autokracje, które formalnie nadal posługują się demokratycznymi narzędziami.

Kolejne filary bułgarskiego „frankenpaństwa" to Wyższa Rada Sądownicza i specjalne sądy kryminalne. Wszystkie te instytucje mają być podporządkowane partii rządzącej i wspólnie tworzyć mechanizm nacisku na niezależne sądownictwo, społeczeństwo obywatelskie i opozycję – pisze Vassileva. Symboliczna w tym wymiarze była sytuacja z lipca 2020 r., gdy siły specjalne podporządkowane prokuraturze aresztowały dwóch doradców prezydenta Rumena Radewa, związanego z Partią Socjalistyczną.

To postkomunistyczne w swoich korzeniach ugrupowanie zajmuje specyficzne miejsce w całej układance. Jeszcze kilka lat temu to ono było symbolem korupcji i podporządkowania państwa prywatnym interesom. Obecnie krytykuje Borisowa i jego GERB. Ogromna część społeczeństwa jest jednak przekonana, że pod względem uczciwości i mentalności obie partie nie różnią się specjalnie, będąc swoimi lustrzanymi odbiciami.

Również filarami – i zarazem beneficjentami – tego systemu są oligarchowie. Najważniejszy to Delan Peewski, magnat medialny, który kontroluje partię bułgarskich Turków (Ruch na rzecz Praw i Wolności, DPS) i współpracuje z Borisowem. Warto wspomnieć też Wasyla Bożkowa: to autorytet kryminalny z branży hazardowej, mający aspiracje polityczne. Jest znany pod pseudonimem „Czaszka".

NIKOLAY DOYCHINOV / AFP / EAST NEWS

Koncert Sławiego Trifonowa w Sofii, poprzedzający jego kampanię wyborczą, październik 2016 r. Dziś Trifonow jest liderem drugiej największej partii w bułgarskim parlamencie.

Kraj i jego właściciele

Także w Mołdawii kluczem do władzy nad państwem – i nad miejscowym biznesem – było przejęcie kontroli nad prokuraturą i wymiarem sprawiedliwości.

O Mołdawii jako o „państwie zawłaszczonym" zaczęto mówić głośno w 2016 r. Wtedy to głównym właścicielem kraju (można użyć takiego określenia) stał się Vlad Plahotniuc – oligarcha i szef Partii Demokratycznej, przez lata przedstawiający się jako gwarant prozachodniego kursu. To właśnie wtedy, gdy jego wpływy były największe, doszło do najbardziej niezwykłej afery: z systemu bankowego wyprowadzono, bagatela, miliard dolarów. A także do wielu innych afer.

Plahotniuc stracił swoją nieformalną pozycję „właściciela" kraju w czerwcu 2019 r. na skutek bezprecedensowego wspólnego nacisku zachodniej i rosyjskiej dyplomacji, które skłoniły ugrupowania opozycyjne – prozachodnie i prorosyjskie – do współpracy przeciwko niemu. Wkrótce jednak większość władzy w swoich rękach skoncentrował ówczesny prorosyjski prezydent Igor Dodon – formalnie niedawny przeciwnik Plahotniuca, który w rzeczywistości był jednym z dwóch filarów kartelu politycznego, rządzącego Mołdawią za fasadą geopolitycznych sporów.

Dodonowi nie udało się odtworzyć wpływów, którymi dysponował poprzednik. Podporządkowana mu większość parlamentarna zaczęła topnieć wiosną 2020 r., przez co państwo wpadło w polityczny dryf. Wybory prezydenckie z listopada 2020 r. zdawały się być szansą na przełamanie tego impasu.

Obywatelski zwrot

Nową prezydentką została wybrana wówczas Maia Sandu, która od lat jest uosobieniem nadziei na jakościową i moralną rewolucję w mołdawskiej polityce. Sukces zawdzięczała ogromnemu zmęczeniu elitą polityczno-oligarchiczną, której Dodon stał się symbolem, a także pragnieniu zmiany osi sporu politycznego. Dziś widać, że jej zwycięstwo to był dopiero początek – i od razu niełatwy.

Dotychczas mołdawską polityką rządziły kwestie tożsamościowe i geopolityczne. Unikając odpowiedzi na pytania związane z realnym rządzeniem państwem, elita kierowała uwagę wyborców na kwestie charakteru wspólnoty narodowej i jej miejsce w świecie. Tymczasem w swojej kampanii Maia Sandu, tradycyjnie kojarzona z prozachodnim wektorem i prorumuńskimi sympatiami, wyciągała rękę także do rosyjskojęzycznych obywateli. Przekonywała ich, że najważniejsze są prawa i godność każdego człowieka bez względu na to, czy kulturowo bliżej mu do Moskwy czy do Zachodu. Argumentowała przy tym, że te prawa są w Mołdawii łamane przez miejscowych oligarchów, a nie przez „liberalne zachodnie elity" lub „rosyjskie czołgi" (jak głosiły umownie strony sporu na swych sztandarach).

Ten proobywatelski zwrot dał Mai Sandu rewelacyjny wynik w drugiej turze wyborów prezydenckich i stworzył nadzieję, że Mołdawianie zaczynają inaczej patrzeć na rolę państwa i na siebie, jego obywateli.

Jednak siły broniące *status quo* okazały się liczne i sprawne. Wprawdzie zaraz po wyborach nawet przegrany Igor Dodon mówił, że potrzebne są przyśpieszone ↦

SERGEI GAPON / AFP / EAST NEWS

Maia Sandu (z lewej) podczas kampanii wyborczej, która przyniosła jej zwycięstwo w wyborach prezydenckich. Kiszyniów, 16 listopada 2020 r.

↦ wybory parlamentarne, ale potem jego Partia Socjalistów zaczęła działać na rzecz ich maksymalnego opóźnienia. Sojusznikami socjalistów w tej grze stali się Partia Șor, kierowana przez 34-letniego Ilana Șora (został on oficjalnie oskarżony w sprawie kradzieży miliarda dolarów, ale ponieważ nie zastosowano wobec niego aresztu, zaczął działalność polityczną; obecnie przebywa w Izraelu), oraz wychodźcy z Partii Demokratycznej, którzy wiedzieli, że nie mają szans na reelekcję.

Przyśpieszone wybory groziły demontażem wieloletniego systemu władzy, którego wszyscy oni byli beneficjentami. W efekcie udało im się przedłużyć funkcjonowanie parlamentu o kilka miesięcy; został rozwiązany pod koniec kwietnia.

Fasada i kulisy

Gdy w 2013 r. najbiedniejsi Bułgarzy masowo zaprotestowali przeciw wzrostom cen, Borisow dokonał mistrzowskiego gambitu: ustąpił, rozwiązał parlament i dopuścił postkomunistów do władzy. Po kilku miesiącach ulica znów protestowała, tym razem w przekonaniu, że Partia Socjalistyczna umożliwia oligarchom odzyskiwanie straconych pozycji. Kolejne przyśpieszone wybory przyniosły powrót Borisowa na fotel premiera, a także powszechne przekonanie, że tylko on może uchronić kraj przed zawłaszczeniem.

W lipcu 2020 r. ten miraż gwałtownie się rozpłynął. Czarę goryczy przelało nagranie, które pokazywało, że Achmed Dogan, przewodniczący partii bułgarskich Turków, nie tylko zawłaszczył sobie część publicznej plaży, ale jeszcze korzysta z państwowej ochrony. W tym czasie ówczesna koalicja, w skład której wchodziły również ugrupowania nacjonalistyczne, w oficjalnych wystąpieniach traktowała Dogana z dystansem, a nawet wrogością. Tymczasem upublicznione w serwisie YouTube nagranie pokazywało nie tylko bezczelność elity, ale też fakt, że układ rządzący jest zbudowany w poprzek oficjalnych sojuszy.

Bułgarzy mówią: precz!

Potem był ciąg dalszy. Prawdopodobnie pragnąc odwrócić uwagę opinii publicznej, prokuratura dokonała wspomnianego aresztowania współpracowników prezydenta, przy czym usłużne media sugerowały, że chodzi tu o współpracę z Rosją. Tak jawne wykorzystanie prokuratury do walki politycznej wzmogło gniew ulicy. Masowe protesty trwały do początku października. Domagano się dymisji premiera i prokuratora generalnego. Z czasem zaczęto pikietować także pod ambasadą Niemiec: w okresie prezydencji Berlina w Unii Europejskiej żądano, aby Komisja Europejska oraz Europejska Partia Ludowa (należy do niej partia Borisowa) zwróciły uwagę na bułgarskiego lidera, którego tutejsza ulica nazywała już po prostu gangsterem.

Borisowowi udało się dotrwać do końca kadencji. A potem były kwietniowe wybory, w których próg przekroczyły aż trzy ugrupowania antysystemowe, wyrosłe na fali protestów. Oprócz partii Sławiego Trifonowa są to Demokratyczna Bułgaria (sojusz środowisk o charakterze liberalnym, ekologicznym i wielkomiejskim) oraz koalicja Wstań! Precz! (odwołująca się do biedniejszej części społeczeństwa). Partia Socjalistyczna straciła niemal połowę posłów w porównaniu do poprzedniej kadencji, a ugrupowanie bułgarskich Turków utrzymało stabilne 10-procentowe poparcie.

Taki rozkład sił nie dawał szans na powstanie jakiejkolwiek koalicji, więc po przyjęciu ustaw ograniczających możliwość manipulacji wyborczych parlament rozwiązano.

Dumne narody i ich elity

Zarówno w Bułgarii, jak i w Mołdawii siły broniące *status quo* odwoływały się przede wszystkim do kwestii tożsamości i dumy narodowej.

Borisow i przychylne mu media oskarżały socjalistów, prezydenta, a nawet protestujących o działanie na rzecz Rosji. Ofiarą tej taktyki stała się też sąsiednia Macedonia Północna. Do niedawna Bułgaria zdawała się być jej sojusznikiem w procesie integracji z Unią, a jednak jesienią Sofia zablokowała rozmowy akcesyjne z powodu sporów z Macedończykami o język i historię. Warto zwrócić uwagę, że wizerunkową licytację o miano największych obrońców bułgarskiej dumy narodowej prowadzili GERB i BPS – dwie partie osadzone w dotychczasowym systemie i obawiające się fundamentalnych zmian w polityce.

Również mołdawscy socjaliści próbowali wciągnąć Maię Sandu i jej zwolenników w stare spory o tożsamość. Odgrzali ustawę nadającą specjalny status językowi rosyjskiemu, a z czasem, w obliczu braku kolejnych argumentów przeciw przyśpieszonym wyborom, skupili się na podsycaniu obaw przed rzekomym rumuńskim nacjonalizmem i zachodnim imperializmem. Każdą wypowiedź unijnego lub amerykańskiego polityka czy dyplomaty, który popierał ideę przyśpieszonych wyborów, przedstawiali w kontekście zamachu na mołdawską dumę narodową.

Uczciwość i czałga

Przez lata było więc tak, że gdy Bułgarzy i Mołdawianie pytali rządzących o swoje prawa i o godność, słyszeli odpowiedzi pełne frazesów o narodowej dumie i zagrożonej tożsamości. Wielu z nich ma nadzieję, że lipcowa niedziela to zmieni.

Maia Sandu i jej centroprawicowe ugrupowanie PAS (Partia Akcji i Solidarności) mają dziś historyczną szansę na zdobycie samodzielnej większości w parlamencie i na dokonanie autentycznej zmiany w mołdawskiej polityce. Będzie to jednak trudne. Potencjalnymi koalicjantami PAS mogą być natomiast albo Blok Renato Usatego (polityka antysystemowego, lecz o szemranej przeszłości i mającego podejrzane związki z Rosją), albo Sojusz Jedności Rumunów (to nowy projekt polityczny w Mołdawii, budowany przy wydatnym udziale rumuńskiej partii nacjonalistycznej o tej samej nazwie). Współpraca z drugim z tych ugrupowań jest możliwa, ale może sprawić, że temat tożsamości znów wypłynie na pierwszy plan. Na dłuższą metę będzie to na rękę obrońcom starego systemu.

Tymczasem Sławi Trifonow na początku czerwca znów zaskoczył swych fanów i zwolenników, ogłaszając, że osobiście nie będzie brał udziału w wyborach parlamentarnych. Szykuje się bowiem, jak obwieścił, do przejęcia fotela prezydenta. Trudno powiedzieć, dlaczego mandat poselski miałby mu w tym przeszkodzić, jednak jego działalność polityczna obudowana jest przede wszystkim znakami zapytania. Pomimo swego antyelitarnego przekazu showman stoi w poprzek bułgarskiego sporu między zwolennikami zmian systemowych a rzekomymi obrońcami tożsamości. Nie brakuje opinii, że jego wejście na scenę polityczną odebrało głosy partiom wyrosłym na fali protestów. Pytanie, czy lekkość w łączeniu gatunków muzycznych przełoży się na lekkość w łączeniu sprzecznych interesów.

© PIOTR OLEKSY

Autor pracuje na Wydziale Historii UAM w Poznaniu. Stale współpracuje z „Nową Europą Wschodnią" oraz „Tygodnikiem Powszechnym".

MORTEZA NIKOUBAZL / NURPHOTO / AFP / EAST NEWS

Zwolenniczka Ebrahima Raisiego z plakatem, na którym widnieje on (z prawej strony) w towarzystwie swego mentora Alego Chamenei. Teheran, 11 czerwca 2021 r.

Wybór ajatollahów

WOJCIECH JAGIELSKI

Ebrahim Raisi – surowy sędzia, znany z wierności islamskiej rewolucji i niechęci do Zachodu – został właśnie prezydentem Iranu. Wiele wskazuje, że zostanie też kolejnym Najwyższym Przywódcą tego kraju.

Odkąd w 1979 r. rewolucja obaliła szacha i monarchię, Irańczycy co cztery lata wybierają prezydentów i posłów. Pomagają im w tym muzułmańscy duchowni, którzy zastrzegli sobie kierowniczą rolę w jedynej teokracji na świecie.

Zanim Irańczycy idą głosować, Rada Strażników Rewolucji – składająca się z dwunastu uczonych w piśmie, znawców teologii i prawa koranicznego – rozstrzyga, którzy z kandydatów nadają się na prezydenta lub posłów, a którzy nie są tego godni. Strażnicy biorą pod uwagę wykształcenie, postawę moralną oraz doświadczenie zawodowe i życiowe pretendentów, a przede wszystkim ich poglądy na porządek świata. Póki istnieć będzie republika islamska (została wprowadzona po obaleniu szacha w referendum, w którym Irańczycy opowiedzieli się za tym niemal jednogłośnie), jej przeciwnicy nie zostaną dopuszczeni do żadnej elekcji.

Ale nawet mając do wyboru tylko tych, którzy godzą się na kierowniczą rolę duchownych, Irańczycy wciąż mogli przebierać między „gołębiami" i „jastrzębiami", frakcjami nieprzejednanych i umiarkowanych, fundamentalistów i pragmatyków, konserwatystów i zwolenników zmian. Dochodziło do wyborczych batalii, a każda elekcja wzbudzała ogromne emocje. Zdarzały się niespodzianki (jak wygrana bohatera ulicy, Mahmuda Ahmadineżada, który w 2005 r. pokonał po dogrywce byłego prezydenta i bogacza Akbara Haszemiego ↦

↦ Rafsandżaniego), a także powyborcze rozruchy (jak te w 2009 r., nazwane „zieloną rewolucją”).

Spośród siedmiu dotychczasowych prezydentów, będących w islamskiej republice raczej zarządcami niż szefami państwa, prawie wszyscy różnili się w poglądach z Najwyższym Przywódcą, jakim w teokracji pozostaje duchowny. Właściwie tylko obecny Najwyższy Przywódca, Ali Chamenei, jako prezydent z lat 1981-89 zgadzał się ze wszystkim, co myślał, mówił i robił jego poprzednik, ajatollah Ruhollah Chomejni – przywódca rewolucji i założyciel teokratycznej republiki.

W tym roku, przy wyborze ósmego prezydenta, Strażnicy Rewolucji – mający prawo weta i strzegący, by wszystko odbywało się po bożemu, zgodnie z szariatem – postanowili nie tyle ułatwić zadanie Irańczykom, co w ogóle ich wyręczyć. Z prawie 600 pretendentów wybrali, jak zwykle, kilku, ale tym razem tylko takich, którzy nie mieli najmniejszych szans pokonać sędziego Raisiego, uchodzącego za protegowanego Najwyższego Przywódcy. I Raisi wygrał już w pierwszej rundzie, zdobywając dwie trzecie głosów.

Irański prezydent elekt Ebrahim Raisi. Teheran, 21 czerwca 2021 r.

Życie nie nabrało barw

Jedyną niewiadomą w tych wyborach było to, jak wielu Irańczyków pójdzie głosować. Przywódcy islamskiej rewolucji, która obaliła monarchię, dziedziczkę imperium Persji, szczycili się wysoką wyborczą frekwencją i powoływali na nią jako na dowód, że obywatele opowiadają się za teokracją jako najdoskonalszą formą rządów.

Tym razem nadgorliwość Strażników Rewolucji sprawiła jednak, że wielu Irańczyków uznało wybory za maskaradę. „To nie żadna elekcja, lecz koronacja” – sarkali. Wśród młodych (połowa z ponad 80-milionowej ludności kraju jest przed trzydziestką) pojawiły się pomysły, aby wybory zbojkotować i w ten sposób okazać ajatollahom niezadowolenie z ich rządów. Wybory wieńczyły bowiem fatalny bilans ośmioletnich rządów ustępującego prezydenta Hassana Rouhaniego.

Zwyciężył on w 2013 r. (i cztery lata później, walcząc o reelekcję, pokonał Raisiego), obiecując, że pod jego rządami Iran przerwie ciągnącą się od rewolucji zimną wojnę z Ameryką i ułoży się z arabskimi sąsiadami, którzy uskarżają się na Iran, że próbuje przenieść do nich pożar rewolucji. Rouhani zapewniał, że za jego panowania skończą się ostracyzm i sankcje, odżyje gospodarka, a życie nabierze barw. Drogą do tego miała stać się zawarta w 2015 r. ugoda z mocarstwami: USA, Unią Europejską, Wielką Brytanią, Francją, Niemcami, Rosją i Chinami. Ajatollahowie wyrzekli się bomby atomowej, a w zamian Zachód obiecał znieść sankcje.

Trzy lata później prezydent Donald Trump wycofał się z tej umowy, twierdząc, że Iran wciąż wtrąca się w sprawy sąsiadów i zagraża porządkowi na Bliskim Wschodzie, korzystając równocześnie ze zniesienia sankcji. Wróciły i sankcje, i ostracyzm, a gospodarka, zamiast się ożywić, z każdym rokiem popadała w głębszy kryzys. Zapanowały: bieda, drożyzna, inflacja i bezrobocie; co rusz dochodziło do rozruchów, brutalnie tłumionych przez policję (w ostatnich zamieszkach, z przełomu lat 2019 i 2020, zginęło prawie półtora tysiąca osób).

Nie dość na tym. Gdy dwa lata temu Amerykanie zabili w Bagdadzie irańskiego „wicekróla” Bliskiego Wschodu, generała Kasema Sulejmaniego, nad Teheranem zawisła groźba wojny z USA. Na koniec zaś epidemia koronawirusa zebrała w Iranie wielkie żniwo (ponad 83 tys. zmarłych, najwięcej na całym Bliskim Wschodzie) i wpędziła gospodarkę w stan śmierci klinicznej.

Demonstracyjna absencja

Tak oto rządy prezydenta Rouhaniego, uchodzącego za umiarkowanego i otwartego na świat, przyniosły Irańczykom wyłącznie kłopoty i gorycz straconych złudzeń na lepsze życie.

Zniechęciło to do polityki wielu ludzi udręczonych codziennością. Już w zeszłorocznych wyborach do parlamentu po raz pierwszy w dziejach irańskiej teokracji frekwencja spadła poniżej 50 proc. Teraz, przed elekcją prezydencką, sam Najwyższy Przywódca Ali Chamenei zachęcał rodaków, by jak najliczniej wzięli w niej udział i pokazali w ten sposób Zachodowi, że popierają islamską republikę.

Prośby i groźby – Chamenei zrównał absencję ze zdradą i grzechem – na nic się jednak zdały, podobnie jak propagandowa ekwilibrystyka służalczej telewizji rządowej. W wyborczy piątek 18 czerwca frekwencja znów spadła poniżej połowy (podczas gdy w 2017 r. głosowało trzy czwarte wyborców), a głosów nieważnych oddano tak dużo, że przypisane jednemu kandydatowi zapewniłyby mu drugie miejsce na wyborczej mecie.

Rządowa telewizja zaraz podała, że wszystko to przez amerykańskie sankcje i wirusa, a chwilę potem, że frekwencja nie jest aż tak ważna, i że również na Zachodzie z każdym rokiem coraz mniej ludzi chodzi na wybory. Oraz że w arabskich królestwach z sąsiedztwa wyborów z prawdziwego zdarzenia w ogóle się nie

urządza, a władza przechodzi z ojca na syna.

Ludzie pamiętali jednak, że Najwyższy Przywódca zaklinał wcześniej w telewizji: „Idźcie głosować! Każdy głos się liczy!". Albo: „Wasz udział pokaże naszym wrogom, że lud opowiada się za muzułmańską republiką". Oraz: „Puste lokale będą wodą na młyn naszych nieprzyjaciół!". Mimo to ponad połowa ludu irańskiego nie poszła na wybory albo oddała nieważne głosy, wyrażając w ten sposób dezaprobatę dla rządów ajatollahów i psując nieco Raisiemu radość ze zwycięstwa.

Młody rewolucyjny komisarz

Ebrahim Raisi, rocznik 1960, podobnie jak Najwyższy Przywódca ajatollah Chamenei nosi tytuł sajjida i czarny turban, które według szyickiej tradycji przysługują potomkom Hasana i Husajna, wnuków proroka Mahometa.

Przyszedł na świat w Meszhedzie, drugim po Teheranie największym mieście kraju, jednym z najświętszych miejsc szyitów. W Meszhedzie znajduje się największy na świecie meczet, w którym mieści się mauzoleum imama Rezy, ósmego z dwunastu imamów szyitów.

Mały Ibrahim poszedł w ślady ojca, mułły, i jako 15-latek pojechał do Kom, innego świętego miasta, by kształcić się na duchownego. Jednym z jego nauczycieli i wychowawców był Ali Chamenei. Na podnoszone podczas kampanii wyborczej zarzuty, że poza seminarium duchownym skończył tylko sześć klas szkoły powszechnej, Raisi odpowiadał, że oprócz najlepszych medres ukończył też świecką akademię i zdobył nawet tytuł doktora prawa.

W teologii niczym szczególnym się jednak nie wyróżnił. Podobnie zresztą jak jego nauczyciel i mentor Chamenei, któremu także wytykano, że tytuł ajatollaha, przyznawany największym mędrcom, zdobył wyłącznie dzięki politycznym koneksjom. Raisiemu również wypominają dziś, że nie zasłużył na godność ajatollaha.

Wszystko, co w życiu osiągnął, Raisi zawdzięcza rewolucji. Miał 19 lat, gdy wybuchła, i niewiele więcej, gdy rewolucyjne władze wyznaczyły go na prokuratora w mieście Masdżed-e Solejman w roponośnej prowincji Chuzestan. Musiał się tam sprawdzić w roli rewolucyjnego komisarza, bo wkrótce przeniesiono go do Teheranu, i to na urząd zastępcy prokuratora generalnego. Było to jeszcze przed jego 25. urodzinami.

Sława bezlitosnego kata

We wspinaczce po szczeblach kariery pomagała mu rewolucyjna gorliwość, a także fakt, że Ali Chamenei – jego nauczyciel, przewodnik i opiekun (Raisi stracił ojca jako kilkuletnie dziecko) – od 1981 r. sprawował stanowisko prezydenta (potem, w 1989 r., po śmierci Chomejniego zostanie wybrany na nowego Najwyższego Przywódcę).

„Zna się tylko na egzekucjach i zamykaniu ludzi do więzień" – mawiał o Raisim ustępujący prezydent Rouhani, gdy przed czterema laty walczył z nim w wyborach. Ponurą sławę bezlitosnego kata Raisi zdobył pod koniec wojny irackoirańskiej (1980-88), gdy na rozkaz Chomejniego wydawał wyroki śmierci i kazał niezwłocznie zgładzić tysiące już osądzonych i uwięzionych „mudżahedinów ludowych" – najzajadlejszych przeciwników teokracji, którzy podczas wojny walczyli po stronie Iraku, byle tylko odsunąć od władzy ajatollahów.

Swoją surowością i całkowitym oddaniem teokracji Raisi zyskał sobie życzliwość rządzących i kolejne awanse – na prokuratora generalnego, generalnego inspektora od walki z korupcją, a w końcu na naczelnego sędziego republiki. Tę ostatnią posadę otrzymał od Najwyższego Przywódcy na pocieszenie po porażce w starciu z Rouhanim w wyborach prezydenckich w 2017 r. Wcześniej Chamenei powierzył mu też rolę strażnika i kustosza kompleksu świątynnego z Meszhedu, a także zarządcy tamtejszej fundacji, będącej w istocie finansowym imperium obracającym miliardami dolarów.

Jako surowy prokurator, a potem równie surowy sędzia, Raisi zapracował sobie na opinię człowieka zatroskanego dolą najuboższych, a także niestrudzonego wroga korupcji i złodziejstwa wśród rządzących – co w czasach kryzysu dało mu szacunek wielu rodaków, a w końcu również głosy w prezydenckich wyborach.

Skazany na sukces

Na teherańskich ulicach i bazarach mówi się, że prezydentura ma być dla Raisiego przedostatnim szczeblem we wspinaczce na szczyt władzy, ponieważ sędziwy (82 lata) i schorowany Chamenei miał upatrzyć go sobie na następcę – trzeciego Najwyższego Przywódcę islamskiej republiki. Prezydentura ma być ostatnim sprawdzianem.

Raisi nie może go nie zdać. Po wyprowadzce Trumpa z Białego Domu i fiasku jego polityki sankcji wobec Iranu Joe Biden chce wskrzesić atomową ugodę z Teheranem. Chcą jej także ajatollahowie i Raisi. Wiedzą aż za dobrze, że zniesienie sankcji przyniesie natychmiastową ulgę gospodarce oraz poprawi życie i nastroje Irańczykom. Chamenei chce nawet, aby atomową ugodę przywrócić jeszcze przed sierpniem, zanim Raisi obejmie prezydencki urząd. Strzeżonego Allah strzeże. Gdyby coś miało pójść nie tak, winę będzie można zrzucić na Rouhaniego i jego „gołębie". Jeśli jednak wszystko pójdzie dobrze, całą zasługę i tak przypiszą sobie Raisi oraz „jastrzębie".

O tym, że Chamenei przygotowuje sukcesję, świadczy również to, że tak jednoznacznie wskazał, czyjego zwycięstwa życzy sobie w prezydenckiej elekcji. Wykreślając z wyborczych list niemiłych mu kandydatów, Strażnicy Rewolucji sprawili, że cała władza w państwie została skupiona w rękach frakcji, którą reprezentuje Raisi. Ma to zaprowadzić jedność w szeregach ajatollahów i uchronić teokrację przed wyniszczającymi bratobójczymi walkami przy wyborze trzeciego Najwyższego Przywódcy.

Nieufny i niechętny wobec Zachodu, Raisi nie stanie się jego przyjacielem ani jako prezydent, ani – jeśli nim zostanie – jako Najwyższy Przywódca. Sprzymierzeńców szukać będzie nie wśród zachodnich liberałów, lecz w Rosji, Chinach czy Indiach, rządzonych przez Narendrę Modiego, światowego guru populistów. Raisi nie otworzy szeroko na świat ani irańskiego społeczeństwa, ani gospodarki. Tę ostatnią postara się raczej utrzymać w rękach fundacji-imperiów – takich jak ta, którą zarządzał w Mehszedzie. A zamiast odwilży w polityce i obyczajach, która nie nastąpiła za panowania „gołębi" Rouhaniego, raczej należy się spodziewać, że Raisi przykręci społeczeństwu śrubę.

Mówi się nawet, że nie chcąc wystawiać się na niepewny publiczny osąd, ajatollahowie wynajdą sposób, aby wycofać się z powszechnych wyborów, a wybieranego prezydenta zastąpią premierem wyznaczanym przez Najwyższego Przywódcę. Może się okazać, że w rządzonej przez Raisiego republice muzułmańskiej więcej będzie muzułmańskości, za to mniej republiki.

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

AHMAD HALABISAZ / EAST NEWS

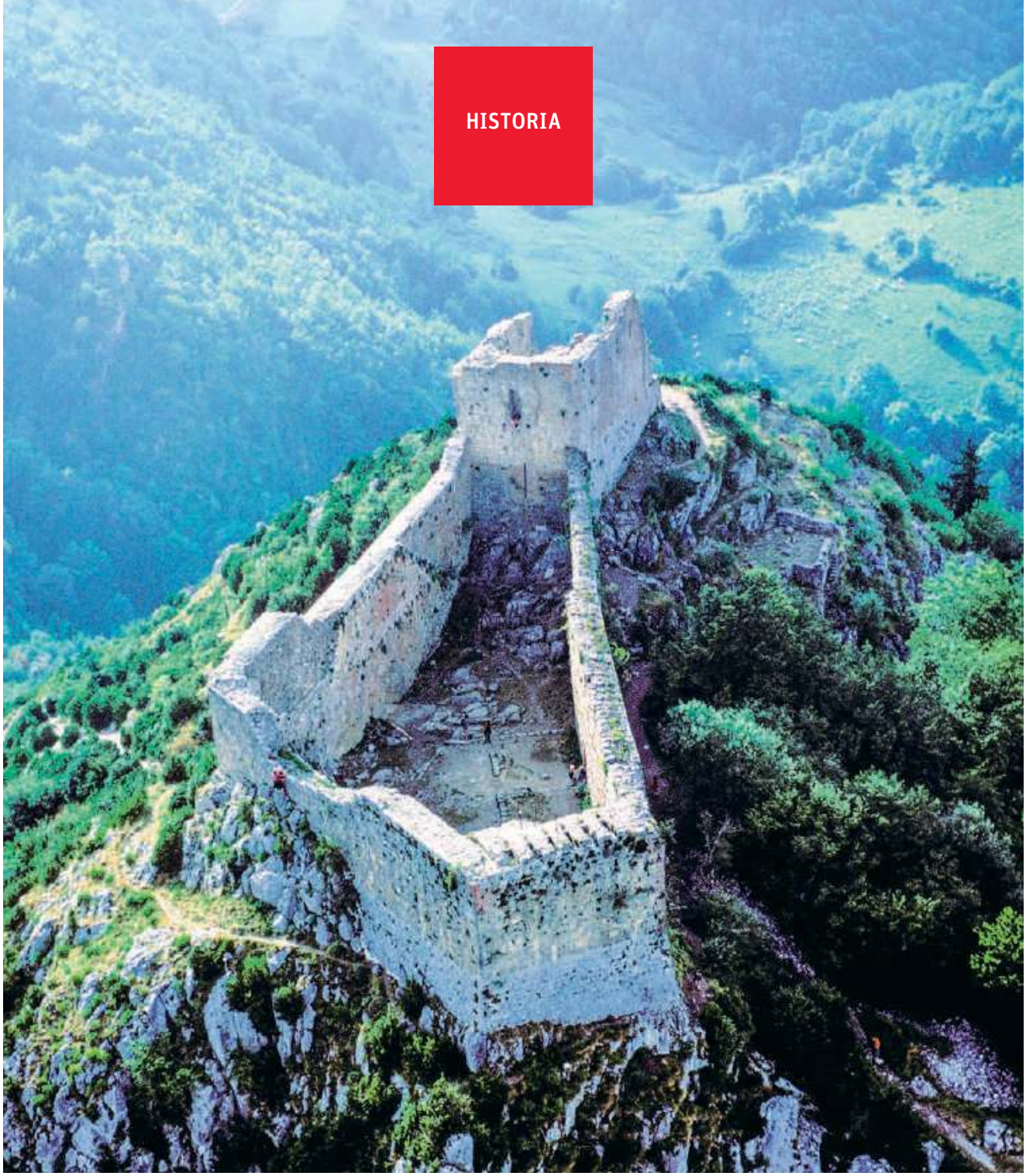

RIEGER BERTRAND / AFP / EAST NEWS

Wzgórze Montségur z ruinami zamku, stan obecny.

TERMOPILE KATARÓW

Zanim kamienne pociski zniszczą ich ostatnią twierdzę, biskup Bertrand pociesza wiernych. Jego wizja proroka Eliasza, unoszonego do nieba w ogniu, sprawdzi się już wkrótce.

ANDRZEJ OTCZYK

W sercu Langwedocji, 80 kilometrów na południowy zachód od słynnego miasteczka Carcassonne, znajduje się wzgórze Montségur. To tutaj wiosną 1244 r. rozegrał się jeden z ostatnich epizodów „świętej wojny" Kościoła rzymskiego z ruchem religijnym katarów (zwanych też albigensami), których papież uznał za heretyków.

Kim byli ludzie, przeciw którym kilkadziesiąt lat wcześniej, w roku 1209, Innocenty III zwołał wyprawę krzyżową – jedyną na kontynencie europejskim ogłoszoną osobiście przez papieża? Dlaczego Kościół uznał ich za zagrożenie nie tylko dla chrześcijaństwa, ale wręcz dla całej zachodniej cywilizacji?

Kamienny sarkofag

Montségur jest jak granitowa iglica, wznosząca się dobrych kilkaset metrów ponad otaczające je wzgórza. Na szczyt można dostać się jedynie górską ścieżką biegnącą trawersami nad przepaścią. Aby ją pokonać, trzeba wykazać się nie tylko sprawnością fizyczną, ale też odpornością na lęk wysokości.

Za to widoki ze szczytu wynagradzają trudy wspinaczki. Od strony północnej u stóp urwiska rozciąga się zielona dolina rzeki Ariège. Gdy patrzymy na południe, zachwyca panorama niebieskawych szczytów Pirenejów. Niebieski kolor, wbrew swej nazwie, ma również pobliskie pasmo Montagne Noire.

Wrażenie przyrodniczej idylli psuje jedynie zamek na szczycie Montségur. A właściwie to, co z niego zostało: kamienny, pusty w środku, nasiąknięty wilgocią sarkofag. W niczym nie przypomina tętniącej życiem twierdzy katarów, którą był do 16 marca 1244 r.

Wówczas to, po trwającym aż dziewięć miesięcy oblężeniu przez wojska króla Francji Ludwika IX, zamek ten, należący do rodu de Péreille, został zajęty i następnie zniszczony. Dwustu dziesięciu obrońców, którzy nie chcieli wyrzec się swej wiary i odrzucili łaskę Kościoła, zginęło w płomieniach. Miejsce, w którym zapłonął wielki stos, upamiętnia dziś skromny monument z katarskim krzyżem.

Tamtego marcowego dnia

O czym myślał senior rodu, Rajmund de Péreille, gdy w smutny marcowy dzień, wraz ze swym zięciem Piotrem Rogerem de Mirepoix, dowodzącym obroną twierdzy, a także Rajmundem de Saint Martin, dowódcą oddziału najemników, szedł na rokowania w sprawie warunków kapitulacji?

Czy o tym, że czterystu obrońców, w tym dwustu najemnych żołnierzy, nie mogło w nieskończoność odpierać ataków dziesięciotysięcznej armii? Że los Montségur przesądzony był już właściwie w styczniu, gdy żołnierze królewscy, prowadzeni po skalnej ścieżce przez miejscowych górali, zdobyli podstępem fort broniący podejścia od wschodniej strony, a następnie ustawili tam piekielną machinę miotającą na zamek i pobliską katarską wioskę śmiercionośne pociski? Albo że wcześniej, zanim doszło do oblężenia, skrajnym brakiem rozsądku ze strony katarów było zamordowanie inkwizytorów Wilhelma Arnauda i Stefana de Saint-Thibéry oraz dziewięciu ich towarzyszy podczas odwetowej ekspedycji, którą Piotr Roger poprowadził do Avignonet? Że wyprawa ta ściągnęła na Montségur gniew Rzymu i tylko przyspieszyła oblężenie twierdzy?

Rajmund szczerze nie lubił swego zięcia, uważał go za kiepskiego dowódcę. Za pyszałka, którego zadufanie przywiodło do zguby cały ród de Péreille i ludzi stłoczonych teraz w jego zamku. Młody człowiek zapewniał, że to orle gniazdo, zawieszone między niebem a ziemią, jest nie do zdobycia. Gdy wyruszyła wyprawa do Avignonet, jedyną troską Piotra Rogera było, żeby jego zbrojni nie rozłupali czaszki Wilhelma Arnauda – chciał ją oprawić w złoto i pić z niej wino. Gdzie teraz podziała się jego pycha?

Dobry rycerz Rajmund

Choć ekskomunikowany przez Kościół, Rajmund nie uważał się za katara. Nigdy nie był zwolennikiem tego ruchu, stronił od roztrząsania kwestii teologicznych. Dysputy, jakie duchowni katoliccy toczyli z wyznawcami idei lepszego człowieka, wzbudzały w nim niesmak, raziło go zacietrzewienie obu stron. Obce było mu także dążenie do doskonałości za wszelką cenę, tak charakterystyczne dla „dobrych ludzi", za jakich uważali się katarzy.

Ale, z drugiej strony, Rajmund nie zakładał z góry, że każdy, kto wierzy inaczej, niż nakazuje Kościół, jest potępieńcem, który zaprzedał duszę diabłu. To przekonanie kazało mu patrzeć przychylnie na tych członków swego rodu, których zachwyciły katarskie idee. Także na własną żonę Corbę, która – podobnie jak jej matka Markezja de Lantar – przyjęła chrzest katarski zwany *consolamentum*.

Rajmund otaczał ich opieką, a nawet – namawiany przez duchownych Kościoła Miłości (tak lubili się nazywać katarzy) – przy ich pomocy i w dużej części za ich pieniądze na początku XIII w. zbudował zamek na górze, która leżała na jego ziemi. „Doskonali" upatrzyli ją sobie już wcześniej, jako bliskie niebu miejsce duchowej kontemplacji. Rajmund zapewnił ponadto zbrojną opiekę „wiosce doskonałych", którzy w lichych celach, a właściwie szałasach pobudowanych opodal zamku, wiedli żywot ascetów.

Zapłacił za to wysoką cenę w postaci ekskomuniki. Jeszcze wyższą cenę przyszło mu płacić teraz. Udając się na rokowania ze zdobywcami Montségur, miał świadomość, że wkrótce straci żonę, córkę Esclarmonde (niepełnosprawną) i teściową. Wszystkie te ważne dla niego kobiety postanowiły trwać przy wybranej wierze – nawet jeśli miałoby to oznaczać pójście na stos wraz z innymi wyznawcami idei lepszego człowieka. Rajmundowi pozostało ukorzyć się, wyznać błędy i pokutować.

Lata ognia i krwi

Duchowy przywódca katarów zebranych na Montségur, biskup Bertrand Marty, nie zamierzał po kapitulacji umykać przed zdobywcami. Zdecydował, że zostanie ze swymi wiernymi.

Również i on miał o czym rozmyślać w obliczu klęski. Czy można było uchronić twierdzę przed oblężeniem, a jego wiernych przed śmiercią w płomieniach? Biskup nie miał złudzeń, że gdyby nie doszło do wymordowania inkwizytorów w Avignonet, „bezpieczna góra" by ocalała. Tamta masakra jedynie przyspieszyła wyprawę armii Ludwika IX przeciw ostatniemu szańcowi katarów. Podobnie jak śmierć Piotra de Castelnau – jednego z legatów papieskich, wysłanych do przeciwdziałania ideom katarskim i zamordowanego w niewyjaśnionych nigdy okolicznościach – była tylko pretekstem do ogłoszenia krucjaty.

Od tamtego wydarzenia upłynęło 35 lat. Prawie cztery dekady naznaczone ↦

↦ ogniem i krwią. Tragedią Béziers, spalonego w 1209 r., gdzie zginęło 15 tys. mieszkańców miasta. Dramatem wielu innych miast i wiosek Langwedocji, palonych przez krzyżowców. Długim szlakiem stosów, na których płonęli „dobrzy ludzie". Jak ten w Minerve, gdzie uśmiercono 140 „doskonałych". Gdy żołnierze-krzyżowcy zdobyli ten gród, podobno oburzali się, że katarom pozostawiono wybór między wyparciem się wiary a stosem. Podobno usiłowali przekonać papieskiego legata, że nawrócenie jeńców nie będzie szczere, i że gdy tylko odzyskają wolność, wrócą do herezji. Ale legat ich uspokoił: „Pocieszcie się, bardzo niewielu się nawróci". Nie pomylił się. „Doskonali" nawet nie wysłuchali jego kazania, sami wstąpili na stos.

W kolejnym roku dowódca krzyżowców, Szymon de Montfort, kazał spalić sześćdziesięciu katarów, którzy ukrywali się w zamku Cassés. Oni też nie chcieli się zaprzeć swej wiary. Podobnie jak ich współbracia we wziętym szturmem Lavaur (czterysta ofiar). To tylko niektóre z kamieni milowych na ognistym szlaku.

Prawda katarów

Jeszcze kilkadziesiąt lat przed dramatem Montségur mało kto w Langwedocji słyszał o paleniu ludzi. Albo o inkwizycji, której przed tą krucjatą prawie nie było. W ciągu dwóch dekad ze skromnego trybunału kościelnego przekształciła się w aparat represji, doskonalący metody śledcze i dysponujący rzeszą donosicieli i knechtów, którzy szpiegują, podsłuchują, wyszukują zbiegów w lasach i jaskiniach, także z pomocą tresowanych psów.

Również Bertrand Marty, będąc jeszcze diakonem, omal nie padł ofiarą prześladowań, gdy wraz z trzema „doskonałymi" został aresztowany w Fanjeaux. Uniknął śmierci dzięki okupowi zapłaconemu przez współwyznawców. Ukrywając się i umykając przed szpiegami inkwizycji, nadal głosił jedyną, w swoim przekonaniu, prawdę.

Nauczał o tym, że dobry Bóg nie mógł stworzyć tak niedoskonałego świata, jak ten, na którym przyszło ludziom żyć. Że rzymscy kapłani, chciwi i żądni uciech cielesnych, nie są prawdziwymi przedstawicielami Najwyższego. Że adorowanie świętych figur i obrazów, wytworów rąk ludzkich, jest niegodne człowieka myślącego. Że chrzest z wody nie jest prawdziwym chrztem, bo woda to składnik niedoskonałego świata materialnego. Że Chrystus nie może być obecny codziennie podczas licznych mszy, pod postacią opłatka i wina. Że droga do doskonałości wiedzie przez ascezę, wyrzeczenie się tego świata i jego dążeń.

Bertrand głosił kazania w domach wieśniaków i mieszczan, w zamkach wielmożów sprzyjających „dobrym ludziom", a nieraz pod gołym niebem. Gdy umarł czcigodny Guilhabert, jego przyjaciel i mentor, przejął obowiązki biskupa Tuluzy, największej katarskiej diecezji.

Ostatnie dni

Odkąd praca duszpasterska w stolicy diecezji stała się niemożliwa, to Montségur zaczęło pełnić funkcję centrum życia duchowego katarów. Miejsce było dla nich wyjątkowe, jak góra Syjon dla Izraelitów. Bertranda wzruszał widok chorych wnoszonych na tę górę na noszach, pokonujących skaliste ścieżki na grzbietach mułów i koni z nadzieją, że właśnie tu zobaczą ostatni w życiu wschód słońca, a Pan poda im swą dłoń i powiedzie do bram raju.

Wierzący katarskiego Kościoła wiedzieli, że na tej skale znajdą pocieszenie: nie brakowało tu duchownych czystych i oddanych sprawie, gotowych udzielić *consolamentum* w stosownym momencie, po przygotowaniach, jakich wymaga rytuał.

Także teraz, w ostatnich dniach istnienia twierdzy Montségur, biskup Marty miał ściśnięte serce, tym razem z żalu. Odkąd balista zaprojektowana przez Duranda, biskupa miasta Albi, zaczęła miotać na obrońców kamienne kule, powstało tu ogromne zamieszanie. Ponad dwustu mieszkańców przylegającej do zamku wioski, szukając ratunku, stłoczyło się na dziedzińcu. Lecz marne to było schronienie przed pociskami, które rozbijały mury, zamieniały w gruz blanki i strzelnice, a nade wszystko – dziesiątkowały tłum nieszczęśników, którzy nie mieli już dokąd uciekać. Poranieni, krzyczący z bólu, błagali o błogosławieństwo przed śmiercią.

To był już koniec. „Pamiętaj, Panie, o tych, co dali więcej, niż mogli, więcej istotnie niż posiadali; więcej aniżeli dać powinni" – biskup Bertrand Marty mógł powtarzać bezgłośnie słowa rytualnej modlitwy. Wcześniej, zanim lawina pocisków spadła na twierdzę, pocieszał wiernych wizją proroka Eliasza unoszonego do nieba w wozie ognistym. Czy ta wizja pomaga teraz moim współbraciom? Czy może pomóc mnie samemu, gdy płomienie ogarną moje ciało? – mógł się zastanawiać. A może rozmyślał o czymś innym?

Łaska i kara

Zupełnie inny nastrój musiał panować tego marcowego dnia roku 1244 tam na dole, wśród żołnierzy zwycięskiej armii. Zmęczeni długim oblężeniem, przestawali już wierzyć, że uda im się zdobyć „synagogę szatana" – jak nazwał twierdzę w jednym z kazań ojciec Ferrier, dominikanin zwany Katalończykiem.

Teraz zniechęcenie i znużenie ustąpiły miejsca radości: oto Bóg dał w końcu zwycięstwo armii dowodzonej przez królewskiego seneszala Hugona d'Acris. Na centralnym placu w obozie wojskowym stoi już odświętnie przystrojony ołtarz, przy którym mszę dziękczynną odprawi wkrótce Piotr Amiel, arcybiskup Narbonne, otoczony gronem kapłanów i zakonników, ze wspomnianym już biskupem miasta Albi, Durandem – tym, który obdarzony był talentami i duszpasterza, i konstruktora, bo pod jego kierunkiem zbudowano machinę siejącą spustoszenie.

Kościelni dostojnicy wiedzą już, że z woli papieża, przekazanej im przez arcybiskupa, wszyscy ci obrońcy, którzy wyrażą skruchę i chęć powrotu do Kościoła rzymskiego, mają otrzymać jedynie lekką pokutę. Potraktowani łagodnie mogą być nawet zabójcy inkwizytorów. Ale ci zatwardziali, którzy przyjęli szatańską pieczęć w postaci *consolamentum*, poniosą karę najsurowszą – zostaną spaleni.

Gdy perswazja zawiodła

O czym w chwili zwycięstwa myślał inkwizytor Ferrier, który wkrótce po mszy miał udać się na szczyt Montségur wraz z biskupem Durandem, bratem zakonnym Durantim, seneszalem d'Acris i asystującymi mu rycerzami, aby osądzić jeńców? Czy o tym, że boska sprawiedliwość dosięgła wreszcie wichrzycieli podważających fundamenty chrześcijańskiej wiary? Że nikt nie będzie już szydził z katolickich nabożeństw, znieważał krzyża i świętych obrazów ani naśmiewał się z procesji, przyrównywanych do sznura gąsieniczek?

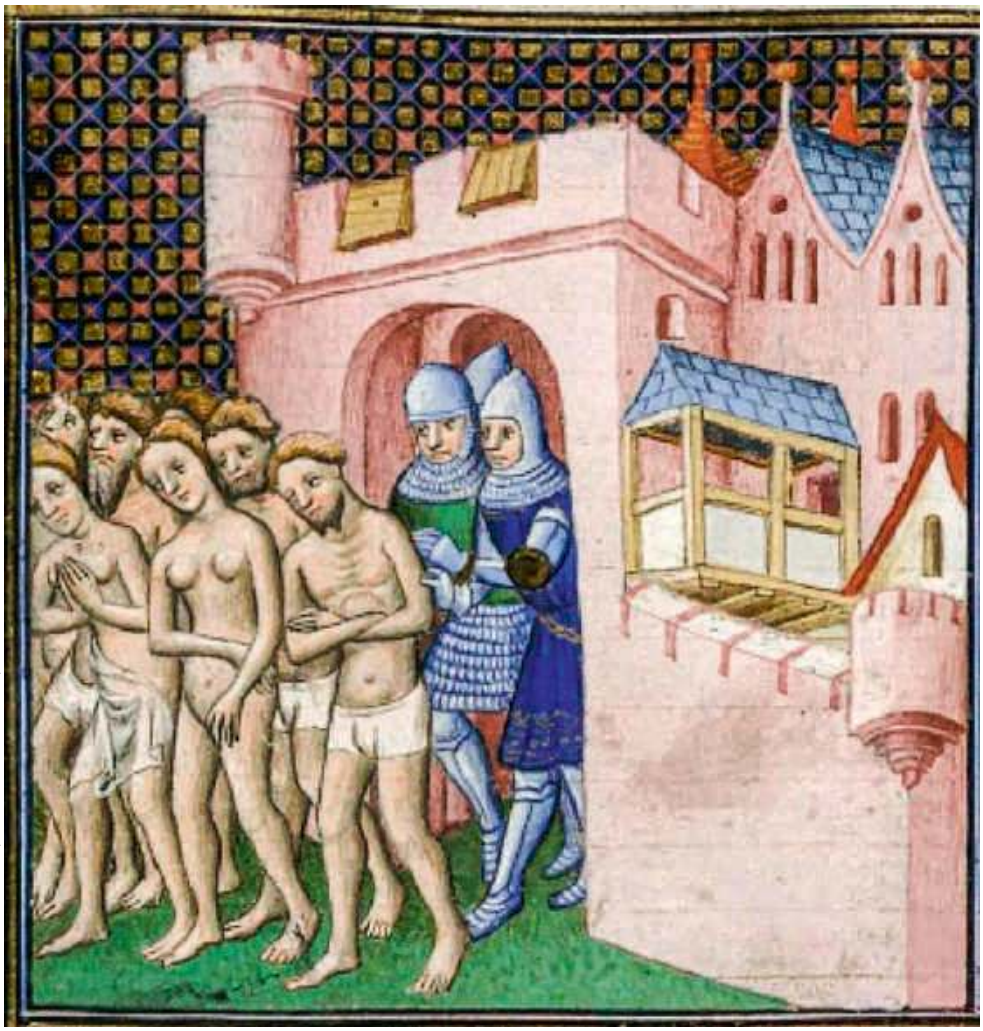

NIDAY PICTURE LIBRARY / ALAMY STOCK PHOTO / BE&W

Jednym z ośrodków religii katarskiej było Carcassone. Po zajęciu miasta w 1209 r. krzyżowcy wygnali mieszkańców. Tak scenę tę wyobrażał sobie Mistrz Boucicaut, autor ilustracji w „Grandes Chroniques de France" („Wielkiej Kronice Francji"), która powstała na początku XV w.

Wielu świętych mężów Kościoła próbowało nawrócić katarów na właściwą drogę jedynie słowem. Cóż z tego, skoro okazali się odporni na wszelkie argumenty. Ferrier mógł wspominać Dominika Guzmána i jego słowa wypowiedziane do zebranych w Prouille (przyszły święty nawracał tam katarów): „Przez kilka lat głosiłem wam słowa pokoju. Wygłaszałem do was kazania; zaklinałem ze łzami w oczach. Ale, jak powiedzenie mówi w Hiszpanii, gdzie błogosławieństwo nie skutkuje, podziała dobry, gruby kij. Teraz rzucimy książąt i prałatów przeciw wam; a oni zbiorą całe narody i ludy, i wielu zginie od miecza. Wieże upadną i mury zrównane będą z ziemią, a wy, wy wszyscy, pójdziecie w niewolę. Tak siła przeważy tam, gdzie łagodna perswazja zawiodła".

Pozostała legenda

Ogłaszając krucjatę, Innocenty III zachęcał obrońców katolickiej wiary, by uderzali silną ręką, by atakowali katarów z większą odwagą niźli Saracenów, bo większym są złem. Ferrier Katalończyk niewątpliwie w to wierzył. Saraceni, uważał zapewne, nie próbują stroić się w szaty dobrych chrześcijan, nie wypaczają nauki Kościoła ani wykładni Pisma dla poparcia swoich poglądów. Nie mówią, że cały ten świat jest dziełem szatana, nie kluczą w sprawie Zbawiciela. Wszak katarzy uczyli, że Chrystus przyszedł na świat nie jako Odkupiciel, lecz jako Boży sługa, mający wyłącznie dać ludziom wzór prawego postępowania; że w istocie nie był człowiekiem, a jedynie przybrał ludzkie ciało – nie jadł, nie pił, nie cierpiał i nie umarł na krzyżu, a więc i nie zmartwychwstał. Zamiast jasnej nauki Kościoła przyjęli bałamutne teorie o wędrówce dusz w ciałach różnych stworzeń, zamiast sakramentów – przekonanie, że człowiek o własnych siłach jest w stanie dojść do doskonałości. Uznali, że skoro to szatan stworzył ciała ludzkie, a więc i nowe życie rozwijające się w łonie matki nie jest bożym błogosławieństwem, ale przekleństwem. Jak w takim razie rodzaj ludzki miałby przetrwać na ziemi, gdyby katarskie idee zwyciężyły? – mógł pytać w duchu Katalończyk.

Być może nie uważał się za surowego inkwizytora. Z ponad siedmiuset osób podejrzanych o herezję, które przesłuchał w ciągu ostatnich dwóch lat, na więzienie skazał tylko dwadzieścia, a na śmierć – tylko sześcioro. Wielu wyznawców fałszywej wiary zdołało jednak wymknąć się i schronić się w Montségur.

Teraz ostatnie godziny dwustu dziesięciu z nich zostały już policzone. Pozostała po nich legenda – opowiadana przez wieki, czasem wypaczana, nadużywana. Oraz kamienny sarkofag na szczycie Montségur. © ANDRZEJ OTCZYK

Autor jest dziennikarzem, pracował m.in. w redakcji tygodnika „Kronika Beskidzka". W 2020 r. nakładem Wydawnictwa Prasa Beskidzka ukazała się jego książka „Wzgórze doskonałych", opowieść o katarach.

SZCZEPIONKI TO POCZĄTEK

Pandemia znacznie przyspieszyła prace nad zastosowaniem szczepionek i terapii opartych na mRNA. Czy medycynę czeka rewolucja?

ANNA BARTOSIK

O wykorzystaniu mRNA w medycynie zrobiło się głośno za sprawą pandemii koronawirusa i szczepionek firm Pfizer i BioNTech oraz Moderna. Ale historia tej technologii zaczęła się kilka dekad wcześniej.

Jeden z przełomowych eksperymentów opisano w 2005 r. Amerykańska biochemiczka węgierskiego pochodzenia Katalin Karikó – obecnie wiceprezes firmy BioNTech i matka dwukrotnej złotej medalistki olimpijskiej w wioślarstwie, Susan Francii – po latach badań wraz ze swoimi współpracownikami odkryła, jak należy zmodyfikować kwas rybonukleinowy (RNA), by mógł przebić się przez zasieki układu odpornościowego i dostać do wnętrza komórek. Od tego czasu przeprowadzono już dziesiątki badań klinicznych z zastosowaniem tej technologii.

Szpetny, nieuchwytny zbój

Żeby wyjaśnić, na czym ta technologia polega, musimy się cofnąć do połowy XX w. W 1953 r. James Watson, Francis Crick, Maurice Wilkins i Rosalind Franklin opisują strukturę DNA – słynną podwójną helisę. Ważne miejsce zajmują w niej cztery zasady azotowe: adenina, guanina, cytozyna i tymina (zwyczajowo zapisywane w skrócie jako A, G, C i T). Już wcześniej wiedziano, że występujący w jądrze komórkowym DNA musi być nośnikiem informacji genetycznej – a więc kluczową cząsteczką organizmów żywych. Mimo przełomowego odkrycia Watsona i jego współpracowników nadal nie było jasne, w jaki sposób informacja genetyczna uporządkowana w dwuniciowym DNA przekładana jest na różnorodność form i funkcji białek – podstawowych elementów strukturalnych i funkcjonalnych każdej komórki (cały ten proces określa się mianem ekspresji genów).

Białka mogą przecież występować w postaci długich włókien w mięśniach i odpowiadać za ich skurcze (miozyna i aktyna), transportować tlen lub żelazo (hemoglobina i ferrytyna), wspomagać odporność (przeciwciała) czy przyspieszać i spowalniać reakcje chemiczne zachodzące w komórkach (laktaza, polimeraza DNA). Niemal wszystko, co robi żywy organizm, opiera się na produkcji i wykorzystaniu jakichś białek.

Od początku zakładano, że musi istnieć pośrednik pomiędzy DNA a białkami, jakaś „cząsteczka posłaniec". Miało to sens – informacja genetyczna jest dla organizmu bardzo cenna, więc dostęp do DNA powinien być ograniczony. Watson podejrzewał, że „posłańcem" może być RNA, do czego próbował przekonać Cricka i innych naukowców. Powstał wtedy nawet klub dyskusyjny zainicjowany przez George'a Gamowa, fizyka rosyjskiego pochodzenia, który skupiał naukowców pragnących rozwikłać mechanizm syntezy białek. Było to nieoficjalne grono, nazywane Krawatowym Klubem RNA, którego członkowie dzielili się pomysłami i opiniami. Ich znakiem rozpoznawczym były zielone wełniane krawaty ze złotym haftem w kształcie łańcucha RNA.

Naukowcy nie tylko formułowali teorie, ale próbowali je także eksperymentalnie potwierdzać. Poza komórką trudno jednak było uchwycić proces syntezy białek, ponieważ w roztworach wodnych, w których nie ma wielu składników występujących naturalnie w komórkach, okazał się on niestabilny. Prowadziło to do frustracji i może właśnie dlatego Francis Crick pisał o cząsteczce RNA „ten szpetny, nieuchwytny zbój!". Ewidentnie w próbówkach brakowało czegoś, co by spajało rybosomy – komórkowe fabryki białek – w trakcie ich syntezy.

Tym magicznym elementem – jak udowodnili Sydney Brenner i François Jacob – okazały się jony magnezu. Po dodaniu magnezu naukowcom udało się wyodrębnić „posłańca" i wykazać, że jest nim cząsteczka mRNA (od ang. *messenger* – posłaniec), wierna kopia DNA powstająca w procesie transkrypcji w jądrze ko-

THOMAS LOHNES / AFP / EAST NEWS

Laboratorium firmy BioNTech produkującej szczepionkę mRNA przeciwko COVID-19. Marburg, Niemcy, 27 marca 2021 r.

mórkowym i wysyłana do wnętrza komórki, by stanowić tam doraźną matrycę do syntezy białek.

Dekady kolejnych badań naukowych pozwoliły lepiej zrozumieć skomplikowany proces ekspresji genów. Wykazano, że RNA występuje w komórkach w bardzo zróżnicowanej wielkości i strukturze oraz że pełni rozmaite funkcje. Najczęściej powstaje ono w jądrze w formie prekursorowej (pre-mRNA), w której skład wchodzą sekwencje kodujące, tzw. eksony, i sekwencje niekodujące, nazywane intronami. Dojrzewanie mRNA (ang. *splicing*) polega na precyzyjnym wycięciu intronów i połączeniu sekwencji kodujących. W ten skomplikowany proces zaangażowanych jest wiele małych cząsteczek RNA. Tak powstaje w pełni funkcjonalne mRNA.

Kod do złamania

Odkrycie „posłańca" to dopiero połowa sukcesu – trzeba było jeszcze ustalić, jak informacja zawarta w RNA jest rozszyfrowywana i przekształcana w białko. W dużej mierze sprowadzało się to do zagadnienia matematycznego, jak przy pomocy czterech typów „liter" budujących DNA (wspomnianych zasad azotowych): A, G, C i T – w mRNA przepisywanych na A, G, C oraz U – zakodować ułożenie 20 rodzajów aminokwasów, z których zbudowane są białka. W uproszczeniu chodzi o to, żeby przełożyć alfabet, w jakim zapisane są geny, na alfabet białek. ↦

↦ Francis Crick i Sydney Brenner przeprowadzili serię pomysłowych eksperymentów, dzięki którym udowodnili, że taki kod jest „trójkowy", czyli jednemu aminokwasowi odpowiadają dokładnie trzy litery DNA. Dalsze badania pozwoliły dopasować odpowiednie trójki do 20 aminokwasów, a także wykazać, że jest jedna „trójka", AUG, która zawsze zaczyna cały proces, i trzy „trójki" stanowiące sygnał „stop". Produkcja białek na podstawie informacji genetycznej zapisanej w mRNA angażuje kolejne rodzaje RNA: transferowy RNA (tRNA) i rybosomalny RNA (rRNA). Funkcja tRNA polega na dostarczeniu odpowiedniego aminokwasu w miejsce syntezy białka. I właśnie na tym etapie dochodzi do rozkodowania informacji genetycznej. Cały proces, nazywany translacją (tłumaczeniem), odbywa się w molekularnych maszynach – rybosomach, zbudowanych z białek i rRNA.

Dzięki tym badaniom naukowcy odczytali uniwersalny kod genetyczny (podzielany przez wszystkie organizmy żywe) i opisali przepływ informacji genetycznej z DNA przez RNA do białek, nazywany przez Francisa Cricka „centralnym dogmatem". Wtedy, w połowie XX w., panowało przekonanie, że taki schemat jest uniwersalny w przyrodzie. Kolejne lata pokazały jednak, że są wyjątki. W 1970 r. David Baltimore i Howard Temin niezależnie od siebie odkryli enzym, który jest w stanie stworzyć kopię DNA na podstawie sekwencji zawartej w RNA. Ta tzw. odwrotna transkryptaza została wyizolowana z retrowirusów, czyli rodzaju wirusów, które (podobnie jak koronawirusy) swój materiał genetyczny przechowują w formie RNA, a nie tak jak my – w DNA. Odkrycie to wywróciło do góry nogami centralny dogmat Francisa Cricka, bo okazało się, że przepływ informacji genetycznej nie jest już uniwersalnie jednokierunkowy.

Odwrotna transkryptaza jest powszechnie stosowana w laboratoriach biologii molekularnej, zwłaszcza w badaniach ilości poszczególnych mRNA w komórkach. Jak wiemy chociażby na podstawie rygorystycznych wytycznych dotyczących przechowywania i transportu szczepionek Pfizer/BioNTech, mRNA jest bardzo nietrwałe i wrażliwe na zmiany temperatury. Dlatego naukowcom jest wygodniej zaraz po wyizolowaniu mRNA z komórek „przepisać" je przy użyciu wspomnianego enzymu na DNA – i taką stabilną kopię wykorzystywać do dalszych eksperymentów.

Szczepionki mRNA można zaprojektować tak, by wzmagały odpowiedź układu odpornościowego, **a komórki rakowe zaczęły być rozpoznawane jako „obce".**

Ale to wcale nie koniec różnorodności świata RNA. Mnóstwo różnych rodzajów kwasów rybonukleinowych – m.in. snRNA czy snoRNA – wspomaga opisane powyżej procesy, a także samo powstawanie tRNA czy rRNA. Zapewne jest też wiele innych rodzajów kwasów rybonukleinowych, które dopiero czekają na odkrycie.

Jak wyciszyć gen

W tej dużej rodzinie szczególnie interesujące są stosunkowo niedawno poznane cząsteczki piRNA, występujące w męskich komórkach rozrodczych. Ważną rolę odgrywają małe niekodujące cząsteczki RNA – miRNA, które regulują procesy transkrypcji w jądrze komórkowym, mogą je wspomagać lub wyciszać. Na naturalnym zjawisku czasowego wyciszania genów w komórkach oparta jest opracowana przez naukowców technologia RNAi (z ang. *RNA interference*), wykorzystywana zarówno w badaniach laboratoryjnych, jak i w celach terapeutycznych.

Metoda ta polega na wiązaniu cząsteczki mRNA w komórkach za pomocą krótkich fragmentów siRNA (z ang. *short interfering RNA*) wprowadzanych z zewnątrz. Ponieważ sekwencja nukleotydowa mRNA jest unikalna, można tak zaprojektować krótki siRNA, żeby wiązał się z dokładnie wybranym mRNA.

Metoda została opracowana przez biologów Andrew Fire'a i Craiga C. Mella już ponad 20 lat temu w trakcie badań nad wyciszaniem genów u nicienia *C. elegans*, ale ich odkrycie spotkało się z dużym zainteresowaniem na początku XXI w., gdy zaczęto wykorzystywać tę technikę w badaniach podstawowych i w rozwijaniu terapii. W laboratoriach na całym świecie przez wiele lat technika RNAi była stosowana do analizowania funkcji poszczególnych białek poprzez obserwację efektu chwilowego wyciszenia kodujących je genów w komórkach. Dopiero rozwój i komercjalizacja metody CRISPR/Cas9, dzięki której można z chirurgiczną precyzją całkowicie wyłączyć dany gen w komórkach, ograniczyła stosowanie RNAi w badaniach podstawowych.

Technika RNAi może być ukierunkowana na konkretne białko, którego produkcja w komórkach powoduje występowanie choroby. Dlatego ma terapeutyczny potencjał w chorobach genetycznych czy nowotworach. Jednak mimo początkowego entuzjazmu środowiska naukowego, wyniki wielu wczesnych faz badań klinicznych rozczarowywały – ze względu na niską skuteczność i wysoką toksyczność. W konsekwencji większość dużych firm farmaceutycznych, takich jak Pfizer czy Merck, wycofała się ze swoich programów badawczych opartych na zastosowaniu techniki RNAi u ludzi. Głównym problemem okazało się dostarczenie siRNA do odpowiednich komórek i utrzymanie w nich wystarczającego stężenia do wywołania efektu terapeutycznego.

Ale firma Alnylam Pharmaceuticals, pomimo początkowych wyzwań technologicznych, kontynuowała badania i opracowała metodę transportu siRNA w krwi przy wykorzystaniu pewnego cukru, który wiąże się z receptorami na powierzchni komórek wątroby – i dzięki temu może dostarczać siRNA właśnie do tego organu. Badania te zaowocowały zatwierdzeniem pod koniec 2020 r. przez amerykańską Agencję Żywności i Leków (FDA) terapii stosowanej w leczeniu rzadkiej choroby genetycznej znanej jako pierwotna hiperoksaluria typu 1. Choroba ta powoduje nadprodukcję przez wątrobę szczawianów – związków, które mogą gromadzić się w nerkach i drogach moczowych, powodując szereg szkodliwych skutków dla organizmu. Do tej pory jedyną skuteczną terapią w przypadku tej choroby był przeszczep wątroby. Lumasiran jest pierwszym lekiem, który redukuje poziom szczawianów u pacjentów poprzez blokowanie mRNA, który koduje enzym zaangażowany w syntezę tych związków.

Lumasiran jest trzecią terapią opartą na RNAi rozwiniętą w laboratoriach Alnylam Pharmaceuticals i zatwier-

dzoną przez FDA. Wcześniej, w 2018 i 2019 r., zostały zatwierdzone terapie na dwie inne rzadkie choroby genetyczne. Patisiran to lek RNAi na dziedziczną amyloidozę transtyretyny, która powoduje gromadzenie się w układzie nerwowym białka transtyretyny. Drugi lek, givosiran, stosowany jest z kolei w ostrej porfirii wątrobowej, która prowadzi do nagromadzenia toksycznych cząsteczek polipiryny.

Wszystkie trzy leki są bardzo drogie, roczna kuracja lumasiranem dla jednej osoby kosztuje blisko pół miliona dolarów, a pacjenci będą prawdopodobnie musieli przyjmować lek przez całe życie, aby utrzymać niski poziom szczawianów. Kolejnym ważnym krokiem przed naukowcami jest opracowanie skutecznych metod, które pozwolą na dostarczenie terapii RNAi do innych organów niż wątroba. Prace takie prowadzi wiele laboratoriów, przy pomocy różnych nośników – takich jak przeciwciała czy cząstki lipidowe.

Szczepionką w nowotwór

Dopuszczenie do stosowania szczepionek przeciwko COVID-19 opartych na mRNA jest bardzo obiecujące nie tylko ze względu na powstrzymanie pandemii, ale także z punktu widzenia rozwoju przeciwnowotworowych szczepionek mRNA. Ich mechanizm działania polega na wprowadzeniu do komórek mRNA, w którym zakodowana jest informacja o białku antygenowym – swoistej metce, która informuje układ odpornościowy o tym, czy ma do czynienia ze „swoim" czy „obcym".

Po dostarczeniu mRNA komórki same syntetyzują białka antygenowe w rybosomach, a następnie prezentują je na swojej powierzchni, wywołując lokalną odpowiedź układu odpornościowego, która skutkuje pamięcią immunologiczną i produkcją przeciwciał (skierowanych na konkretne antygeny). Szczepionki można zaprojektować tak, aby celowały w antygeny związane z nowotworem, które są obecne na powierzchni komórek rakowych. U pacjentów onkologicznych często układ immunologiczny jest oszukiwany przez substancje produkowane przez nowotwór – w efekcie nowotwór traktowany jest jak zdrowa tkanka. W takiej sytuacji szczepionka mRNA służyłaby do stymulacji układu odpornościowego w celu zwalczania komórek rakowych, co nie miałoby żadnego wpływu na zdrowe komórki.

Antygeny nowotworowe są bardzo spersonalizowane, ale szczepionki mRNA mogą być dostosowane do indywidualnych potrzeb pacjenta. Naukowcy rozważają też szczepionki nakierowane na czynniki wzrostu wspomagające namnażanie komórek rakowych. Podobnie jak w przypadku metody RNAi, głównym wyzwaniem technologicznym jest droga i forma podania mRNA, tak by terapia była skuteczna i bezpieczna dla pacjenta. Ostatnie innowacje, które doprowadziły do wprowadzenia szczepionek mRNA przeciwko COVID-19, w znacznej mierze udoskonaliły stabilność mRNA, efektywność dostarczenia do komórek oraz produkcję białek antygenowych. Obecnie na etapie badań klinicznych znajduje się wiele preparatów celujących w różne rodzaje nowotworów, takich jak czerniak, rak płuc czy prostaty, a kolejne są już w planach.

Paradoksalnie pandemia, która zabiera życie tysiącom ludzi dziennie, może stać się szansą na rozwój nowoczesnych terapii przeciwko innym niebezpiecznym chorobom. © ANNA BARTOSIK

Korzystałam z: Siddhartha Mukherjee „Gen. Ukryta historia", Czarne 2017.

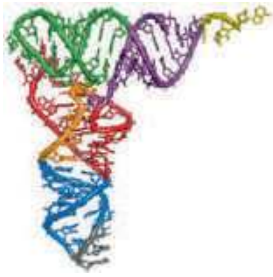

YIKRAZUUL / WIKIPEDIA.ORG

Struktura przestrzenna tRNA drożdży

Świat RNA

WSZYSTKIE ORGANIZMY żywe – od bakterii po szympansa – posiadają informację genetyczną przechowywaną w postaci DNA, dzielą również część tych samych genów. To jeden z najważniejszych dowodów na poprawność teorii ewolucji, która głosi, że wszystkie organizmy pochodzą od wspólnego przodka, i wyjaśnia, w jaki sposób dobór naturalny doprowadził do powstania tak wielu form żywych, jakie obserwujemy na Ziemi – wliczając w to nas samych.

EWOLUCJA DROGĄ DOBORU naturalnego co do zasady może zachodzić nawet w przyrodzie nieożywionej, ale wymaga specyficznych warunków: m.in. istnienia replikatorów, czyli cząstek, które są zdolne do produkowania własnych kopii (dzięki pozyskiwanym w otoczeniu zasobom). Jeśli te kopie nie będą idealnie dokładne, a pojawiające się w ten sposób różnice będą wpływać na skuteczność dalszego kopiowania się replikatorów, to dobór naturalny zacznie już działać. W kolejnych „pokoleniach" pojawią się replikatory coraz sprawniej generujące własne kopie (coraz lepiej „dostosowane"). W tym sensie ewolucja mogła poprzedzać powstanie życia, jakie znamy – i utorować mu drogę (w którymś momencie replikatory „ożyły" – ich maszyneria chemiczna tak bardzo się rozrosła, że pojawił się w nich metabolizm czy procesy samoregulujące).

PROBLEM W TYM, że nie wiemy, jak mogły wyglądać te pierwotne replikatory. Znane nam formy życia, nawet najprostsze, są chemicznie bardzo złożone, w dodatku występuje w nich kłopotliwy dualizm: fenotypu i genotypu. Organizmy funkcjonują dzięki białkom, ale same białka nie potrafią się replikować. Potrzebują do tego przepisu – informacji genetycznej. Ta trwale jest przechowywana w DNA, ale DNA pozostawione samo sobie też nie potrafi się kopiować ani nawet produkować białek. Co innego RNA – ono też jest nośnikiem informacji genetycznej, bierze udział w syntezie białek, potrafi się kopiować i przyspieszać różne reakcje chemiczne.

DLATEGO już w latach 60. XX w. pojawiła się hipoteza, zgodnie z którą to właśnie cząstki RNA były pierwszymi replikatorami na Ziemi, ok. 4 mld lat temu. W dalszym toku ewolucji „replikatory RNA" stworzyły białka, a także „wynalazły" bardziej trwały sposób przechowywania informacji genetycznej – w DNA. Być może śladem po tym starodawnym „świecie RNA" są te wirusy, które informację genetyczną zapisują wyłącznie w RNA. ©℗ ŁK

KULTURA

ZAGUBIONE DUSZE

JOANNA CONCEJO, ILUSTRATORKA:

Już wiem, że na wiele rzeczy nie mam wpływu, świata lepiej nie urządzę. Wcześniej byłam niemądra. Sądziłam, że muszę zrobić wszystko, by usunąć kamienie z drogi moich dzieci.

MATERIAŁY PRASOWE

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Pierwszy zapamiętany obraz?

JOANNA CONCEJO: Kuchnia, jestem dziewczynką dwu-, może trzyletnią, głowę trzymam na wysokości pupy mojej mamy. Mama ma beżową spódnicę, myje naczynia. Może kiedyś nadarzy się okazja, by to narysować.

Musi być pretekst?

Potrzeba. W przypadku ilustrowanej książki zazwyczaj to tekst, mój lub czyjś. Nieszczególnie kontroluję ten proces – czasami w mojej głowie równocześnie pojawia się kilka obrazów. Rysuję ten, który wygra. Ale bywa też, że rysuję i ten drugi, i trzeci – w książce obrazkowej można się rozrysować, to luksus.

Rysuje Pani od najmłodszych lat?

Wtedy rysowanie kompletnie mnie nie interesowało. Mieszkałam na wsi i wszystko inne było tam fajniejsze.

Co na przykład?

Bieganie po polach, zabawa w krzakach, skakanie po sianie, łażenie po kałużach, wędrowanie po lesie, zbieranie kwiatów, wyprowadzanie krów na łąkę, kąpanie się w rzece.

Mnóstwo czasu spędziłam w domu dziadków. Jestem wieśniaczką, bo ulepiła mnie wieś.

Jaki był dom dziadków?

Poniemiecki, z czerwonej cegły. Pomorze Środkowe, blisko Borów Tucholskich, Puszczy Człuchowskiej. Lasy, lasy, lasy, rzeki i jeziora. Przed domem ogród z piwoniami, do których mam słabość po dziś dzień. Z tyłu podwórko, stodoła, budynki dla zwierząt, świń, krów i konia. Dalej kurnik i kurze podwórko. Jeszcze dalej drugi ogród warzywny z kilkoma drzewami owocowymi. Za tym wszystkim zaczynają się pola i łąki, w które prowadzi piaszczysta droga z bzami i leszczyną po bokach. Dalej pastwiska dziadkowych krów. Lubiłam wchodzić w gąszcz bzów, bawić się pod ich gałęziami – to były moje zielone pokoje. Cudowne, cudownie.

W domu były kredki?

A gdzie tam... Co najwyżej mogłam używać kawałka stolarskiego ołówka dziadka. Nikt wtedy nie myślał o narzędziach, w które by specjalnie wyposażało się dziecko. Moim „rysowaniem" było wtedy wyszywanie, szydełkowanie, robienie na drutach. Babcia mnie uczyła, uwielbiałam to robić.

I nie przychodziło Pani do głowy, by robić własne książeczki?

Nie, choć książki mnie interesowały. Pewnego razu w domu dziadków pojawiła się „Gąska Balbinka". To była jedyna książka dla dzieci, reszta była dla dorosłych. Stały w rządku na wysokiej półce, w tym czarny modlitewnik. Czasami coś ściągnęłam, oglądałam, wgapiałam się w pismo, którego najpierw nie rozumiałam, a w pewnym momencie zaczęłam rozumieć, choć nie wiem, kiedy i jak nauczyłam się czytać.

Ilustracja Joanny Concejo pochodząca – podobnie jak te zamieszczone dalej – z książki „Zgubiona dusza" Olgi Tokarczuk

A książka o Balbince?

Absolutna fascynacja. Tajemnicą było, jak to się dzieje, że ktoś kilkoma kreskami potrafi wyrazić tyle, że ma się wrażenie, jakby ta gąska naprawdę spacerowała po kartkach. Uporczywie i długo wpatrywałam się w każdą ilustrację myśląc, że odkryję, jak to się robi.

By to odkryć, rozpoczęła Pani naukę w liceum plastycznym w Koszalinie.

Wtedy jeszcze ciągnęło mnie do miasta. Wszystko było w nim większe: światła, ulice, wystawy sklepowe. Nie dość, że mnie tam ciągnęło, to pragnęłam jechać dalej, za granicę. Dziś mieszkam na peryferiach Paryża, ale tuż obok zaczyna się las, który widzę z okna. I planuję po 25 latach powrót do Polski – na wsi w Beskidzie Niskim kupiłam dom, który już się remontuje.

Wraca Pani na dobre?

To będzie moje prawdziwe miejsce na ziemi, z którego nikt mnie nie przegoni. Teraz noszę to moje miejsce w sobie i czekam na dom, gdzie będę mogła je wypakować. Kiedy słyszę polski język, czuję się u siebie. Wracam też do moich sióstr, z którymi łączy mnie silna więź. We Francji zdarzały się momenty tak intensywnej tęsknoty, że dosłownie odczuwałam ją fizycznie, w ciele.

No, a w liceum?

Dobra wychowawczyni: na uczennicach – bo to były same dziewczyny – zwyczajnie jej zależało. Obchodziły ją nasze sprawy. Starała się pomóc w kłopotach. Zawsze ubrana w długie, obszerne spódnice. Wysoka, mocna fizycznie kobieta – to mnie onieśmielało, ale też pozwalało czuć się przy niej bezpiecznie. Na lekcje rysunku i malarstwa co dwa tygodnie należało przynieść dwadzieścia prac domowych, prócz tego, co wykonywaliśmy w szkole. Wolałam czas po lekcjach ↦

↦ przeznaczać na coś innego. Ale mus to mus, robiłam. Z dzisiejszej perspektywy widzę, jak bardzo to było potrzebne – znakomite ćwiczenie nawyku codziennego patrzenia i rysowania.

W liceum zachwyciła się Pani sztuką?

Wcześniej. Pierwszy zachwyt budziło malarstwo uwiecznione na przepięknych rosyjskich znaczkach pocztowych. Wpatrywałam się w te miniaturki godzinami z nieskończonym zachwytem. Nie potrafię podać nazwisk artystów, chyba mnie to wtedy nawet nie obchodziło, kto takie cudowności stworzył. Najważniejsze było, że mogę na nie patrzeć.

Późniejsze zachwyty?

Louise Bourgeois – „specjalistka od pająków", tak niektórzy o niej mówią, choć dla mnie nie ta część jej twórczość jest najważniejsza. Wolę jej prace „tekstylne" i rysunki. Czuję do Bourgeois rodzaj siostrzanej bliskości, jakbyśmy się rozumiały. Czasem trochę podszytej zazdrością o to, co robi. Ale też pełnej zachwytu. Tak samo jest w przypadku Kiki Smith – mam wrażenie, że poruszamy się w tych samych obszarach wrażliwości, dotykamy tych samych przedmiotów i tej samej materii, podzielamy ten sam smutek i samotność.

Wśród ilustratorów najbliższa jest mi twórczość Pabla Auladella, hiszpańskiego rysownika. Jego czarno-białe rysunki przywołują zapomniane światy, pełne melancholii. Kiedy je oglądam, wydaje mi się, że to stracone raje. Zilustrował książkę „La feria abandonada" (co można przetłumaczyć jako „Opuszczony jarmark"), która powoduje, że czuję się, jakby było mi dane przechadzać się raz jeszcze w szczęśliwej, lecz utraconej krainie dzieciństwa. Mam wrażenie, że on wie i ja wiem. I nic nie musimy mówić. Jakby kiedyś było nam dane razem zajrzeć do tej samej głębokiej studni, co nas naznaczyło – ukształtowało widzenie świata.

Skąd Francja?

Po pierwszym roku grafiki na ASP w Poznaniu wzięłam urlop dziekański. Początkowo planowałam, że zostanę rok, ale ten rok przedłużył się o kolejny. Wyszłam za mąż, córkę urodziłam jako 23-latka. Na moment przyjechałam do Polski, by zrobić dyplom. I z powrotem do Francji, do rodziny.

ARCHIWUM PRYWATNE

JOANNA CONCEJO (ur. w 1971 r. w Słupsku) jest ilustratorką. W 1998 r. osiadła we Francji. Jej książki wydawane są we Włoszech, Francji, Hiszpanii, Szwajcarii, Polsce; „Zgubiona dusza" z tekstem Olgi Tokarczuk została przetłumaczona na ponad dwadzieścia języków. Współpracuje z Wydawnictwem Literackim jako autorka okładek do książek Tokarczuk. W wydawnictwie Format ukazała się niedawno jej kolejna książka – „M jak morze".

Francja była przychylna polskiej graficzce?

Początkowo zajmowałam się domem, córka była jeszcze mała, potem urodził się mój syn, skupiona byłam na pieluchach, praniu, piaskownicy. W wolnych chwilach rysowałam. Robiłyśmy to czasem z córką – wyciągałam prace i Maryśka ze mną rysowała, tak jak ja kiedyś z babcią haftowałam, szydełkowałam i robiłam na drutach. Ale nie zarabiałam w ten sposób na życie. Potem, jak wiele Polek za granicą, byłam pokojówką, sprzątałam w domach, opiekowałam się dziećmi, pracowałam jako nauczycielka plastyki w liceum zawodowym. Byłam też kucharką na plebanii.

O!

Ale zaledwie dwa miesiące. Z drżeniem serca zgodziłam się na tę pracę, na ślepo, potrzebowałam pieniędzy. Bo aż tak dobrą kucharką nie jestem, by dla większej liczby osób gotować obiad z przystawkami, daniami pierwszym i drugim oraz deserem. Ale miałam szczęście: moja teściowa, Hiszpanka świetnie gotująca, dawała wskazówki: „Jutro, gdy będzie osiem osób, zrób im klopsy w sosie własnym, przyprawione kminkiem i gałką muszkatołową, podaj to z ryżem, wcześniej kup kilo mięsa, pół na pół wołowina i cielęcina, a na przystawki jakieś warzywo, koreczki ogórkowe możesz zrobić...". I ja wszystko to wykonywałam z nadzieją, że się uda. Nie wyrzucili mnie, jedli to, co podałam.

Pracowałam też jako asystentka rzeźbiarza z Ameryki. Była jeszcze moja ukochana praca w odlewni brązu. Spędziłam w niej siedem lat.

To ciężka, fizyczna praca.

Nawet małe rzeźby trzeba odlewać z dużego pojemnika – nie miałabym siły, by go unieść, zresztą nigdy nie próbowałam. Moja praca była lżejsza i polegała na nanoszeniu poprawek na model z wosku – uzupełniałam niedobory, usuwałam błędy. Miałam doprowadzić model do takiego stanu, by jak najmniej poprawek trzeba było wykonywać na gotowym, odlanym brązie. To był już czas, kiedy ukazała się moja pierwsza autorska książka – „Pan Nikt". Czyli rok 2008.

Tytułowy bohater to człowiek, który żyje, jakby go nie było.

Historia wzięła się od sąsiada z bloku, który całe dnie spędzał w oknie, taki dziadek poduszkowy. Sporadycznie wychodził na zewnątrz, a gdy spotykał kogoś, niechętnie odpowiadał na dzień dobry i natychmiast zawracał.

Kiedyś pomyślałam, że nikt go nie lubi, bo jest mrukliwy, ale może wiedzie bogate życie wewnętrzne.

W Pani książce on co rano nadaje paczkę z gwiazdami, by mogły nocą rozświetlić niebo.

To prosta historia o tym, że ten pan, o którym wszyscy sądzą, że czas przecieka mu przez palce, dla świata robi coś bardzo ważnego. Z „Panem Nikt" pukałam do wielu wydawnictw, miałam gotowy tekst oraz ilustracje. Długo dostawałam odpowiedzi odmowne. Miałam 35 lat i zwyczajnie miałam dość. Jeden wydawca mówił, że to piękne, ale dlaczego takie przygnębiające, że powinnam postarać się ciut rozweselić te rysunki dodając kolor, inny, żeby nie rysować ołówkiem, bo to szare, dzieci tak nie lubią. Wszystko mi się pomieszało – i techniki, i rady, których mi udzielano. W pewnym momencie podjęłam decyzję, że nikogo nie będę słuchać

z wyjątkiem siebie, że poświęcę się rysowaniu takiemu, jakie mi się podoba.

To był ważny moment?

Najważniejszy. Skończyłam z szamotaniną i próbą sprostania oczekiwaniom innych. I właśnie wtedy przyszła propozycja od włoskiego wydawnictwa Topipittori, które po obejrzeniu kilku moich prac z wystawy ilustratorów w Bolonii poprosiło, bym „Pana Nikt" zilustrowała od nowa. Zrobiłam to z wielką ochotą i po swojemu.

Ilustracjami po części opowiadając swoje życie?

Nie mam innego, więc czerpię ze swojego. Przynajmniej nikt się nie przyczepi. Sama do siebie nie będę się przecież przyczepiać.

Z kolei „Kiedy dojrzeją porzeczki" to powrót do wsi Pani dziadków?

Z przełomu lata i jesieni.

I historia o odchodzeniu Pani ojca. Opowie Pani o nim więcej?

Byłoby dużo do powiedzenia, ale też dużo do przemilczenia. Dla mojego taty życie było trudne do tego stopnia, że w pewnym momencie nie miał ochoty w nim uczestniczyć. Odszedł, zanim ta książka się ukazała. A zaczęłam ją wymyślać, składać, szkicować, kiedy żył. Ta książka to list dla niego z dobrymi życzeniami.

Żeby się ucieszył życiem?

Chyba kiedyś był wesołym chłopcem, ale coś mu się w życiu stało i posmutniał. Bardzo posmutniał. Tata był uzależniony od alkoholu i wszyscy byliśmy w rodzinie uzależnieni od jego uzależnienia. Nasz świat kręcił się wokół tego. Wiele zostało zniszczone i przepadło właśnie przez to. Kiedy byłam mała, uważałam, że tata jest najcudowniejszy – zajmował się mną, dużo razem przebywaliśmy. Kupił mi pierwsze łyżwy i uczył na nich jeździć po kawałku odśnieżonego jeziora. Ale w pewnym momencie to się urwało. Może wtedy, kiedy urodził się mój brat? I nigdy nie udało mi się już odnaleźć takiego taty. Zgubiliśmy się.

Z nami, dziećmi, tato rozmawiał mało. Odwracał się od życia pomału, aż całkiem odszedł. Kiedy umarł, poszłam do kwiaciarni zamówić wieniec i sprzedawczyni powiedziała mi, że ona zapamiętała człowieka wesołego, bo często wstępował do jej sklepu, by chwilę pożartować. Czasem myślę, że ojcu się z nami nudziło. Nie wiem tak naprawdę, jaki był. ↦

MATERIAŁY PRASOWE X2

Pani „Zgubiona dusza" w sumie traktuje o czymś podobnym.

Ta książka zrodziła się bardzo naturalnie. Z Olgą Tokarczuk spotkałyśmy się na oficjalnej kolacji w ambasadzie polskiej w Paryżu. W tym samym momencie obie wyszłyśmy na papierosa. Podeszłam, przedstawiłam się, powiedziałam, że kocham jej książki. Okazało się, że ona wie, kim jestem, ponieważ znała moich wydawców z Wrocławia i czytała „Księcia w cukierni" z tekstem Marka Bieńczyka. Potem spotkałyśmy się jeszcze raz, rozmawiałyśmy więcej, wymieniłyśmy adresy mailowe. Olga rzuciła: „Może ci kiedyś coś przyślę". No i przysłała. Nie mam pojęcia, czy to była historia, która leżała w jej szufladzie, czy napisała ją na tę okazję.

Pracując nad ilustracjami do „Zgubionej duszy" coraz bardziej zdawałam sobie sprawę, że własną duszę zgubiłam w życiu kilkakrotnie. Że często zdawało mi się, iż żyję obok siebie, a nie w sobie. Z konfliktem wewnętrznym. Że zawsze jestem albo „za dużo, za bardzo", albo „zbyt mało, zbyt słabo". Zbyt smutna, zbyt wesoła. I sama siebie nie rozumiem. Nawet pracując nad tą książką czułam, że ona jest daleko za mną.

Czyli?

Miałam wrażenie, że robię tę książkę automatycznie, jakbym włączyła pilota. Dużo rzeczy się działo w moim życiu zawodowym i prywatnym – pojawiało się coraz więcej wyjazdów i przejściowe kłopoty w związku. A gdy skończyłam pracę nad „Zgubioną duszą", ogarnął mnie lęk – miałam wrażenie, że wszystko w tej książce jest źle, że powinnam zacząć ją od nowa.

„Zgubiona dusza" była również wymagająca pod względem materiałowym. Wymyśliłam, że będę ją robić na papierze ze starego zeszytu dla księgowości. Lecz ten papier okazał się fatalnej jakości, niepokorny. Nieustannie musiałam na niego uważać, co wymuszało potężne napięcie i maksymalne skupienie. W szkicowniku nawet napisałam ogromnymi literami obietnicę, że już nigdy więcej na takim papierze nie będę rysować.

I?

Z jednej strony zachwycam się starymi papierami, z drugiej – skazują mnie na frustrację. Wracam do nich.

Pracując nad ilustracjami do „Zgubionej duszy" coraz bardziej zdawałam sobie sprawę, że własną duszę zgubiłam w życiu kilkakrotnie.

Że często żyłam obok siebie, a nie w sobie.

Na jakim papierze narysowane jest „M jak morze", najnowsza Pani książka?

Na zużytym, mającym już za sobą jedno życie. Ze śladami, zapiskami, plamami, pożółknięciami. I ja się w to wpisuję. Mam wrażenie zachowania pewnego rodzaju ciągłości: muszę odkryć, czego ten papier ode mnie chce, co mam na nim narysować.

Pani syn był inspiracją do „M jak morze" – to opowieść o cierpieniu wynikającym z dojrzewania?

Słowa, które wkładam w usta M, pochodzą od mojego syna. Jednak i tu też dużo rzeczy jest ode mnie, z mojego życia. Ale rzeczywiście, modelem dla bohatera książki był mój syn – korzystałam z wielu jego zdjęć. To niesamowite, że własne dziecko, najbliższa istota, pozostaje zagadką. „M jak morze" jest trochę jak zgadywanie: patrzę na syna z zewnątrz, zastanawiam się, co sobie myśli. Im bardziej zastanawiam się nad tym, jaki jest, tym bardziej wszystkie myśli biegną ku jednemu: jest wspaniały. I jednocześnie tli się w nim dużo gniewu – gniewu, który trudno mu wykrzyczeć. Może pod tym gniewem chowa też smutek? Widzę, jak momentami jest mu trudno, bo młodość bywa piekielnie ciężka, dźwiga na plecach cały świat, może nawet kilka.

Syn ma teraz 21 lat, czyli wszystko jeszcze jest w nim bardzo delikatne, niezakończone, nieuformowane. Dzień w dzień się temu dziwię. I jednocześnie jestem zdumiona, kiedy sama odkrywam w sobie coś nowego. Kiedy w proch obracają się moje wyobrażenia – jestem czegoś pewna, a to wcale tak nie wygląda, ustawia się pod znakiem zapytania, trzeba ułożyć inaczej.

Przykład?

Syn przeżywa rozterkę miłosną, ale myśli i czuje zupełnie inaczej, niż sądzę o tym ja. I niekoniecznie jest tak, że on sobie z tym nie poradzi. Nauczyło mnie to, że trzeba mieć zaufanie do osoby, która jest ze mnie, a mimo wszystko jest osobnym bytem. Nie muszę się trząść i mieć w rezerwie radę na każdą okoliczność, mogę sobie odpuścić, nawet kiedy dziecku jest ciężko. Na wiele rzeczy nie mam wpływu, więc świata lepiej nie urządzę. Ja takich rzeczy wcześniej nie wiedziałam, byłam niemądra wobec dzieci... Sądziłam, że muszę zrobić wszystko, by usunąć kamienie z ich drogi.

Nic bardziej nie dotyka niż cierpienie własnych dzieci.

Pracując nad „M jak morze" przypominałam sobie o swoich młodzieńczych cierpieniach. Momentach, kiedy wolałam nie istnieć, nie widzieć, nie czuć. Pojechać gdzieś daleko i nigdy nie wrócić. Albo chociaż móc coś zaradzić na ten cholerny świat! Ale też sobie przypominałam ulubione rzeczy: Boże, jak ja lubię truskawki ze śmietaną i cukrem! Lub coś, czego mój syn nigdy nie miał okazji zrobić: gdy była zima, przylepiałam język do wszystkiego co metalowe – ta głupia zabawa dla niektórych źle się kończyła. Więc „M" jest trochę o synu, a trochę o mnie.

Pani pyta, jaką teraz jestem mamą? Staram się, by się z moimi dziećmi nie wyminąć, czegoś nie przegapić. Nie zawsze jestem uważna, ale przynajmniej już to wiem. Wiem, kiedy nawaliłam, i nie udaję, że wszystko było dobrze, kiedy nie było. Zdarzało mi się w życiu myśleć, że jestem supermamą. I że jestem zupełnie beznadziejna. A najbardziej chciałabym, by kiedyś okazało się, że jestem mamą zwyczajną.

Syn przeczytał „M jak morze"?

Dałam mu tę książkę w prezencie z nadzieją, że ją przeczyta od razu. Ale tak się nie stało. Pierwsze pytanie, które mi postawił: „Dlaczego mi ją dajesz?". Odpowiedziałam: „Daję ci ją dlatego, że mam chęć ci ją dać, żebyś ją miał. A poza tym narysowałam ciebie w tej książce".

Syn jest troszkę zaczepny i mówi: „Właściwie, mamo, powinienem na ciebie złożyć skargę". Po czym dodał: „Nie, czepiam się". Postawił „M jak morze" na półkę mówiąc, że może kiedyś przeczyta.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

TOM COPI / MICHAEL OCHS ARCHIVES / GETTY IMAGES

Jim Morrison, 1960 r.

U zamkniętych drzwi

DARIUSZ KOSIŃSKI

Pół wieku temu zmarł nagle w paryskim mieszkaniu James Douglas Morrison, Kuba Śmiercisyn, Król Jaszczur, performer, ucieleśnienie rocka. Po prostu Jim Morrison.

Gdy wpisać w wyszukiwarkę jego nazwisko, pierwsze słowo, jakie się pojawia, to „poeta". Wprawdzie potem otwiera się hasło z Wikipedii, w którym mowa głównie o skandalach i tajemniczej śmierci, ale „poeta" już na początku wydobywa artystę z opowieści o alkoholowych transach, estradowych ekscesach i szaleństwie samozatracenia. Oddziela go też od historii The Doors, zespołu muzycznego, który współtworzył, ale którego karierą nie był specjalnie zainteresowany, ku rozpaczy kolegów pragnących pracować nad warsztatem i nagrywać hity. Wiadomo: poeci tak już mają – idą za „natchnieniem" i nie pociąga ich ciężka, codzienna praca. Morrison miał kawał głosu, ale przecież na wielu koncertowych nagraniach słychać, jak fałszuje albo rozpaczliwie usiłuje nadrobić braki emisji. Marny z niego muzyk...

Ale poeta też problematyczny. Wprawdzie Włodzimierz Szturc właśnie poezji Morrisona poświęcił esej w wydanej niedawno książce „Diapazony i Fonosfery", ale najczęściej jego twórczość jest traktowana w kategoriach „poeci rocka", co zazwyczaj oznacza tyle, że teksty piosenek bywają czymś więcej niż zaproszeniem do wspólnego spędzenia nocy. Nawet noblowskie uznanie dla literackiej wartości tekstów Boba Dylana, z którym Morrison nigdy nie stawał w szranki, wywołało kontrowersje, więc nic dziwnego, że dla większości „prawdziwych literatów" poezje autora „An American Prayer" są co najwyżej echami intensywnych lektur Arthura Rimbauda i Charles'a Baudelaire'a przepuszczonymi przez silne doznania wzmacniane alkoholem i narkotykami.

Nawet nie mam zamiaru się z tym spierać. Sam, gdy czytam Morrisona, szybko zdaję sobie sprawę, że gdyby nie zdjęcie i nazwisko na sfatygowanej okładce tomu wydanego przez legendarny Rock-Serwis Piotra Kosińskiego (zbieżność nazwisk niestety przypadkowa), to pewnie odłożyłbym książkę ze skrzywieniem po pierwszych kilku fragmentach.

Marny muzyk, taki sobie poeta, filmowiec jedynie okazjonalny... Czemu więc przypominać ten wytwór dawno minionej epoki? Tylko gwoli kolejnej ↦

↦ fali nostalgii za niespełnionym psychodelicznym snem lata miłości?

The ceremony is about to begin

Tę nostalgię ktoś pewnie jeszcze odczuwa (czy to Ryszard Terlecki późnym wieczorem puszcza w hotelu sejmowym „Summer's Almost Gone"?). Ale moim udziałem ona nie jest. Jim Morrison jest dla mnie niezwykle ważny jako artysta – a nie symbol kontrkultury, seksu, życia na krawędzi i czego tam jeszcze. O ile rozpleciona na poszczególne składowe i w tych pojedynczych kategoriach oceniana jego twórczość może być problematyczna, o tyle nie ulega dla mnie wątpliwości, że stworzył siebie jako ucieleśnione spełnienie odrębnej gałęzi sztuki współczesnej – rocka.

Rock nie jest gatunkiem muzycznym. Albo też – jest nim, ale traktowanie go wyłącznie w takich kategoriach oznacza, że nie można go zrozumieć w tym, co dla niego najistotniejsze. Rock jest rodzajem sztuki przedstawieniowej nieograniczonej wyłącznie do występów scenicznych, choć oczywiście w nich się najpełniej przejawiającej. W znakomitej książce „Performing Rites", opublikowanej po polsku pod bałamutnym tytułem „Rytuały sceniczne", angielski dziennikarz muzyczny i antropolog Simon Frith przekonująco dowodzi, że siła muzyki popularnej polega na tym, że słucha się jej zawsze jako performance'u – własnym głosem i ciałem wchodząc w powoływaną na nagraniu wyobrażoną sytuację samego wykonania. Muzyka popularna inscenizuje doświadczenia, które w akcie słuchania przeżywamy jako własne.

Stopień ich wykreowania bywa różny – często pozostaje na poziomie sugestii, niekiedy świadomie mglistej, by jak największa grupa słuchaczy mogła w komponowane przez gwiazdę ramy wpisać własne pragnienia. W przypadku rocka muzycznie powołuje się zazwyczaj sytuację wyrazistą, a osoba wchodząca w jej przestrzeń prowadzona jest przez silną, najczęściej męską postać, której ma się oddać, otrzymując w zamian szansę na wyrwanie się z sieci zależności tworzących codzienność egzystencji.

Wbrew temu, z czym kojarzy się najczęściej rockowe przedstawienie, jego istotą nie są monumentalne inscenizacje w stylu Pink Floyd. Przedstawienia rockowe to teatr ubogi w ścisłym sensie tego pojęcia, zaproponowanym przez Jerzego Grotowskiego – przedstawienie tworzy się i istnieje poprzez powoływanie szczególnej relacji między performerem a świadkiem. Ten pierwszy przy pomocy muzyki, poprzez głos i ciało powołuje szczególny, pozacodzienny stan, w który wprowadza siebie i publiczność. Dochodzi do tego oczywiście na koncertach, ale nie jest prawdą, że dotyczy tylko tych, którzy realnie są obecni na sali. Siła rockowego performance'u polega na tym, że ów stan powoływany jest także w relacji między nieobecnym realnie artystą a słuchaczem nagrania, oddalonym czasowo-przestrzennie nawet tak bardzo jak ja – słuchający Morrisona w czasie pisania tego tekstu pół wieku po jego śmierci. On i powoływana przez niego postać nawiedza mnie znów, gdy tylko nacisnę „start". „Well, I woke up this morning, I got myself a beer".

I am the Lizard King – I can do anything

Umieściwszy Jima Morrisona we właściwej mu dziedzinie sztuki rockowego przedstawienia, od razu trzeba powiedzieć, że jego performance zasadzały się na czymś wyprzedzającym swoją epokę. Ta była zafascynowana rytuałami (na tym przecież polegał amerykański sukces Jerzego Grotowskiego, przypadający na ten sam czas). Morrison odwoływał się do tej fascynacji, ale zarazem ją przekraczał.

Jego występy zrywały z rytualną powtarzalnością, z namaszczoną liturgią tak nieznośnie potem rozbudowywaną przez twórców „rocka symfonicznego". Były improwizowane, fascynowały nieprzewidywalnością. On sam zmieniał ich przebieg w sposób zaskakujący, wplatając w dobrze znane utwory nagłe inkrustacje. Czasem zmiany były tak nagłe i konfundujące jak inkantacja o wypadku samochodowym czy „Ode to Grasshopper" wplecione w koncertową wersję „The End" z Hollywood Bowl, z lipca 1968 r. Ani publiczność, ani koledzy z zespołu nigdy nie mogli być pewni, co Jim za chwilę zrobi. I tylko umiejętnościom, doświadczeniu i otwartości pozostałych muzyków z The Doors zawdzięczać można, że po takich odejściach, w których mu towarzyszyli, wracali na poprzedni szlak dokładnie w tym miejscu, w którym na nich czekał, by stanąć jeszcze raz na krawędzi. „Father? Yes son? I want to kill you. Mother?...".

Gdy dziś ogląda się nagrania filmowe z koncertów The Doors, zaskakująca może się wydawać stosunkowo mała dynamika ruchów Morrisona. Oczywiście zdarzają się niekiedy sekwencje dość gwałtowne, czasem intensywnie taneczne, ale nawet wtedy Jim rzadko oddala się od centrum wyznaczanego przez statyw mikrofonu. Zazwyczaj – to figura wręcz podstawowa – stoi przy nim trzymając go mocno, w napięciu ciała. Medium zmienności i wielości jest natomiast głos, który wprowadza ciało w kolejne stany i etapy podróży. Morrison w tym właśnie sensie jest prawdziwie wielkim poetą, że przywraca poezji głos i ciało, których ta się wyrzekła w zamian za trwałość, jaką obiecywało pismo. Spełnia marzenie o słowie wcielonym i muzycznym. Sen rapsodyków urealnił się nie tam, gdzie go śnili – nie w teatrze, ale na estradzie rockowej, gdzie przez napięte do granic ciało żywe słowo przepływa w mnogości głosów.

Od Grotowskiego wiadomo, że akt, który jest sednem ubogiego teatru przemiany, wymaga mocnej struktury. Jimowi tę strukturę dawała muzyka, przede wszystkim przetworzony rockowo blues i całe bogactwo tradycji afro- i rdzennie amerykańskiej, którą i on, i jego koledzy mieli we krwi. To właśnie proste i mocne struktury rytmiczne pozwalały im na tkanie na ich mocnym stelażu „szybkich minaretów" nieustannie zmieniających się i niepowtarzalnych występów. The Doors byli przede wszystkim zespołem koncertowym właśnie dlatego, że każdy ich występ był nie powtórzeniem, ale aktem, „jeszcze jedną oślepiającą szansą na uniesienie".

Choć Morrison posługiwał się typowymi chwytami rockowego frontmana i między utworami zwracał się do publiczności podkręcając jej energetyczne zaangażowanie, to jednak miał do niej stosunek mocno ambiwalentny. Przede wszystkim – nie wydaje się, by swoje

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

przedstawienie kierował do niej. Fani byli co najwyżej dopuszczeni do performance'u odbywającego się wobec nich, choć oczywiście wspierali performera swoim zaangażowaniem, a ich spojrzenia z pewnością wzmacniały jego charyzmatyczną moc. Ale to nie widzowie byli partnerami Jima.

Morrison był szamanem, hunganem. Domagał się, by świadkowie podążali za nim ku temu, co go przyzywało. Więc gdy przestawali go słuchać i zaczynali realizować własne scenariusze, nie wahał się przywołać ich do porządku, jak w słynnym fragmencie „When the Music's Over" z „Absolutely Live", gdy na pokrzykujących widzów wrzasnął nagle „Shut up!" (a wówczas bycie niemiłym dla publiczności nie należało jeszcze do znanych i powszechnie używanych strategii wykonawczych).

Inna sprawa, że „niegrzeczne" zachowanie widzów wynikało z tego, że ten, dla którego znaleźli się na sali, w tym właśnie fragmencie jakby się wycofał, ustępując miejsca muzyce, a nawet sugerując, że trzeba słuchać rock'n'rollowego koncertu. Tymczasem rzecz w tym, że nie o słuchanie tu idzie! Oczywiście muzyka jest ważna, jest „jedynym przyjacielem, aż do końca". Ale jest nim jako wehikuł podróży o wiele bardziej całościowej i dalej prowadzącej niż jedynie dźwiękowa. Muzyka wzbudza i przyciąga energię, którą Jim przejmuje i przekierowuje tak, by wszyscy obecni doświadczyli tego momentu, który wpisał w nazwę swojego zespołu – otwarcia Drzwi.

Nie jestem pewien, czy Morrison był wielkim wokalistą. Jestem pewien, że był wielkim artystą głosu. To dzięki niemu był w stanie powoływać kolejne postacie zmieniające się w nagłych przejściach od lirycznie ciepłego wspomnienia do wściekłego krzyku. Co ważne, Jim nie powołuje tych różnych postaci jak medium, ale raczej wydobywa je jak kolejne warianty siebie – wspominane, wyobrażane, projektowane życia, które odkładają się w pamięci i niepamięci, wyobraźni i zakazanych pragnieniach każdego z nas. Podróż przez tę „starożytną galerię" podejmowana jest zaś po to, by przebić się na drugą stronę rzeczywistości negowanej jako jedyna dostępna.

Przecież to jasne: wskazuje na to nazwa, wskazuje pierwsza piosenka z pierwszego albumu – cała praca Jima Morrisona z The Doors polega nie na

Muzyka wzbudza i przyciąga energię, którą Morrison przejmuje i przekierowuje tak, by wszyscy obecni doświadczyli momentu, który wpisał w nazwę swojego zespołu – otwarcia Drzwi.

graniu muzyki, ale na wyrwaniu się ze świata nie do życia ku temu, co Król Jaszczur wydaje się pamiętać z jakiejś odległej przeszłości, może szeptanej przez tego ducha Indianina, który – jak wierzył – opętał go, gdy Jim jadąc z rodzicami napotkał krwawy wypadek samochodowy. Można to uważać za przejaw choroby umysłu, ale właśnie po to, żeby to sprawdzić, Morrison ruszył do biegu.

Enclose me in your gentle rain

Bieg skończył się w Paryżu, 3 lipca 1971 r. Śmierć Morrisona jest zagadkowa, ale była oczekiwana, zapowiedziana. Jego skłonności autodestrukcyjne były dobrze znane i w jakiejś mierze wykorzystywane przez niego i przez innych. W jego sztuce pragnienie miłosne było ściśle splątane z pragnieniem śmierci, bo oba wiodły do momentu, którego szukał – momentu opuszczenia tego miejsca wygnania, tej pustyni, na której się znalazł, a do której nie przynależał.

Jego przedstawienie nie miało na celu zmiany świata, nie było polityczne w takim sensie, w jakim polityczne były zaangażowane protest songi Dylana czy śpiewane na słodko marzenia Johna Lennona. W jego twórczości co chwila powraca przejmujący ton tęsknoty za czymś niedostępnym, utraconym, a koniecznym, ku czemu trzeba biec, póki starczy sił, do czego trzeba wrócić, choć właściwie jest się pewnym, że wrócić już się nie da. Jim wygłaszał i ucieleśniał stary mit gnostycki o radykalnej nieprzynależności do tego świata rządzonego przez ojców-demiurgów. I jak starożytni gnostycy, zaprzeczał jego prawom na wszelkie możliwe sposoby, także negując jego etykę.

Jednak inaczej niż Książę z gnostyckiego „Hymnu o perle", Król Jaszczur nie wrócił do miejsca, z którego wyszedł. Ostatni, przejmujący wers, jaki wypowiada w zarejestrowanej na „Absolutely Live" wersji swojego *opus magnum* – „Celebration of the Lizard", brzmi: „Jutro wkraczamy do miasta moich narodzin. Muszę być gotowy". Nie był. Może wierzył, że tym miastem jest Paryż. Mylił się. Jeśli Król Jaszczur gdzieś się narodził, to raczej w Tebach.

Porównanie Morrisona i Dionizosa brzmieć może efekciarsko, anachronicznie i na wyrost, ale doprawdy zaskakująco wiele mają wspólnego: alkohol, szał, teatr, seks... Wystarczy spojrzeć na bodaj najsłynniejsze zdjęcia Jima wykonane przez Joela Brodsky'ego w roku 1967, z którego patrzy na nas wyzywająco półnagi z puklami ciemnych włosów opadających na ramiona, by móc uwierzyć, że wytęskniony przez Nietzschego bóg wreszcie się objawił.

Ale władzy nie zdobył. Światem od dawna rządzą Penteusze i do miasta narodzin już nie wraca się bezkarnie. Wcielony głos Kuby Śmiercisyna jest wyzwaniem tym silniejszym, że odrzuconym. On sam w zasadzie od początku powoływał go jako przepojony poczuciem niemożliwości spełnienia i przeczuciem śmierci. Pędząc ku Drzwiom, wiedział, że są zamknięte...

Pierwszą studyjną płytę The Doors otwiera piosenka manifest – „Break on Through (To the Other Side)", potem jest jawnie erotyczne „Soul Kitchen", a zaraz po nim pojawia się „The Crystal Ship", utwór, którym dawno temu uwiódł mnie artysta zmarły, gdy miałem pięć lat. To ta piosenka sprawiła, że właściwie od początku słuchałem głosu Morrisona jako głosu utraty czegoś niedostępnego, nieznanego, nienazwanego nawet.

W „The Crystal Ship" nie powołuje żadnej sytuacji szczególnej. Wydaje się zmęczony, smutny. Śpiewa o wieczorze zwykłego dnia, jednego z wielu, które choć pełne bólu, nie wydają się niczym różnić od innych, wypełnionych milionami sposobów na spędzenie czasu. Idziemy przez miasto. Żadne tam LA – małe polskie miasto z jedną ruchliwą ulicą, za którą jest zaniedbany park, wypełniony tysiącami chwilowych dreszczy. Zachodzi słońce. Ten, który szedł z nami, z wiadomego tylko sobie powodu znika. Nie wierzę, że się spotkamy. Przejeżdża pociąg. © DARIUSZ KOSIŃSKI

Śródtytuły pochodzą z tekstów Jima Morrisona.

NETFLIX / MATERIAŁY PRASOWE x3

„Olbrzym, który utonął", reż. Tim Miller, Blur Studio 2021 r.

Ogród o rozwidlających się ścieżkach

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Antologie stanowią dziś najatrakcyjniejszą formę fantastyki, bo sama przyszłość na naszych oczach staje się antologią. Otacza nas rozproszona opowieść, snuta przez wielu autorów naraz, pełna sprzeczności i niedopowiedzeń.

W science fiction chodzi o pomysł. Tak jak tworzywem epiki jest rozmach, baśni – fabuła, a musicalu – przełożona na język piosenki emocja, tak koncept pozostaje podstawową materią, z której ulepione są fantastyczno-naukowe opowieści. Każde dzieło z tego gatunku daje się ostatecznie sprowadzić do jednego (rzadziej – kilku) pomysłów, które zazwyczaj zapisać można w postaci „co by było, gdyby".

Kłopot w tym, że niewiele jest pomysłów tak dobrych, by starczyło ich na całą powieść lub pełnometrażowy film. Oznacza to, że sama eksploracja konceptu (nazywana czasem w branżowych podręcznikach *fun and games* – gry i zabawy) nie wystarcza i dzieło trzeba wypełnić czymś innym, co pomysłem nie jest – baśniową fabułą, epickim rozmachem, romansem albo grozą. Rezultaty mogą być świetne. Jak pouczają nas liczne produkcje SF, międzygatunkowe hybrydy bywają fascynujące. Oznacza to jednak, że czyste *science fiction* rzadko krystalizuje w duże formy.

Najczystsza gatunkowo fantastyka – a więc nieskażona domieszkami eksploracja pomysłu – tworzy przepiękne, lecz niewielkie klejnoty. Niestety, nie każdy potrafi docenić miniaturę. Małe formy nie pasują do dystrybucyjnych realiów, które odziedziczyliśmy po XX w. W księgarni nie kupimy pojedynczego opowiadania, nie pójdziemy do kina na film krótkometrażowy.

Na szczęście istnieje rozwiązanie tego problemu. To antologie. Kilkanaście pięciominutowych odcinków albo dwudziestostronicowych opowiadań połączonych w jedną, przemyślaną całość. Maksymalna gęstość tego, co w SF najlepsze, tyle że w opakowaniu hurtowym. Prawdziwa jedność w wielości!

Miłość, śmierć i roboty

Zamierzałem powiedzieć, że pretekst do powstania tego tekstu stanowi netfliksowa antologia „Miłość, śmierć i roboty". Ale nie byłaby to do końca prawda... To raczej ten szkic był moim pretekstem, żeby podczas bardzo intensywnego zakończenia zdalnego roku akademickiego zasiąść przed ekranem i obejrzeć sobie spokojnie drugą serię „Robotów". Dwa razy. A potem wrócić do serii pierwszej.

Jeżeli ktoś z Państwa jeszcze nie oglądał, polecam bardzo serdecznie. To antologia krótkich (6-17 minut) opowieści fantastycznych (aż 18 w pierwszym sezonie, niestety tylko 8 w drugim). Każdy odcinek ukazuje alternatywny świat, w którym możliwe staje się coś, co (jeszcze) nie jest możliwe u nas, w nowy sposób stawiając pytania o to, kim jesteśmy, skąd przychodzimy i dokąd zmierzamy.

Można więc powiedzieć (kolejna funkcjonalna definicja dobrego *science fiction*), że „Roboty" problematyzują człowieczeństwo. Netfliksowa antologia podąża klasycznym tropem, pytając o granice człowieczeństwa poprzez konfrontowanie ludzi z tym, co nieludzkie. Znajdziemy tu nawiązania do różnych tradycji *science fiction*. Mamy więc z jednej strony zderzenie „geograficzne", gdzie człowiek przegląda się w lustrze obcości kogoś „z zewnątrz" (kosmity). Z drugiej strony antologia ukazuje obcość „historyczną", a więc rozwijającą się w czasie i rozpisaną na linii bestia – człowiek – maszyna. Człowiek nie jest już bestią. Jeszcze nie jest maszyną. Pozostaje zawieszony gdzieś między tymi światami, a fantastyka naukowa eksploruje ten stan zawieszenia. Ponieważ „Miłość, śmierć i roboty" proponuje opowieści świadomie grające z tą tradycją, dostajemy tu w zasadzie wszystkie możliwe warianty – od ludzi-maszyn, przez ludzkie bestie aż po bestie, które okazują się maszyną. W ten sposób serial proponuje

„Lód", reż. Robert Valley, Blur Studio 2021 r.

„Trzy roboty", reż. Víctor Maldonado i Alfredo Torres, Blow Studio oraz Blur Studio 2019 r.

nie spójną opowieść o ludzkości i jej granicach, lecz raczej coś w rodzaju tablicy Mendelejewa zestawiającej w sposób systematyczny możliwe warianty zmąconej tożsamości.

Zaskoczenie

Dobre *science fiction* oszczędnie gospodaruje zwrotami akcji i związanym z nimi zaskoczeniem. Nawet tani chwyt nie okaże się nazbyt tani, jeżeli dawkujemy go bardzo starannie. Czytelnik czy widz jest w stanie opanować maksymalnie dwa zwroty akcji, niezależnie od tego, jak rozbudowane jest dzieło. Fabuła z większą liczbą zwrotów straciłaby spójność (choć oczywiście są wyjątki, szczególnie w przypadku kryminałów, dla których to właśnie zwroty akcji są podstawowym budulcem fabuły).

Antologia pozwala przekroczyć to ograniczenie. Jeżeli pojedynczy odcinek lub opowiadanie przynosi jeden lub dwa zwroty, to w każdej ekranowej minucie i na każdej stronie książki potencjalnie odwrócić się mogą losy bohaterów! W ten sposób dobra antologia dostarcza nam emocji, których nie dałaby najlepsza nawet powieść, film ani konwencjonalny serial.

Niemal każdy odcinek „Miłość, śmierć i roboty" kryje spektakularną niespodziankę. Niektóre nawet dwie – jak brutalny „Sonnie's Edge" („Sonnie ma przewagę") na podstawie opowiadania Petera F. Hamiltona, gdzie nikt nie jest tym, kim się wydaje.

Można powiedzieć, że antologie *science fiction* opierają się na odrzuceniu zasady WYSIWYG (*what you see is what you get*) kluczowej dla nowoczesnego projektowania doświadczenia użytkownika. To, co widzimy na ekranie, nigdy nie jest tym, co ostatecznie dostajemy. Pozory mylą. Rajska wspólnota okazuje się dystopijnym piekłem, wrogowie – nieoczekiwanymi sojusznikami, zbawcza technologia – przekleństwem. Ale ponieważ spodziewamy się niespodziewanego, poszczególne odsłony mogą nas zaskoczyć właśnie brakiem zaskoczenia. To, co w powieści czy filmie byłoby rozczarowaniem, w antologii okazuje się ciekawą odmianą. „Roboty..." kilka razy wykorzystują tę moc antologii, zabierając nas także na przejażdżki pozbawione ostrych zakrętów.

Razem, ale oddzielnie

A jednak rozłączność, o której dotychczas była mowa, nie wyczerpuje zagadnienia. Bo dobre antologie to nie tylko poszczególne części, lecz przede wszystkim wartość dodana związana z ich połączeniem w spójną całość. Choć w przypadku „Robotów..." temat przewodni jest zaskakująco szeroki, to powtarzalność wątków przy jednoczesnej nieustannej zmianie konwencji daje interesujący efekt.

Wielkie roboty ratują nas przed kosmicznymi potworami, Armia Czerwona ratuje nas przed stworami z piekła, koty ratują nas przed wampirami, nic nie uratuje nas przed kotami. Kiedy tak zestawiam te pomysły – muszę uczciwie przyznać – brzmi to jak głupawa rozrywka. Ale całość zbudowana jest tak, że po obejrzeniu kolejnego krótkiego odcinka na dowolnie abstrakcyjny temat – powiedzmy: błyskawicznie rozwijająca się i upadająca cywilizacja w starej lodówce – nie sposób nie myśleć o nim w kontekście innych historii składających się na antologię. W doborowym towarzystwie nawet bardzo proste opowieści zyskują dodatkową głębię.

Tu krótka dygresja. Miłośniczki antologii wiedzą, że kolejność ma znaczenie. Netflix podjął zaskakującą decyzję i każdy widz dostawał odcinki w innej kolejności, generowanej przez algorytm. Zrodziło to podejrzenia, że korporacja wykorzystała posiadane dane na temat użytkowniczek, by zorganizować materiał tak, żeby dla każdej z nich był szczególnie wciągający. Netflix zaprzeczył, ale jest jednak coś intrygującego w tym, że żyjemy w świecie, który tak bardzo przypomina odcinek dobrej antologii SF.

Estetyka słonia

Jedną z rzeczy, którą kocham w antologiach, jest różnorodność stylów. Antologia uwalnia z przezroczystości. Czytając prozę jednego autora przez 600 stron albo oglądając dzieło reżysera przez 90 minut przestajemy dostrzegać nieprzezroczystość narracji. Patrzymy przez okulary – nie widzimy okularów. Antologia pozwala wyeksponować unikalny autorski styl.

Pewnie powinienem był o tym wspomnieć wcześniej, ale jakoś się nie złożyło. Otóż: „Miłość, śmierć i roboty" to antologia filmów animowanych. W Polsce wciąż jeszcze animacje nie cieszą się szacunkiem szerokiej publiczności i są często postrzegane jako rozrywka wyłącznie dla młodszych widzów. (Uwaga! Ten serial stanowczo nie nadaje się dla nich! Nie oglądajcie go z dziećmi. Zamiast tego włączcie „W głowie się nie mieści" albo „Coco". Będzie materiał do rozmów!) ↦

NETFLIX / MATERIAŁY PRASOWE

„Automatyczna obsługa klienta", reż. Meat Dept, Atoll Studio 2021 r.

↦ W przypadku animacji eksponowanie stylu ma szczególne znaczenie. Każdy odcinek to pokaz innej techniki, innej wrażliwości, odmiennego tempa snucia opowieści. Jak piękne i jak różne mogą być animacje! Staroświeckie i nowoczesne, dopracowane i schematyczne, przerażająco realistyczne i uroczo abstrakcyjne. Wszystko to znaleźć można w „Miłości, śmierci i robotach". Ale wielogłosowość antologii to nie tylko kwestia estetyczna, lecz również epistemologiczna.

Jest taka historia o ślepcach i słoniu, którą przywołuje się często, by zwrócić uwagę na niedoskonałość ludzkiego poznania. Gdy do miasta zawitała legendarna bestia, grupa zaciekawionych niewidomych wyruszyła, by przekonać się, jak właściwie wygląda słoń. Jeden schwyciwszy za ogon, stwierdził, że słoń jest jak liana, inny objąwszy nogę zwierzęcia, przekonywał, że przypomina ono raczej drzewo lub kolumnę, ten, który dotknął trąby, myślał, że słoń to rodzaj ogromnego węża, i tak dalej.

To, co w oryginalnej przypowieści było przestrogą, w antologiach przekute zostaje w atut. Antologie przyjmują, że nasze poznanie jest fragmentaryczne, a ten sam przedmiot oglądany z różnych perspektyw jawi się odmiennie. Ostateczny, obiektywny opis rzeczywistości to mrzonka, za którą nie warto podążać. Najlepsze, co możemy zrobić, to świadome, celowe zestawienie odmiennych punktów widzenia.

W ten sposób antologia buduje ironię – centralną emocję, a zarazem trop stylistyczny kluczowy dla „Robotów". Nie można brać w pełni na poważnie historii, która jest jedną z kilkunastu wersji przyszłości. Te straszne nie są naprawdę przerażające, te lekkie i śmieszne wciąż mają w sobie coś złowieszczego, bo za każdym tekstem kryją się – jako kontekst – wszystkie pozostałe odcinki.

Dlatego właśnie antologie stanowią dziś najatrakcyjniejszą formę fantastyki. Być może przyczyną jest to, że sama przyszłość na naszych oczach staje się antologią. Upadek wielkich ideologii politycznych, demokratyzacja komunikacji i detronizacja prasy i telewizji przez media społecznościowe sprawiają, że nasza sfera publiczna bardziej przypomina „Miłość, śmierć i roboty" niż którąś z klasycznych epickich sag *science fiction*. Otacza nas rozproszona opowieść, snuta przez wielu autorów naraz, pełna sprzeczności i niedopowiedzeń.

Laboratorium przyszłości

Fantastyka naukowa pełni ważną funkcję społeczną, stanowiąc kluczową formę współczesnej mitologii, opowiadając o tym, że świat się zmienia.

Przed rewolucją przemysłową i stworzeniem nowoczesnej nauki nie było literatury *science fiction*. Brzmi to trywialnie: nie ma nauki, nie ma fantastyki naukowej. Warto jednak zastanowić się nad tym nieco głębiej. Brak tego rodzaju literatury wynikał również z faktu, że świat postrzegano jako niezmienny. Przed czasami oświecenia idea postępu w zasadzie w literaturze zachodniej nie występuje! I jest w tym sporo sensu.

Gdyby egipski rolnik z czasów budowy wielkich piramid przeniósł się cztery tysiące lat naprzód, zastałby świat, w którym zaskakująco niewiele się zmieniło. Większość ludzi nadal umiera w ciągu dwóch lat od narodzin, prawie wszyscy pracują w polu. Wykorzystanie zwierząt pociągowych czy trójpolówka nieco zwiększyły wydajność w niektórych punktach globu, ale na całym świecie głównym źródłem energii nadal jest praca mięśni. W Egipcie rządzą teraz Mamelukowie, ale prawdziwą, niepodzielną władczynią pozostaje natura sterująca wylewami Nilu. Czas ma kształt koła. Wszystko, co istotne, powraca cyklicznie. Warto to sobie uświadomić i zrozumieć, że – poza mitami ściśle religijnymi, zwykle lokującymi zmianę w czasie mitycznym – wszystkie opowieści, które przez tysiąclecia snuliśmy, były opowieściami o stałości, nie o zmianie.

Aż nadeszło Wielkie Przyspieszenie. To z jego ducha narodziła się fantastyka naukowa. Dziś wszyscy przyjmujemy za pewnik, że nasze dzieci będą żyły w zupełnie innym świecie niż my. Czy będzie to świat lepszy? Tego od pewnego czasu wcale nie jesteśmy pewni. Wiemy tylko, że dogmat o fundamentalnej niezmienności świata, który zarządzał ludzką wyobraźnią przez dziesiątki tysięcy lat, upadł bezpowrotnie. Z czasem spekulatywna fantastyka naukowa stała się jednym z najważniejszych języków, którym snuliśmy opowieści o tej zmianie – tuż obok coraz bardziej hermetycznego języka samej nauki oraz blisko spokrewnionego z fantastyką narzecza utopijnych ideologii politycznych.

Przyspieszenie przyspiesza. Na progu XXI w. technologia zmienia się szybciej niż kiedykolwiek dotychczas. Wraz z nią przyspieszeniu ulegają zmiany społeczne oraz – z czego zdajemy sobie sprawę coraz boleśniej – nasz wpływ na przyrodę, której część stanowimy. *Science fiction*, jako mitologia zmiany, stało się jeszcze ważniejsze.

Przede wszystkim dlatego, że – przywołajmy tu słowa Williama Gibsona, twórcy gatunku cyberpunk – „Przyszłość już nadeszła, tyle że nie wszyscy dostali jej po równo" (*The future is already here. It's just not very evenly distributed*). Ten cytat jest może nieco wyeksploatowany, ale jego popularność nie bierze się znikąd. Przyszłość faktycznie zaczęła się wczoraj.

Po pierwsze, przyspieszenie działa tak szybko, że rzeczywistość coraz częściej dogania lub wyprzedza fikcję. Po drugie, jak poucza inny ważny dla literatury *science fiction* autor – sir Isaac Newton – rozpędzoną masę nie tak łatwo zatrzymać. Bez-

władność rzeczywistości sprawia, że decyzje, które podejmujemy dzisiaj, będą miały bezpośredni wpływ na to, co wydarzy się za lat 20 czy 50. Materia przyszłości już dziś jest w naszych szkołach i elektrowniach. Pechowo akurat jedne i drugie zamiast wybiegać w XXII wiek z trudem wygrzebują się z XIX...

Science fiction to laboratorium, w którym testujemy nowe idee. Pisarze bawią się pomysłami, zanim na poważanie wezmą się za nie naukowcy i przedsiębiorcy. Nieograniczeni budżetem, skalą, a czasem nawet prawami fizyki, mogą swobodnie spekulować. Oznacza to, że na twórcach spoczywa niemała odpowiedzialność. Publiczność znała już opowieść o Frankensteinie w literackiej i filmowej odsłonie na długo przed tym, nim świat ujrzały pierwsze organizmy modyfikowane genetycznie. Dziś to metaforyka zaczerpnięta z tego dzieła organizuje znaczną część debaty wokół biotechnologii. Ci, którzy nie odwołują się do „Frankensteina", czerpią metafory z „Parku Jurajskiego" albo „Avatara".

Kiedy nadeszło Wielkie Przyspieszenie, narodziła się fantastyka naukowa.

Dziś już wszyscy przyjmujemy za pewnik, że nasze dzieci będą żyły w zupełnie innym świecie niż my.

W porównaniu z siłą takich wizji najlepsze artykuły naukowe mają znikomą moc rażenia.

Każde SF jest społecznym laboratorium przyszłości. Ale tylko antologie działają tak, jak rzeczywiście działa nauka. Testują setki wariantów i hipotez. Zestawiają, porównują, proponują niedeterministyczną wizję przyszłości. Antologie podsuwają szerokiej publiczności wzorce myślenia opartego na rozkładach prawdopodobieństw i współistnieniu wielu scenariuszy. Tak właśnie myślą o przyszłości naukowcy. Antologie pokazują ją nie jako oświeceniową autostradę wiodącą ku postępowi, lecz jako ogród o rozwidlających się ścieżkach. Nie muszą proponować beznadziei, ale nie muszą też zadowalać się łatwym optymizmem. Przypominając o wielości scenariuszy, przywracają nam poczucie sprawczości.

Polityka jest sztuką ukazywania lub ukrywania scenariuszy alternatywnych wobec bieżącej rzeczywistości. Nie ma więc nic bardziej politycznego niż *science fiction*. Każde dzieło z tego gatunku jest manifestem politycznym. Antologie są nim w sposób szczególny. Nie tylko poprzez treść, lecz przede wszystkim – poprzez swoją formę. Antologie ukazują politykę wielu możliwości, historię bez jednego narratora dysponującego monopolem na prawdę, przyszłość, która nie jest zdeterminowana.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

weź, słuchaj! Posłuchaj rozmowy Katarzyny Kubisiowskiej z Dariuszem Popielą w nowym odcinku cyklu „Punkt zwrotny" Podkastu Powszechnego. Więcej na **powszech.net/popiela**

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

WESPRZYJ POWSTANIE FILMU „UKOS ŚWIATŁA" o działalności mistrza sportu Dariusza Popieli, odpominającej żydowskich sąsiadów. Weź udział w zbiórce na **powszech.net/ukos** lub wpłać bezpośrednio na konto Fundacji Tygodnika Powszechnego, w tytule przelewu pisząc „Ukos światła". Santander Bank Polska S.A. nr: **31 1910 1048 2006 1845 1121 0001**. Dziękujemy!

partnerzy

GALICJA ŻYDOWSKIE MUZEUM

WOLF & DORA RAJCHER MEMORIAL FUND

TYGODNIK POWSZECHNY

KONRAD ADENAUER STIFTUNG

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

JAKUB SOCHA / GALAPAGOS FILMS

Kadr z filmu „Ostatni komers”

Oda do gimbazy

ANITA PIOTROWSKA

Rzadko można poczuć na ekranie tak intensywnie doświadczaną, zmysłowo-emocjonalną aurę towarzyszącą dorastaniu, próbowaniu, błądzeniu.

Chwilami trudno rozstrzygnąć, czy „Ostatni komers” to film młodzieżowy, a więc adresowany do pokolenia przedstawionego na ekranie, czy może raczej instruktażowy, czyli lekcja poglądowa dla rodziców – „tylko zobaczcie, w co się bawią wasze dzieciaki”. Bardziej jednak niż o rewelacje obyczajowe i towarzyszącą im panikę moralną chodzi tu o te wszystkie zakazane smaki, energetyzujące dźwięki i puste słowa, o hormony, chichoty i lajki. Słowem: o to, co czują piętnastolatkowie i ciut od nich starsi w nudne letnie popołudnie gdzieś na polskim blokowisku.

Może to niewiele, ale Dawid Nickel w reżyserskim debiucie zamiast interweniować w jakiejś sprawie, po prostu spokojnie się swoim bohaterom przygląda. Bez wielkich dramatów i demonizowania wieku cielęcego, za to z zaciekawieniem kogoś, kto sam jeszcze wszystkiego nie zdążył zapomnieć.

Oglądaniu rodzimych filmów o nastolatkach towarzyszy często uczucie ulgi – że mamy ten pokraczny czas dawno za sobą. Czy chodzi o nieletnich przedstawicieli środowisk patologicznych („Cześć, Tereska” Roberta Glińskiego, „Galerianki” Katarzyny Rosłaniec), czy o dzieci z tzw. dobrych domów z klasy średniej („Obietnica” Anny Kazejak, „Sala samobójców” Jana Komasy), zazwyczaj słychać oskarżenia wymierzone w coś większego: system społeczny, konsumpcyjną kulturę, dosłownie bądź metaforycznie nieobecnych rodziców... Rzadko można poczuć na ekranie intensywnie doświadczaną, zmysłowo-emocjonalną aurę towarzyszącą dorastaniu, próbowaniu, błądzeniu.

W fabule „Ostatniego komersu” też chodzi o rzeczy ze wszech miar poważne i wymagające naprawy. Mamy tu problem tzw. eurosierot, nastoletnich ciąż i homoseksualizmu skrywanego przed konserwatywnym otoczeniem. Tytuł jednak, odnoszący się wprost do finałowej zabawy ostatniego w naszej historii rocznika gimnazjalnego, bardziej akcentuje coś, co właśnie się kończy,

aniżeli to, co dopiero się zaczyna. To czas utopiony w czczej zabawie, seksualnych eksperymentach, tanim alkoholu i oparach zioła, ale i w pierwszym tak bardzo silnym pragnieniu bliskości.

Spojrzenie Nickela i swobodna kamera Michała Pukowca towarzyszą kilkorgu bohaterom naraz. Wątek wychowywanej przez ojca Oliwki (Nel Kaczmarek), która zrobiła właśnie test ciążowy i grozi jej ośrodek opiekuńczy, został zaczerpnięty z debiutanckiej powieści „Ma być czysto" Anny Cieplak, uhonorowanej w 2017 r. Nagrodą Conrada. Historia Tomka (Mikołaj Matczak), który podkochuje się w Kubie (świetny naturszczyk Michał Sitnicki), czyli chłopaku swojej siostry Moniki (nagrodzona w Gdyni Sandra Drzymalska), zafascynowanym z kolei dojrzałą sąsiadką (Agnieszka Żulewska), oparta została na osobistych przeżyciach twórców filmu. Każdy z bohaterów fatalnie lokuje swe uczucia, stąd tak łatwo o zlekceważenie, wykorzystanie, poniżenie. I nikt tu nie robi z tego tragedii, choć może właśnie ta luzacka fasada (siłka, basen, imprezy) najbardziej niepokoi.

Ktoś zapyta: a gdzie w tym wszystkim są ich rodzice? I tego wątku Nickel specjalnie nie dramatyzuje, pokazuje jedynie próżnię, w jakiej funkcjonują nastolatkowie. Również takie instytucje, jak szkoła, MOPS czy Kościół w osobie sympatycznego księdza z kucykiem i gitarą, zdają się istnieć na odległej galaktyce. Groteskowo oddaje to scena tytułowego komersu: piętnastoletnie dziewczyny wykonują przed kolegami i ciałem pedagogicznym profesjonalny taniec erotyczny. I co z tego, że jeszcze przed chwilą uczestniczyły w podniosłej ceremonii religijnej. I co z tego, że w domu i szkole pozbawiono je edukacji seksualnej. Na szczęście jest jeszcze dobry wujek Google.

Nickel unika krytyki społecznej. Niby bohaterowie wywodzą się z różnych środowisk, począwszy od bloków z zagraconymi balkonami po schludne osiedle willowe, lecz wszyscy pozostają równie samotni i wystraszeni. Reżyser stara się opowiadać o tym bez protekcjonalnego tonu, bez pogardy dla „gimbazy". W scenariuszu dał sobie prawo do większego skoncentrowania się na męskich bohaterach, podczas gdy książka Anny Cieplak, dedykowana „dziewczynom, o których mówi się źle", inaczej rozkładała akcenty.

W dyskusjach o „Ostatnim komersie" powraca także temat aktualności filmu (powstawał w 2019 r.). Jedni widzą problem w języku (podobno nic się tak szybko nie starzeje, jak młodzieżowy slang), inni w technologii (popularność zdążyły zdobyć inne media społecznościowe), a patrząc z dzisiejszej pandemicznej perspektywy to już w ogóle inna epoka. Prawda czasu broni się tu jednak, bo w tym przypadku bardziej liczy się czas subiektywny niż etnograficzny zapis albo głos pokolenia.

Nickel osiąga ten efekt, całkowicie przejmując punkt widzenia bohaterów – kiedy zawiesza wzrok na drobiazgach i pozornie pustych przebiegach albo gdy kamera zdaje się wpadać w trans napędzany przez ostre bity techno czy rapu. A w hip-hopowe wersy zawsze warto się wsłuchać, jeśli chce się czegoś ciekawego dowiedzieć o młodszym pokoleniu – tym razem w jednym z wykonywanych w filmie utworów słychać opowieść Gerwazego z „Pana Tadeusza".

Na ubiegłorocznym festiwalu gdyńskim „Ostatni komers" otrzymał nagrodę w Konkursie Filmów Mikrobudżetowych. Czy oznacza to, że mamy do czynienia z kolejnym polskim biedafilmem? Jak na swoje ograniczenia Nickel poradził sobie całkiem dobrze. Pracował zresztą wcześniej jako asystent Małgorzaty Szumowskiej, przeszedł więc dobrą szkołę praktyczną. Nie boi się aktorskiej improwizacji na planie, co bywa wyzwaniem dla wielu bardziej doświadczonych reżyserów.

Najważniejsze, że film o niegrzecznych polskich dzieciakach ocalił w sobie cielesność, świeżość i autentyczność. Chociaż o to ostatnie trzeba by zapytać potencjalną grupę docelową. Nie ma przecież nic gorszego w przypadku kina „młodzieżowego" niż pobłażliwa reakcja w stylu *OK, boomer.* ©

OSTATNI KOMERS – *reż. Dawid Nickel. Prod. Polska 2020. Dystryb. Galapagos Films. Do obejrzenia w kinach.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Twórcy manipulacji

Dokumentalny, reż. Franck Cuveillier, Pascal Vasselin, Francja 2021, Canal+ Dokument, 30 VI, 20.45

Dlaczego niektóre zagrożenia związane z konsumpcją i stylem życia są bagatelizowane lub wręcz nieobecne w publicznym dyskursie? Nad zjawiskiem ukrywania prawdy przez wielkie koncerny zastanawiają się eksperci różnych specjalności. Są wśród nich także przedstawiciele agnotologii, czyli dziedziny badającej naszą wyuczoną ignorancję.

2. Zana

Dramat, reż. Antoneta Kastrati, Kosowo 2019, iTunes Store

Reżyserka opowiada o pokłosiu wojny w Kosowie z perspektywy kobiecej traumy. Bohaterką filmu jest wiejska kobieta, która zmaga się z osobistą stratą i ma problemy z zajściem w ciążę. Presja tradycji pcha ją w ramiona różnej maści uzdrawiaczy, a pomieszanie zabobonu z indywidualnym cierpieniem tworzy na ekranie atmosferę surrealistycznej grozy.

3. Watani: My Homeland

Dokumentalny, reż. Marcel Mettelsiefen, Wielka Brytania/ /Niemcy/Syria 2017, arte.tv

W nominowanym do Oscara dokumencie kamera przez kilka lat podążała za syryjską rodziną Abu Alego, który został uprowadzony przez Daesz. Towarzyszyła jej na dobre i na złe – w odmętach wojny domowej, w zwykłej codzienności i podczas ucieczki na Zachód. Reżyser pokazuje też, jak w nowej rzeczywistości zmieniała się dynamika życia rodzinnego uchodźców.

4. The Kominsky Method

Serial, tw. Chuck Lorre, USA 2021, odc. 1–6, Netflix

To już trzeci (i podobno ostatni) sezon opowieści o starzejącym się instruktorze aktorstwa z Hollywood, zagranym przez Michaela Douglasa. Niestety, Alan Arkin jako jego wieloletni przyjaciel Norman pojawia się już tylko w retrospekcjach. Nie brakuje za to błyskotliwych dialogów i czarnego humoru w odniesieniu do spraw nieśmiesznych.

ANDRZEJ

Stasiuk:
Martwe sezony

Z Bieszczadami to ja zawsze miałem niejednoznacznie. Kiedyś dostałem zaproszenie na osiemdziesiąte urodziny Czesława Miłosza do eleganckiego lokalu w Krakowie. Pomyślałem, że kogo jak kogo, ale Miłosza powinien poznać każdy porządny człowiek, jeśli tylko nadarzy się okazja. Pojechaliśmy starym białym maluchem do Gorlic, a potem autobusem.

Lokal był duży, pełno w nim było ludzi i jedzenia. Stało wszędzie. Na stołach, na parapetach, chyba nawet na krzesłach i na korytarzu. Rozglądałem się onieśmielony i oszołomiony, ale nigdzie nie mogłam wypatrzeć Jubilata. W końcu Redaktor wziął mnie za ramię, popchnął w tłum i powiedział: „To jest ten młody pisarz, panie Czesławie, wie pan...". Rozejrzałem się jeszcze bardziej w poszukiwaniu i dopiero po dłuższej chwili dostrzegłem, że Poeta patrzy na mnie z dołu i się uśmiecha spod tych swoich słynnych brwi. Rany, ależ mnie zdjął podziw i szacunek dla jego potęgi zamkniętej w ciele tak niewielkim. Naprawdę musiał zadzierać głowę. „Aaa, pan z Bieszczad! Od razu widać, opalony, zdrowy!". Poklepał mnie po ramieniu i poszedł sobie.

Zachwiałem się od tego klepnięcia, ponieważ byłem tuż po ataku kamieni nerkowych. Dopiero co wstałem z łoża boleści, popijałem tylko wodę i dwoiło mi się w oczach. M. odprowadziła mnie gdzieś na bok i usadziła w ciszy i przewiewie, żebym ochłonął po tych Bieszczadach i podziwie dla zdrowotności. „Nie zdążyłem mu powiedzieć, że mieszkamy w Beskidzie Niskim" – westchnąłem. „Nie martw się. I tak nikt nie wie, gdzie jest cały ten Beskid Niski" – odpowiedziała M.

Tak więc niejednoznacznie mam z Bieszczadami, ale czasem mnie ciągnie. Boże broń nie w sezonie, bo wtedy to jednak lekka ludożerka. Wszyscy na sportowo, znaczy się w kolorowych butach, co wyglądają, jakby na bose stopy je pozakładali, w krótkich gaciach i ciemnych okularach. Zupełnie jak w Sopocie.

Ale w tak zwanych martwych sezonach – jak najbardziej. Kiedyś w listopadzie wstałem jeszcze po ciemku i pojechałem. Niebo jak na tę porę roku było pięknie wygwieżdżone i trzymał lekki przymrozek. Pomyślałem, że wylezę na Caryńską i sobie popatrzę na wschód, zachód, północ i południe, żeby doświadczyć karpackiej rozległości. Sam wobec bezmiaru, znikomy, zbędny, a jednak w komunii z pięknem wszechświata. Dnieć zaczęło gdzieś koło Cisnej. Na szosie ledwo kilka dostawczych aut z miejscowymi blachami. Dojechałem do Wyżnickiej i zostawiłem auto. Zamarznięte błoto przyjemnie kruszyło się pod stopami. Trzeszczały lusterka kałuż. Buki były już bezlistne. Po prawej, za Bukowym Berdem, podnosił się ni to złoty, ni to srebrny blask. Był lodowaty i czysty. „Jakoś wyleziesz" – pomyślałem. Jak okiem sięgnąć, wszystko było znieruchomiałe. Jak to o świcie. Jeszcze ciemne, ale już wyraziste. I żywego ducha. Nawet ptasiego ani zwierzęcego cienia. No ale w końcu wylazłem. W pełnym słońcu. Jakżeż wiało na tej grani. Myślałem, że mnie porwie. Przykucałem, przywierałem do gigantycznego grzbietu połoniny. Wydawało mi się, że tak jest bezpieczniej, że w tej bydlęcej pozycji lepiej widać na wschód, zachód, północ i południe. Majestatyczny bezruch ziemi i kolosalny napór powietrza.

Wtedy ich zobaczyłem. Szli we trójkę granią od wschodu. Musieli się wspiąć od Przysłupia Caryńskiego. Spory kawałek. Wyruszyli na pewno przed świtem. „Bieszczadzcy romantycy" – pomyślałem i skwapliwie dodałem brzydkie słowo. Naciągnąłem kaptur i postanowiłem ich przeczekać. „Przyjdą i pójdą". Nawet trochę zlazłem ze szlaku. No ale się nie obyło bez tego idiotycznego „dzień dobry". W listopadzie, o świcie, na szczycie Caryńskiej. A zaraz potem: „Ach, to pan... szkoda, że nie mamy książek, podpisałby pan...". Dziewczyna miała na sobie czerwony sztormiak, a pod czarną czapką jasne włosy. Wykonałem jakiś gest i głupio się uśmiechnąłem. „Taa, byłoby super na tej piździawie...". Ale nie powiedziałem tego głośno.

Same dwuznaczności z tymi górami. Dwa dni temu musiałem pojechać na sam koniec bieszczadzkiego worka. Do Bukowca. Przyjaciele wędrowali tydzień przez góry i tam kończyli wyprawę. Pojechałem przez Żmigród i Duklę. Prawdziwe Bieszczady zaczynają się w Komańczy, na rzece Osławie. W tym miejscu zawsze dopadają mnie wspomnienia. W latach 70. minionego wieku nad rzeką, zaraz przy szosie, było dzikie pole namiotowe. Można było rozbić namiot i miejscowa Milicja Obywatelska nie robiła trudności. Biwakowało najczęściej długowłose towarzystwo, ówcześni hipisi, uwiedzeni legendą bieszczadzkiej wolności. I ja byłem wtedy hipisem przez rok czy dwa, zanim mnie to nie znudziło, bo w końcu odkryłem, że cała ta wolnościowa brać przypomina zwyczajną sektę. Jak zresztą większość braci mających na celu naprawę świata.

Snuliśmy się po górach bez grosza. Odżywialiśmy się leśnym runem i suchym chlebem jak prawdziwi derwisze, eremici oraz mistycy. Tam, na tym dzikim polu namiotowym niejaki Mahatma zrobił mi pierwszy zastrzyk dożylny (następne robiłem sobie już sam i potrafię to robić do tej pory). Mahatma pochodził z Tczewa albo Elbląga. Miał długą brodę i rzeczywiście przypominał jakiegoś jogina. Tak mi się wówczas wydawało. To były czasy sprzed półprzemysłowej produkcji kompotu, ale przy każdej zagrodzie rósł zagon maku, nie to co teraz. A polska kontestacyjna myśl chemiczna potrafiła z tego maku wytwarzać całkiem konkretny narkotyk. Potrzebne były jedynie żyletka, łyżka, zapalniczka, trochę wody i oczywiście strzykawka. Boże broń nie jednorazowa. Ale nie podzielę się z Państwem szczegółową instrukcją. Tak, Bieszczady to wieloznaczne góry. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 27/2021

Włóczykij kulturalny

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" NR 27/2021 www.TygodnikPowszechny.pl
REDAKCJA: Monika Ochędowska | OPIEKA WYDAWNICZA: Maja Kuczmińska, Anna Pietrzykowska, Mateusz Gawron | PROMOCJA: Patryk Stanik, Monika Ochędowska | PROJ. GRAF. Marek Zalejski | FOTOEDYCJA: Edward Augustyn | OKŁADKA, SKŁAD: Anna Prusiewicz, Renata Surowiec / DoLasu
KOREKTA: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk

PARTNERZY: Kraków ZAKOPANE.pl ZAKOPANE ZAKOPIAŃSKIE CENTRUM KULTURY instytut kultury miejskiej

Irokezi znad Warty

KAROLINA KUSZYK

Jeśli chcecie zobaczyć migrujące gęsi, przyjeżdżajcie w drugiej połowie lutego albo w marcu. Jeśli ptaki lęgowe – w kwietniu lub w maju. Klangor żurawi nie da wam zasnąć od końca sierpnia do października.

MARIA PAJZDERSKA / FORUM

Jeden z kanałów w Parku Narodowym „Ujście Warty", sierpień 2003 r.

Ponad 240 lat temu Warta – dziś uregulowana i skanalizowana – płynęła szeroką, bagienną doliną, wypełnioną przeplatającymi się odnogami koryt, starorzeczami, zastoiskami i mokradłami. Pierwsze prace w ramach zagospodarowywania delty ruszyły w 1767 r. Pięć lat później Fryderyk Wielki, władca Prus, na pewien czas oderwał się od osuszania nadwarciańskich błot, by oddać się wraz z Rosją innej zgoła operacji pozyskiwania terenu – pierwszemu rozbiorowi Polski. W liście do encyklopedysty d'Alemberta określił Polaków mianem „biednych Irokezów" i zadeklarował, że będzie starał się wpoić im trochę kultury europejskiej.

Tymczasem wzdłuż brzegów rzeki, od Landsberg an der Warthe, dzisiejszego Gorzowa Wielkopolskiego, po Küstrin, dzisiejszy Kostrzyn, został usypany wysoki na ponad trzy metry wał, a bagienną dolinę osuszono i zamieniono w pastwiska i ziemię pod uprawę roli. Poczynając od 1785 r. wydarte rzece tereny mogli już zasiedlać koloniści. Grupie chłopów proszących o pozwolenie na emigrację do Ameryki król Prus odpowiedział, że ma dla nich coś lepszego, mianowicie *neu Amerika*, nową Amerykę.

W zamian za wysiłek kolonizowania osuszonych ziem, naprawę wałów przeciwpowodziowych, kopanie rowów melioracyjnych i wypasanie bydła chłopi – wśród których było zresztą wielu „Irokezów" z zaboru pruskiego – dostali łan ziemi ornej, pół łana łąk, materiał na budowę, opał, zwolnienie ze służby wojskowej dla dwóch pokoleń i zwolnienie od podatków przez osiem lat. I mogli sobie zamieszkać w Maryland, Hampshire, Ceylonie albo na Jamajce.

Dudki na wierzbie

Delty Warty nie osuszono na tyle, by odstraszyć setki tysięcy dzikich gęsi, żurawi i łabędzi krzykliwych, które wciąż zatrzymują się tu podczas jesiennych i wiosennych przelotów. Latem pokazują się tu podobno stadka bocianów czarnych. Zawsze chciałam zobaczyć tych płochliwych i skrytych braci bocianów białych, dlatego pakuję męża i dziecko do samochodu, zostawiamy za sobą rozgrzany do niemożliwości Berlin i po godzinie jazdy jesteśmy nad Wartą.

Zatrzymujemy się w Słońsku, w wodomistrzówce, u gospodarzy Biura Turystyki Przyrodniczej Dudek, którzy prowadzą też agroturystykę. To przedostatni budynek we wsi. Za nim jest jeszcze jeden dom, dawniej służbowa kwatera mistrza wałowego, a dalej jak okiem sięgnąć dziesiątki kilometrów kwadratowych wałów i polderów, otwarte niebo i kreska horyzontu, tu i ówdzie poznaczona kostropatymi wierzbami.

Wodomistrzówka to dom, w którym mieszkali służbowo pracownicy obsługujący sąsiednią stację pomp. Bo wały przeciwpowodziowe, które kazał usypać król Prus, chociaż odcięły ponad 30 tysięcy hektarów ziemi od zalewowych wód rzeki, sprawiły też, że nie odpływały wody opadowe. Dlatego w 1910 r. Niemcy, wyzyskując nowy wynalazek maszyny parowej, postawili tu pompownię, która usuwała z polderów nadmiar wody. W latach 30. dołączyła do niej mniejsza pompownia elektryczna. Pracowano na zmiany. Dziś stację obsługują dwie osoby. Budynek dużej pompowni to elegancki zabytek techniki, którego wąskie, podłużne okna, płaskie lizeny, historyzująca wieżyczka z hełmem i mansardowy dach wyglądają wśród bezludnego ptasiego królestwa niczym cokolwiek natrętna demonstracja cywilizacyjnej potęgi.

Iza Engel z mężem Jackiem mieszkają w Słońsku od lat 80., gdy Jacek został kierownikiem tutejszego rezerwatu przyrody. Z czasem rezerwat został otoczony przez park krajobrazowy, a na początku nowego wieku znalazł się w granicach Parku Narodowego „Ujście Warty". W tym roku parkowi stuknęła dwudziestka. Choć jest ↦

↦ obszarem chronionym, to wolno, a nawet trzeba tu wypasać bydło, bo na wystrzyżonych pastwiskach żerują ptaki. Krowy i konie przez cały rok biegają wolno, tworzą stada. Widoki jak na prerii. *Amerika.*

Gdy Iza i Jacek zakładali Dudka w 1997 r., prawie nikt w Polsce nie interesował się amatorsko ptakami. Do Słońska przyjeżdżali Niemcy i Holendrzy z drogim sprzętem. Jeśli Polacy, to wędkarze i myśliwi.

– Wtedy na wczasy jeździło się w dwóch kierunkach: albo nad morze, albo w góry – śmieje się Iza. Nikogo nie ciągnęło na bagna. Od lat 90. spragnieni południowych plaż rodacy masowo latali za granicę. Dopiero w XXI w. zaczął się u nas *birdwatching* z prawdziwego zdarzenia. – Nie każdy tu przyjedzie, bo ludzie coraz bardziej boją się przyrody. Wolą wyciąć, uporządkować, zatruć i mieć spokój.

Dlatego najważniejszy szlak Parku – „betonka", stara droga na wyniesionej w górę grobli, raj dla obserwatorów ptaków – raczej nie zostanie drugimi Krupówkami.

Dla takich, którzy przyrody się nie boją, Towarzystwo Przyjaciół Słońska założyło Rzeczpospolitą Ptasią. RP ma własną konstytucję i ponad 3500 obywateli wyposażonych w paszporty. Już 31 lipca przyjadą na dwudziesty, jubileuszowy zlot birdwatchersów. Poza zlotami szachistów to chyba najcichszy zlot na świecie, przynajmniej w części plenerowej. A 12 września ruszy ze Słońska rajd śladami Theodora Fontanego. XIX-wieczny realista Fontane, rozkochany w swoim brandenburskim heimacie, to również autor pięciotomowych „Wędrówek po Marchii Brandenburskiej", które czyta się jak długi felieton podróżny.

Jeśli chcecie zobaczyć gęsi i migrujące kaczki, przyjeżdżajcie do Słońska w drugiej połowie lutego albo w marcu. Jeśli ptaki lęgowe – w kwietniu lub w maju. Wiosną gnieżdżą się tu ohar, krakwa, ostrygojad, płaskonos, perkoz rdzawoszyi, zausznik, rybitwa czarna i mewa mała – wszystko gatunki zagrożone wyginięciem. Klangor żurawi nie da wam zasnąć od drugiej połowy sierpnia do października. Przez cały rok widać bielika. Coraz częściej pokazuje się też dudek. To ten śliczny ptaszek z irokezem.

Poniemieckie Pompeje

Jedziemy do Kostrzyna nad Odrą – to zaledwie 12 kilometrów od Słońska. W styczniu 1945 r. podczas ofensywy sowieckiej Küstrin an der Oder został obwołany *Festung*, a mieszkańców starówki, umoszczonej we wnętrzu XVI-wiecznych fortyfikacji, ewakuowano, podobnie jak w innych miastach twierdzach. Podczas zaciekłych walk w marcu twierdza padła, a stare miasto zrównano z ziemią. Równie ciężkie, niemal stuprocentowe zniszczenia dotknęły na dawnym niemieckim wschodzie tylko Glogau, dzisiejszy Głogów.

W pierwszych powojennych latach Kostrzyn był zamkniętym miastem kolejarzy i celników. Starówki już nie zaludniano – zbyt blisko granicy. Aktywność nowych mieszkańców skupiła się w dawnym Küstrin-Neustadt, gdzie teraz jest centrum. Kikuty budynków Küstrin-Altstadt straszyły jeszcze długo, dopóki w latach 60. nie wysadzono ich w powietrze. Ruiny czekały na uprzątnięcie do lat 90.

Spacerujemy po polu z resztkami zabudowy, które bierze we władanie przyroda. Stary Küstrin był jednym z naj-

REKLAMA

Malarstwo niderlandzkie i flamandzkie

10.07.2021
19.09.2021

ze zbiorów
Zamku Królewskiego na Wawelu
oraz Muzeum Narodowego
w Gdańsku

Muzeum Narodowe w Gdańsku
Oddział Zielona Brama
Gdańsk, Długi Targ 24

organizatorzy
współorganizator
patronat honorowy
programy lojalnościowe
patronat medialny
www.gdansk.pl

ładniejszych miast w Brandenburgii, dziś jest powidokiem miasta. W broszurach turystycznych często nazywany jest polskimi Pompejami. Albo Hiroszimą. Mimowolnie ściszamy głosy. Tu schody bez domu, tam cokół bez pomnika. Zachowane w doskonałym stanie bruki z kratkami ściekowymi. Myślę o tym, co zostało pod ziemią, skazanej na wieczną bezczynność kanalizacji. Nasze polsko-niemieckie dziecko rwie garściami trawę i wydłubuje z ziemi kamyczki.

Zatrzymujemy się przy pozostałościach zamku. To tu więziony był za młodu Fryderyk Wielki. I tak, zamiast na bociana czarnego, który miał być przewodnikiem wyprawy, co krok natykamy się na ślady Fryderyka. Ten, zanim zapracował sobie na przydomek Wielki i zaczął prowadzić wojny, kolonizować, oświecać i reformować Prusy, uchodził za młodzieńca subtelnego i kochającego poezję. Na ojca, Króla-Żołnierza Fryderyka Wilhelma I, który uważał, że prawdziwie męskie zainteresowania winny ograniczać się do wojny i polowań, francuskie ciągoty potomka w połączeniu z jego zapałem do gry na flecie i filozoficznych dysput działały jak płachta na byka. Nazywał go zniewieściałym i osobiście wybijał mu niedorzeczności z głowy. Tymczasem syna połączyła zażyła przyjaźń ze starszym o osiem lat porucznikiem. Co do charakteru owej zażyłości do dziś spierają się historycy, ale z pewnością składało się na nią wspólne muzykowanie.

Wkrótce Fryderyk Wilhelm dowiedział się, że junior, któremu do reszty zbrzydł ojcowski dryl, planuje z przyjacielem ucieczkę za granicę, i wtrącił syna do więzienia na zamku w Küstrin. Przyjaciela spotkał los stokroć gorszy: został ścięty na zamkowym dziedzińcu, a egzekucji dokonano na oczach osiemnastoletniego Fryderyka. Według niektórych źródeł wcale jej nie zobaczył, bo zemdlał podczas odczytywania wyroku. Kto wie, jak potoczyłyby się losy Europy, gdyby Fryderykowi udało się uciec ze swoim porucznikiem i wieść życie artysty z dala od ojca.

Jeszcze do niedawna do Kostrzyna zlatywały dzieciaki z obu stron Odry na Przystanek Woodstock. Chociaż amerykańskich nazw w ujściu Warty już nie ma, bo po 1945 r. Komisja Ustalania Nazw Miejscowości je zmieniła – Ceylon został Czaplinem, Jamaika Jamnem, Luisiana Przemysławiem, Philadelphia Koszęcinem, a Hampshire Budzigniewem – Woodstock nad Wartą wydawał się mimowolnym ukłonem w stronę Fryderyka Wielkiego: późnego, który dał chłopom nową Amerykę, i wczesnego, który chciał wyrwać się spod kurateli despotycznego ojca.

W tym roku festiwal przenosi się na lotnisko w Makowicach. To tam dzieciaki będą słuchać muzyki, pogować, jeść wegańskie kotlety, wąchać kadzidełka i robić wszystkie te rzeczy, na których wyobrażenie każdego rodzica ogarnia trwoga i wstydliwa tęsknota za czarną pedagogiką.

Wracamy do Słońska. Wokół wodomistrzówki nadaje na cały regulator ptasie radio. Puszczamy naszą niespełna dwuletnią córkę na kocyk, radzi, że trochę wody w Warcie upłynie, nim wyfrunie z gniazda, a my na razie nie musimy martwić się ani o niestosowne przyjaźnie, ani o to, co też może wyprawiać na letnich festiwalach.

© KAROLINA KUSZYK

REKLAMA

Fot. Jan Graczyński

Kulturalny, zielony, aktywny! Czas na Kraków!

Stolica Małopolski to miejsce, w którym unikalne dziedzictwo, nietuzinkowe wydarzenia kulturalne, miejska przyroda i lokalna kuchnia tworzą świetne warunki do wypoczynku.

W Krakowie spędzisz prawdziwie królewskie wakacje. O tym, dlaczego warto spędzić urlop pod Wawelem, opowiada ogólnopolska kampania „A Ty? Co widzisz w Krakowie?”. W tym sezonie miasto zachęca gości, żeby na Kraków znany z pocztówek spojrzeli z osobistej perspektywy i, wędrując po mieście, dostrzegli to, czego nie widzą inni. Bo tym jest właśnie Kraków – niepoliczalną sumą spojrzeń.

Miasto odkrywców

Kiedy znajdziemy już własną ścieżkę poprzez Kraków – miasto dziedzictwa, miasto artystów i wydarzeń, zobaczymy, jak historia i zabytki łączą się w niezwykłym splocie z buzującym życiem kulturalnym i kreatywnością mieszkańców. Kraków to miasto, w którym odkrycia czekają jedno po drugim – za rogiem każdej ulicy, tutaj, teraz, już.

Tak jak nie zabraknie powodów, by na nowo odkrywać unikalne dziedzictwo miasta, tak też sporo będzie okazji, by zanurzyć się we współczesnej krakowskiej kulturze. Tym bardziej że w wakacje krakowskie instytucje kultury i festiwale wyjdą w plener.

Ofertę kulturalną Krakowa współtworzy kilkaset centrów kultury, ponad sto oddziałów muzealnych i kilkadziesiąt festiwali. Szukacie cicerone po świecie kultury? Zapraszamy na stronę nowego projektu Kraków Culture. Przewodnikami po krakowskiej kulturze będą nowe media internetowe i tradycyjne – portal krakowculture.pl i kwartalnik „Kraków Culture”, w którym wyszukać można wydarzenia kulturalne na każdy sezon życia miasta.

A tymczasem przed nami Kraków Culture Summer – w sierpniu park im. Henryka Jordana zamieni się w festiwalową scenę, na której odbywać się będą unikatowe wydarzenia współtworzone przez krakowskie instytucje i organizacje pozarządowe: m.in. spektakle i koncerty, od muzyki klasycznej, przez pop i jazz, po elektronikę i muzykę filmową.

Miasto opowieści

Kraków nieustannie czerpie ze swojego dziedzictwa, by na nowo i w niekonwencjonalny sposób opowiadać o sobie kolejnym pokoleniom. Również w tym roku gród Kraka ma dla gości wiele nowych historii i niespodzianek.

Przeniosą nas one m.in. do epoki Jagiellonów, kiedy to Zamek Królewski

na Wawelu przeżywał okres największej świetności. Za sprawą spektakularnej wystawy „Wszystkie arrasy króla. Powroty 2021–1961–1921” w zamkowych apartamentach możemy obejrzeć całą zachowaną w Polsce kolekcję cennych tkanin wykonanych na zamówienie Zygmunta Augusta w najlepszych brukselskich warsztatach tapiseryjnych. Każdy arras to inna opowieść, a wszystkie razem – łącznie 137 obiektów! – tworzą mikrokosmos znaczeń i odniesień.

Zostańmy jeszcze przy Jagiellonach, tylko z wnętrz zamku przenieśmy się do wawelskiej katedry i pamiętnego roku 1521. To wtedy, 13 lipca, krakowianie po raz pierwszy usłyszeli bicie dzwonu ufundowanego przez króla Zygmunta I Starego. W pięćsetlecie tego wydarzenia nie zabraknie wydarzeń, które przypomną nam o tym niezwykłym jubileuszu. Powrócą też legendy, w jakie obrósł król polskich dzwonów, drugi obok hejnału mariackiego tak ważny dźwięk w polskiej tradycji.

Obowiązkowym punktem zwiedzania wzgórza wawelskiego jest zejście do Smoczej Jamy. Uwaga: to także świetny sposób na to, by po obejrzeniu zamkowych ekspozycji nieco schłodzić rozgrzane głowy, pożegnać się ze smokiem i ruszyć spacerem nad Wisłę. W tym roku licząca 12 mln lat jaskinia zyskała nowe oświetlenie – doskonale wyostrzone zagłębienia skalne potęgują tajemniczość i niepowtarzalny klimat tego miejsca.

Nie tylko wzgórze zamkowe kryje w tym roku tyle niespodzianek. Warto szukać ich w całym mieście – w kościele Mariackim, na przykład, można na nowo odkryć ołtarz Wita Stwosza, który po sześciu latach renowacji zachwyca kolorystyką zbliżoną do pierwotnej. Realizm tego arcydzieła jeszcze skuteczniej przenosi nas w świat współczesnych Stwoszowi krakowian.

W zieleni, na plaży, przy stole

Kraków to też wiele niezwykłych miejsc, w których można po prostu dobrze wypocząć – kąpieliska, parki, ogrody, kopce, tereny leśne, trasy rowerowe. Do licznych zakątków idealnie nadających się do relaksu na łonie przyrody dołączyły właśnie kolejne: wschodnia część kąpieliska Bagry Wielkie, czyli Mała Chorwacja, oraz kąpielisko w Przylasku Rusieckim, z plażą, pomostem i wypożyczalnią sprzętu pływającego. Warto wybrać się na spacer czy rowerową przejażdżkę po malowniczych krakowskich parkach i w ten sposób połączyć zwiedzanie z rekreacją. Miasto uruchomiło także specjalne linie autobusowe, którymi można dotrzeć na tereny rekreacyjne tuż za granicą Krakowa, m.in. do Puszczy Niepołomickiej czy Ojcowa. Goście, dla których nie ma wakacji od sportu, mogą też skorzystać z programu miejskiej kampanii „Kraków w formie”.

Ale czym byłaby podróż pod Wawel bez posmakowania lokalnej kuchni? Zwłaszcza że dla podniebienia Kraków ma wiele do zaoferowania. Dość wspomnieć, że tutejsza gastronomia to krzyżujące się wpływy różnych kultur, 13 produktów regionalnych (w tym obwarzanek), 200 produktów tradycyjnych (jak maczanka po krakowsku, prababka hamburgera), ale także szeroka oferta placów targowych z ekologiczną i regionalną żywnością oraz krakowskie strefy slow food.

Z kartą korzystniej

Podobnie jak w ubiegłym roku każdy, kto przyjedzie do stolicy Małopolski na minimum jedną noc i zatrzyma się w jednym z krakowskich obiektów będących partnerem miejskiego programu #zwiedzajKrakow, otrzyma kartę turystyczną dającą 20 proc. rabatu w restauracjach, hotelach, galeriach, muzeach i innych miejscach, które przystąpiły do akcji.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Fot. Jan Graczyński

PIOTR KOSIEWSKI

Monika Sosnowska „Krata" (2009). Park Rzeźby na Bródnie, Warszawa, czerwiec 2021 r.

Letni pejzaż

PIOTR KOSIEWSKI

Lato w galeriach i muzeach nie będzie sezonem ogórkowym. Można pójść tropem wystaw-hitów. Można też obrać inną ścieżkę: tematów i motywów niekonieczne oczywistych.

Instytucje związane ze sztuką kolejny rok mierzą się z pandemią. Zimą, a następnie wczesną wiosną muzea i galerie musiały się zamknąć dla publiczności. Pozostało im funkcjonowanie online, ale niewiele osób chyba wierzy, że w ten sposób można zastąpić bezpośredni kontakt z dziełem. Rewizji podlegały też plany wystawiennicze, ale inaczej niż w 2020 r. wiele instytucji przystosowało się do funkcjonowania w stanie niepewności.

Na powrót do sytuacji sprzed pandemii (o ile będzie w ogóle możliwy) długo jeszcze poczekamy. Zwłaszcza na szerszą obecność twórczości artystów z innych krajów – a siłą wielu polskich galerii i muzeów było ich umiędzynarodowienie. Dlatego tegoroczne lato warto wykorzystać na kontakt ze sztuką. Tym bardziej że nie wiemy, czy jesienią nie czekają nas kolejne lockdowny.

Kobiece spojrzenia

W tym roku lato w galeriach i muzeach nie będzie sezonem ogórkowym. Przeciwnie, wiele z nich przygotowało bardzo ciekawy program. Można pójść tropem wystaw-hitów, jak imponujący pokaz „Wszystkie arrasy króla. Powroty 2021–1961–1921" (do 31 października na Wawelu) czy „Zimna rewolucja" – o sztuce i społeczeństwie w Europie Środkowo-Wschodniej w czasach stalinizmu (do 19 września w warszawskiej Zachęcie). Można jednak obrać inną ścieżkę: tematów i motywów niekonieczne oczywistych.

Ostatnie lata to czas kobiet. Ich twórczość na dobre wchodzi do galerii i muzeów, także w Polsce. W stołecznym Muzeum Narodowym otworzyła się i potrwa do 10 października od dawna oczekiwana wielka wystawa poświęcona działającej w ostatnich dekadach XIX w. Annie Bilińskiej, która jako pierwsza polska artystka została doceniona przez zagranicznych krytyków, a jej prace prezentowano na najważniejszych europejskich wystawach. W Warszawie zostanie pokazany obszerny wybór jej obrazów i rysunków, w tym dotąd nieznanych, pochodzących z polskich i zagranicznych muzeów oraz

kolekcji prywatnych. Twórczość Bilińskiej od dłuższego czasu budzi coraz większe zainteresowanie – może teraz nie tylko trafi do kanonu polskiej sztuki, ale przyczyni się do jego rewizji. Wystawa przypomni też kontekst społeczny i kulturowy oraz ograniczenia, z którymi w tym czasie spotykały się kobiety pragnące tworzyć.

Z kolei w galerii lokal_30 i w Fundacji Arton w Warszawie można już oglądać wystawę „Kocham w życiu trzy rzeczy: samochód, alkohol i marynarzy..." (do 15 września). Pod zaskakującym tytułem kryje się opowieść o piętnastu studentkach Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych (późniejszej Akademii Sztuk Pięknych) z okresu międzywojennego. Są wśród nich dziś znane, jak Julia Keilowa czy Maria Nicz-Borowiakowa, ale też zapomniane. Wystawa nie tylko przywraca pamięć o nich, lecz także mówi o ważnej, a pomijanej części historii naszych uczelni artystycznych – w archiwum warszawskiej ASP zachowały się teczki aż 925 kobiet pochodzące z lat 1922–39.

Łódzkie Muzeum Sztuki przypomina zaś o Urszuli Czartoryskiej, jednej z najwybitniejszych polskich historyczek i krytyczek sztuki. Wystawa „Czuła uwaga" (do 5 września) skupia się na jej zainteresowaniu fotografią, dla której wywalczyła miejsce w polskiej sztuce i jej historii. Urszula Czartoryska była autorką kluczowych tekstów jej poświęconych, na których wychowały się kolejne pokolenia. Ona też przez lata tworzyła kolekcję fotografii Muzeum Sztuki, w której łączyła zainteresowanie przeszłością z wyczuleniem na to, co powstaje współcześnie. Imponujący wybór fotografii pokazany na wystawie od prac Nadara, Jana Bułhaka i Florence Henri, a na Natalii Lach-Lachowicz, Józefie Robakowskim i Mikołaju Smoczyńskim kończąc, pokazuje osobiste fascynacje Czartoryskiej oraz wybory, jakich dokonywała tworząc kanon historii fotografii.

> Na TikToku Galerii Labirynt pojawią się Franek Drażba, Anastasia Kashtalian i Królówczana Smuga.

Natomiast warszawskie Muzeum Sztuki Nowoczesnej otworzy – zaplanowaną pierwotnie na 2020 r. – wystawę Agnieszki Polskiej (2 lipca – 19 września), reprezentantki młodego pokolenia, która szybko zdobyła międzynarodowe uznanie, a cztery lata temu została laureatką prestiżowej niemieckiej Preis der Nationalgalerie. W Muzeum nad Wisłą będzie można zobaczyć jej najnowszą, imponującą wideoinstalację „Plan Tysiącletni" poświęconą elektryfikacji polskiej wsi tuż po zakończeniu II wojny światowej, procesom modernizacyjnym zachodzącym w tym czasie, napięciom społecznym i politycznym związanym z wprowadzaniem komunistycznych rządów.

Jednak malarstwo

Odrębną ścieżką mogą podążyć ci, który nadal szukają malarstwa. Warszawska Królikarnia przypomina mniej znane oblicze najważniejszego polskiego rzeźbiarza I połowy XX w., Xawerego Dunikowskiego (do 14 listopada). Malarstwem interesował się już jako student, pierwsze swoje obrazy wystawił w 1915 r. Jak sam podkreślał: „Ładnie bym wyglądał, gdybym nie potrafił malować. Dzięki temu, że umiem malować, potrafię i rzeźbić". Jednak dopiero po wojnie malarstwo stało się dla niego szczególnie ważne, pozwoliło opowiedzieć o traumatycznych przeżyciach w Auschwitz, ale też o lękach i niepokojach pierwszych powojennych dekad.

Natomiast stołeczne Muzeum Polin przygotowało pierwszy od lat w kraju indywidualny pokaz Wilhelma Sasnala. „Taki pejzaż" (aż do 10 stycznia 2022) obejmuje blisko 60 prac powstałych w ostatnich dwudziestu latach, dotyczących wojennej i powojennej historii, szczególnie Holokaustu. To wystawa o relacjach między pamięcią i zapominaniem, o wyparciu i wstydzie. Obrazy, które, jak mówi sam artysta, powstały „z jakiegoś nieświadomego poczucia braku, który trudno zdefiniować. A może z poczucia winy, jakie, będąc wychowanym w tradycji chrześcijańskiej Polakiem, noszę". Wystawa, która pozwala odpowiedzieć na pytanie, czy dzisiaj malarstwo jest nam w ogóle potrzebne.

Z kolei w Galerii Bielskiej BWA trwa wystawa Karola Palczaka „Tym, co teraz widzę" (do 22 sierpnia). Urodzony w 1987 r. artysta został okrzyknięty jednym z największych odkryć naszej sztuki ostatnich lat. Tworzy malarstwo odrębne od tego, co dziś dominuje, ostentacyjnie czerpiące z dawnych mistrzów, a jednocześnie osadzone w polskiej rzeczywistości, do tego rzadko przedstawianej. Obrazy Palczaka rozgrywają się w okolicach jego rodzinnej wsi Krzywcza nad Sanem, z precyzyjnie oddaną kolorystyką, światłem, migotliwością powietrza. Wydają się zwyczajne, ale są, jak podkreśla Piotr Rypson, kurator wystawy, pułapkami zastawionymi na widza. Nie wiadomo, czy to idylliczne sceny, czy za chwilę dojdzie do ↦

REKLAMA

MSN / MATERIAŁY PRASOWE

Agnieszka Polska, „Plan Tysiącletni". Wystawa multimedialna w Muzeum nad Wisłą, MSN w Warszawie.

jakiegoś dramatu? Czy to beztroska zabawa, czy jakieś mroczne rytuały?

Wreszcie, już u kresu lata, w warszawskiej galerii Raster z okazji kolejnej edycji Warsaw Gallery Weekend (30 września – 3 października) będzie można zobaczyć najnowsze obrazy Marcina Maciejowskiego, jak Sasnal należącego kiedyś do słynnej grupy Ładnie. Jego prace, w których nieustannie odnosi się do swego bezpośredniego otoczenia, migawki z codziennego miejskiego życia, sceny z życia świata sztuki i historii sztuki. A jego płótna – podobnie jak Sasnala – dziś rzadko można zobaczyć w Polsce.

Pytania o tożsamość

Odwiedzających wystawę „Tysiące twarzy, setki miraży" (do 5 września) w krakowskim Muzeum Manggha wita ponad 700 fotografii ułożonych w wielobarwny fryz. Są tu wizerunki księdza i marynarza, żołnierza i biskupa, zalotnie ubranej kobiety i statecznej damy. Wszystkie to wcielenia jednej osoby: Tomasza Machcińskiego, który od lat 60. ubiegłego wieku nieustannie kreuje kolejne postacie (do dziś jest ich już ponad 20 tysięcy). Podważa granice płci, tożsamości społecznych i kulturowych. „To człowiek tworzy metamorfozy" – śpiewała Olga Jackowska w znanym przeboju Maanamu.

Zdjęcia Machcińskiego to wyjątkowa opowieść o meandrach tożsamości. Dziś pytanie o nią – w wymiarze indywidualnym, ale też zbiorowym – należy do kluczowych i najtrudniejszych. Szczególnie w przypadku osób należących do mniejszości, spychanych i marginalizowanych. Tych, którzy muszą się mierzyć z wyobrażeniami i stereotypami tworzonymi przez innych.

Zimą tego roku w białostockim Arsenale można było oglądać fascynującą wystawę „Wyjście z Egiptu" Małgorzaty Mirgi-Tas, która w swych pracach wykorzystała wzory z cyklu XVII-wiecznych grafik „Les Bohémiens" Jacques'a Callota. Teraz na wystawie „...w koło Macieju smutek tropików..." (do 29 sierpnia) w tarnowskim BWA obrazy Krzysztofa Gila zestawiono z fragmentem „Panoramy siedmiogrodzkiej" z 1897 r., której jednym z autorów był Jan Styka. Wyobrażenie egzotycznych Romów przedstawionych na tle krwawej bitwy połączono z panoramą stworzoną przez współczesnego artystę o romskich korzeniach.

Gil opowiada o zniesieniu niewolnictwa Romów po Wiośnie Ludów w 1848 r. Romscy wyzwoleńcy na jego obrazie są zasłonięci, jakby artysta chciał zedrzeć z nich stereotypowe przedstawienia, ale też pokazać wymazywanie ich z historii. W innych obrazach ingeruje on w płótna dawnych holenderskich mistrzów, jak Albert Eckhout, wydobywając uprzedzenia i klisze dotyczące innych cywilizacji, plemion czy ras.

Przewrotną ekspozycję przygotowała także Gdańska Galeria Miejska. „Wołają na mnie Cygan, choć tak się nie nazywam" (16 lipca – 26 września). Nie ma ona być – jak podkreślają jej twórcy – wystawą o Romach, romskiej historii czy kulturze. To opowieść o Cyganie – „wyssanej z palca postaci, która nigdy nie istniała" i która nadal w Polsce funkcjonuje. Zostanie ona

REKLAMA

JACEK MAJCHROWSKI, PREZYDENT MIASTA KRAKOWA I STOWARZYSZENIE MUZYKI POLSKIEJ ZAPRASZAJĄ NA

www.fmp.org.pl
17. 8-18.07 2021
KRAKÓW

FESTIWAL MUZYKI POLSKIEJ
FESTIVAL OF POLISH MUSIC

Organizatorzy: Stowarzyszenie Muzyki Polskiej, Kraków
Projekt współfinansowany ze środków Miasta Krakowa
Partner honorowy: Warsaw Art Festival
Mecenas: Ministerstwo Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu
Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji i Kultury w ramach programu „Muzyka", realizowanego przez Instytut Muzyki i Tańca
instytut muzyki i tańca
Patroni medialni: wp, wyborcza.pl, KrakówCulture, kraków.pl, TVP Kultura, dwójka Polskie Radio, Tygodnik Powszechny

Karol Szymanowski „Hagith" • Elżbieta Szmytka i Janusz Wojtarowicz • Vilém Veverka i Kateřina Englichová • Ewa Biegas • Chór i Orkiestra Filharmonii Śląskiej • Maciej Tworek Wrocław Baroque Ensemble • Andrzej Kosendiak

Bilety dostępne na portalu eWejsciowki.pl oraz w punktach InfoKraków. Informacje www.fmp.org.pl

GDAŃSK:
MIASTO O WIELU STRONACH

PRZEZ PONAD ROK podróżowaliśmy głównie w wyobraźni, nurkując w doświadczeniach zapisanych w książkach. Teraz zachęcamy do wyruszenia w drogę naprawdę, nie zostawiając jednak książek w domu. Te bowiem mogą być świetnymi przewodnikami po nieznanych zakamarkach ulubionych miast.

ZAJRZYJMY DO GDAŃSKA, o którym Peter Oliver Loew mówi, że „nie ma wielu miejsc na naszym kontynencie, gdzie tak bardzo splatają się historie i narracje różnych nacji, ludzi, wydarzeń". „Gdańsk. Biografia miasta" autorstwa Loewa prowadzi nas przez historię miasta, wciąga w centrum wydarzeń, zabiera w podróż w czasie przez złoty okres średniowiecza po historię Solidarności. I tak jak zaczytujemy się w biografiach wielkich sławnych, by choć odrobinę zajrzeć w ich duszę, tak książka Loewa opowie nam dużo więcej niż tradycyjne przewodniki. Wypadkowa historycznych wydarzeń i geograficznego położenia pozwalała miastu podążać własnymi drogami i czasem zapominać o reszcie świata, więc gdzie, jak nie w Gdańsku możemy zrobić to samo?

A DRÓG DO PRZEMIERZENIA znajdziemy tu wiele. Spod pióra Loewa wyszedł też „Gdańsk. Przewodnik literacki", w którym Gdańsk to księga: „Miasto o wielu stronach. Miasto wielu narratorów. Księga w wielu językach". Na przewodnik składa się osiem spacerów ulicami najbardziej reprezentacyjnymi, ale też zaułkami Wrzeszcza czy ścieżkami na Wyspie Sobieszewskiej, tak jakby w poszukiwaniu zwyczajnych ludzi czy chwili wytchnienia od zgiełku. Książka ma strukturę przewodnika (nie brakuje tu mapek i wskazówek dojazdu), tyle że o Gdańsku opowiadają poeci, pisarze, mniej lub bardziej skrupulatni kronikarze, podróżnicy. Tych ostatnich w tym mieście nigdy nie brakowało.

„GDAŃSK. BIOGRAFIĘ MIASTA" przełożyła Justyna Górny, „Gdańsk. Przewodnik literacki" ukazał się w przekładzie Magdaleny Kałużnej, Izabeli Sellmer i Tomasza Ososińskiego. Obie książki wyszły nakładem Instytutu Kultury Miejskiej.

Ana Matusevič, Instytut Kultury Miejskiej w Gdańsku

www.ikm.gda.pl

MATERIAŁ PROMOCYJNY

ODKRYWAJ NIEZNANY GDAŃSK

Alternatywne spacery i przewodniki:

- Lokalni Przewodnicy i Przewodniczki
- Metropolitanka

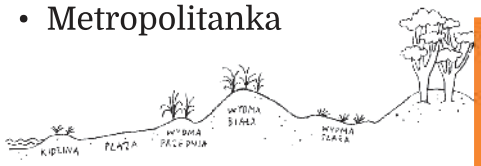

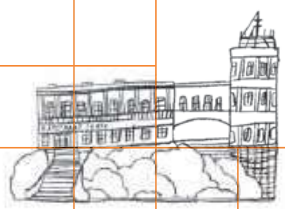

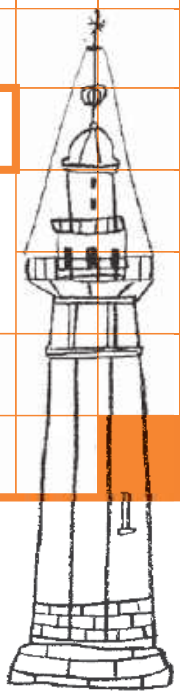

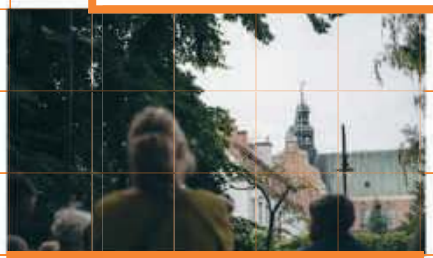

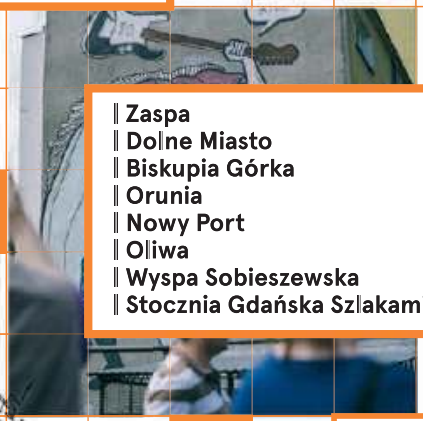

- Zaspa
- Dolne Miasto
- Biskupia Górka
- Orunia
- Nowy Port
- Oliwa
- Wyspa Sobieszewska
- Stocznia Gdańska Szlakami Kobiet

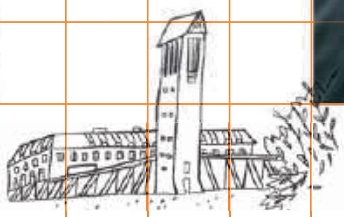

Przewodniki do pobrania na:
www.sklepikm.pl

instytut kultury miejskiej

GDAŃSK

Teatr Muzyczny w Toruniu

Wakacje w Teatrze Muzycznym w Toruniu będą obfitować w wiele interesujących wydarzeń. Polska prapremiera „Friends – the musical parody" w reżyserii Agnieszki Płoszajskiej to najnowsza propozycja Teatru, która od premiery przyciąga uwagę widzów z całego kraju. Parodia kultowego sitcomu „Friends" to idealna propozycja dla fanów serialu, którzy na scenie znów zobaczą wszystkich głównych bohaterów, w tym niezapomnianego Gunthera z Central Coffee Perks czy Janice – nowojorczankę z krwi i kości. To bezpieczny, radosny świat, w którym problemy zawsze rozwiązują się z korzyścią dla bohaterów, nigdy nie dzieją się życiowe tragedie i nie ma w nim miejsca na pandemię. Niesamowitą podróż do Wielkiego Jabłka umilą śpiewane na żywo „friendsowe" piosenki w polskim tłumaczeniu. A wszystko to w perfekcyjnie odwzorowanej scenografii.

Sierpniową premierą Teatru będą „Dzieła wszystkie Szekspira »w nieco skróconej wersji«" w reżyserii Tomasza Valldala Czarneckiego. Sztuka powstała ponad trzy dekady temu na amerykańskim uniwersytecie i od premiery cieszy się popularnością na scenach całego świata. Zabawna, podana w lekkiej formie twórczość Geniusza ze Stratfordu jest próbą streszczenia komedii, tragedii, a nawet kronik. Jest Hamlet, Ofelia, Romeo i Julia, Makbet i inni. To niepowtarzalna okazja, by w ciągu jednego wieczoru zobaczyć na scenie tytułowe dzieła „wszystkie".

Repertuar i szczegółowe informacje dostępne na stronie internetowej Teatru: www.teatrmuzyczny.torun.pl

Zdjęcia „Friends" – fot. Piotr Manasterski

Kujawskie Centrum Kultury w Wieńcu

Zespół Pałacowo-Parkowy w Wieńcu jest adaptowany na cele działalności kulturalno-edukacyjnej Kujawsko-Pomorskiego Teatru Muzycznego w Toruniu w ramach projektu „Wykonanie robót budowlanych polegających na remoncie, przebudowie i modernizacji istniejącego Zespołu Pałacowo-Parkowego w miejscowości Wieniec koło Włocławka wraz z infrastrukturą zewnętrzną i zagospodarowaniem terenu Parku" współfinansowanego z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach działania 6.5 Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Kujawsko-Pomorskiego na lata 2014-2020.

Zespół Pałacowo-Parkowy w Wieńcu jest jednym z najokazalszych na Kujawach. Stylem wystroju nawiązywał do renesansu włoskiego, jednak rozbudowana bryła wypłynęła z nurtu romantycznego architektury drugiej połowy XIX wieku. Dzisiejszy zespół pałacowy ukształtowano na polecenie Leopolda Kronenberga – najbogatszego polskiego bankiera swoich czasów. W 1868 roku nabył on wsie Brzezie i Wieniec, w 1873 wybudował pałac wg projektu Artura Goebla. Pałac jest otoczony ośmiohektarowym parkiem z bogatą szatą roślinną.

W budynku Pałacu będą mieścić się sale widowiskowe i wielofunkcyjne, z zapewnionym dostępem dla osób niepełnosprawnych. Projekt kierowany jest zarówno do mieszkańców regionu, jak i przyjezdnych, w ramach turystyki wypoczynkowej, zdrowotnej i biznesowej. Widzowie będą mogli uczestniczyć w koncertach, warsztatach muzycznych i sztukach teatralnych Kujawsko-Pomorskiego Teatru Muzycznego w Toruniu. Realizacja celu projektu przyczyni się do stworzenia unikatowego centrum warsztatowego, które pozwoli wspierać osoby wykonujące zawody artystyczne w różnych dziedzinach sztuki, podnosić ich umiejętności oraz zwiększyć aktywność zawodową mieszkańców regionu.

Wizualizacje – materiały Teatru

Fundusze Europejskie Program Regionalny
Rzeczpospolita Polska
Województwo Kujawsko-Pomorskie
Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

↦ pokazana poprzez dzieła dawne i współczesne, znanych twórców – od Walerego Rzewuskiego, Władysława Hasiora i Tadeusza Rolkego po Joannę Piotrowską i Slavs and Tatars – ale też prace anonimowe.

Po prostu patrzeć

Nie wszyscy mogą mieć siły (a i też ochotę), by latem podążać za sztuką według ściśle wyznaczonych ścieżek. Można jednak wykorzystywać wakacyjne wyjazdy i po prostu szukać miejsc, w których jest prezentowana ciekawa twórczość dawna, ale też współczesna. A tę ostatnią – i to najwyższej próby – można oglądać nie tylko w Krakowie czy Warszawie, lecz też w Białymstoku (Arsenał), Lublinie (Labirynt, Galeria Biała), Poznaniu (Arsenał), Sopocie (Państwowa Galeria Sztuki), Szczecinie (TRAFO Trafostacja Sztuki), Wrocławiu (BWA, Muzeum Współczesne) czy Zielonej Górze (BWA).

Można jej też wypatrywać w przestrzeni publicznej. Wybrać się do Parku Rzeźby na warszawskim Bródnie, w którym od lat z inicjatywy Pawła Althamera, Muzeum Sztuki Nowoczesnej i władz dzielnicy są umieszczane prace najciekawszych dziś artystów i artystek – jak Susan Philipsz, Roman Stańczak czy Monika Sosnowska. Odwiedzić wymyślony przez Rirkrita Tiravaniję przewrócony domek herbaciany lub poszukać zakopanej pracy najsłynniejszego dziś chińskiego twórcy Ai Weiweia. Inna możliwość to np. wycieczka do Tarnowa w poszukiwaniu prac rozrzuconych po całym mieście (to inicjatywa tamtejszego BWA): umieszczonej nieopodal dworca PKP w Mościcach rzeźby Wilhelma Sasnala, efektownego muralu „Tajsa" Stacha Szumskiego na domu przy ul. Narutowicza czy zaprojektowanej przez Rafała Bujnowskiego i umieszczonej na fasadzie Muzeum Okręgowego tablicy upamiętniającej Jana Głuszaka „Dagaramę", autora niezwykłych futurologicznych projektów architektonicznych.

PRZEMYSŁAW SROKA / BWA TARNÓW / MATERIAŁY PRASOWE

Krzysztof Gil „...w koło Macieju smutek tropików...", Biuro Wystaw Artystycznych, Tarnów, maj 2021 r.

Jeżeli jednak ktoś chciałby pozostać w przestrzeni wirtualnej, to lubelska galeria Labirynt zaprasza do śledzenia na TikToku swojego programu performatywnego (tiktok.com/@galerialabirynt). Artyści i artystki są zapraszani do realizacji serii działań wykorzystujących to specyficzne medium społecznościowe – to jedyna polska galeria sztuki, która zdecydowała się wykorzystać ten kanał. Początkiem była niedawna intrygująca – i niektórych bulwersująca – wystawa „Ménage à Deux" Karola Radziszewskiego i Maurycego Gomulickiego.

Na czas lockdownu internet okazał się jedyną szansą, by dotrzeć z nią do publiczności. Wybrano kanał adresowany przede wszystkim do młodych. Na TikToku można było zobaczyć krótkie działania artystyczne w przestrzeni tej ekspozycji. Teraz na tym kanale odbędą się kolejne akcje. Pojawią się m.in. Franek Drażba, Anastasia Kashtalian i Królówczana Smuga. Internet przestaje być zastępczym miejscem na czas pandemicznego zamknięcia, staje się kolejną przestrzenią galeryjną.

© PIOTR KOSIEWSKI

REKLAMA

ZAKOPANE.PL — eMOCje NA LATO

KALENDARIUM LATO 2021

REKLAMA

22 MARCA – 22 LIPCA 2021

SALON MARCOWY 2021. POKAZ FILMÓW O SZTUCE. JÓZEF WILKOŃ. ILUSTRACJA. RZEŹBA. FILM.

ZCK, Miejska Galeria Sztuki
im. Wł. hr. Zamoyskiego
www.galeria.zakopane.pl

14 CZERWCA – 10 SIERPNIA 2021

WIELKA KROKIEW. OD PROFANUM DO SACRUM

ZCK, Centrum Kultury Rodzimej
w willi Czerwony Dwór
www.zakopane.pl/czerwony-dwor

LIPIEC / SIERPIEŃ 2021

WAKACJE DLA DZIECI W BIBLIOTECE

Miejska Biblioteka Publiczna im. St. Żeromskiego
www.biblioteka.zakopane.eu

1 LIPCA – 31 SIERPNIA 2021

FESTIWAL BNP PARIBAS KINO LETNIE SOPOT – ZAKOPANE

Miasto Zakopane, Outdoor Cinema
www.kinoletnie.pl

9 LIPCA – 3 WRZEŚNIA 2021

WYSTAWA ADAM DOLEŻUCHOWICZ, BOŻENA DOLEŻUCHOWICZ MICKIEWICZ

ZCK, Centrum Kultury Rodzimej
w willi Czerwony Dwór
www.zakopane.pl/czerwony-dwor

9 – 11 LIPCA 2021

VI ZAKOPIAŃSKI FESTIWAL LITERACKI

Miasto Zakopane, Miejska Biblioteka
Publiczna im. St. Żeromskiego,
Zakopiańskie Centrum Kultury
www.festiwal.zakopane.pl

28, 29 LIPCA 2021

KONCERTY TOWARZYSTWA MUZYCZNEGO IM. K. SZYMANOWSKIEGO

ZCK, Miejska Galeria Sztuki
im. Wł. hr. Zamoyskiego
www.galeria.zakopane.pl

30 LIPCA – 24 WRZEŚNIA 2021

ARTYŚCI ZAKOPIAŃSCY 2021

ZCK, Miejska Galeria Sztuki
im. Wł. hr. Zamoyskiego
www.galeria.zakopane.pl

31 LIPCA 2021

XX FESTIWAL MUZYKI ORGANOWEJ I KAMERALNEJ

Miasto Zakopane, Zakopiańskie Centrum Kultury
www.festiwale.zakopane.pl

13 – 20 SIERPNIA 2021

LII MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FOLKLORU ZIEM GÓRSKICH

Miasto Zakopane, Zakopiańskie Centrum Kultury
www.festiwale.zakopane.pl

4 WRZEŚNIA 2021

NARODOWE CZYTANIE

Miejska Biblioteka Publiczna im. St. Żeromskiego
www.biblioteka.zakopane.eu

17 WRZEŚNIA 2021

DZIEŃ SYBIRAKA

Miasto Zakopane
www.zakopane.pl

11 - 18 WRZEŚNIA 2021

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL MUZYKA NA SZCZYTACH

Stowarzyszenie im. M. Karłowicza w Zakopanem
www.muzykanaszczytach.com

Miejska Biblioteka Publiczna w Zakopanem

ZAKOPANE
ZAKOPIAŃSKIE CENTRUM KULTURY

MIEJSKA GALERIA SZTUKI

CZERWONY DWÓR

ZAKOPANE

TP Historia: WIŚLNA 12

Opowieść o „Tygodniku Powszechnym”, czyli wszystkie światy pod jednym adresem

Ponad 75 lat na ul. Wiślnej to 75 lat historii polskiej kultury, polskiego Kościoła, polskiej inteligencji i polskiego dziennikarstwa. W wydaniu:

- prawdziwa historia „Tygodnika” i jego zespołu
- wiele niepublikowanych dotąd zdjęć i nowe teksty
- piszą i rysują m.in. ks. Adam Boniecki, Kalina Błażejowska, Olga Drenda, Anna Goc, Stefan Kisielewski, Ryszard Koziołek, Michał Kuźmiński, Stanisław Lem, Bartosz Minkiewicz, Sławomir Mrożek, Michał Okoński, Paweł Sołtys, Ewa Szumańska, Leopold Tyrmand, Marcin Wicha.

weź, czytaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / RYS. JOANNA RUSINEK

Wydanie dostępne jako ebook na **powszech.net/wislna12**

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

WYDANIE WSPIERA

zaiks sprzyjamy wyobraźni

PARTNERZY WYDANIA

Kraków · KONRAD ADENAUER STIFTUNG · ECS europejskie centrum solidarności · PRZEKRÓJ fundacja · znak · Polska Rada Biznesu · Copernicus Center · Fundusz Obywatelski im. Henryka Wujca · Walstead

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 27/2021

Nagroda Literacka im. Wiesława Kazaneckiego

UM BIAŁYSTOK / MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW KAZANECKI (1939–1989) – poeta, prozaik, publicysta. Urodzony w Białymstoku, po studiach w Opolu wrócił do rodzinnego miasta. Początkowo pracował jako nauczyciel. W latach 70. związany z czasopismami „Kontrasty" i „Zdarzenia". Za życia opublikował 12 tomików poetyckich. Był jedną z najważniejszych postaci podlaskiego życia literackiego.

Nagroda Literacka Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego ma już 30 lat. Pierwszy raz przyznano ją w zupełnie innej epoce, jeszcze przed książkowymi debiutami Marcina Świetlickiego, Andrzeja Sosnowskiego, przed „Podróżą ludzi Księgi" Olgi Tokarczuk. Początkowo była to również nagroda środowiskowa, dająca wyobrażenie, że Białystok i Podlasie są rzeczywiście daleko od reszty kraju. Przez 30 lat zmieniło się wszystko. Regionalni autorzy stali się częścią ogólnopolskiego środowiska literackiego (o czym świadczy współpraca Piotra Janickiego z Adamem Kaczanowskim), a samo Podlasie zaczęło być interesujące dla artystów z zewnątrz (przykładem jest „Pod słońcem" Julii Fiedorczuk).

Nasza Nagroda wciąż się zmienia, co nie oznacza, że nie zachowuje ciągłości. W tym roku nominowaliśmy przecież laureatkę Kazaneckiego za rok 1997 – Krystynę Konecką. Drugi raz przyznajemy także Nagrodę w kategorii „ogólnopolski debiut poetycki", która jest ukłonem w stronę naszego patrona. Jako przewodniczący kapituły jestem dumny z zestawu nominowanych tomów Joanny Bociąg, Katarzyny Szwedy, Aleksandra Trojanowskiego i Aleksandry Wstecz. Wydaje mi się, że w ten sposób zarysowaliśmy uczciwy obraz najnowszych zjawisk w poezji polskiej. Powoli przebijamy się też do świadomości ogólnopolskiego czytelnika. Ostatnio krytyk Jakub Skurtys zauważył, że Nagroda Kazaneckiego jest „młoda, co prawda, ale bardzo ciekawa".

DAWID BUJNO
przewodniczący Kapituły Nagrody

101 LAUREACI 2021

102 NOMINACJE W KATEGORII NAJLEPSZA KSIĄŻKA ROKU

103 NOMINACJE W KATEGORII NAJLEPSZY OGÓLNOPOLSKI POETYCKI DEBIUT ROKU

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" NR 27/2021 www.TygodnikPowszechny.pl

REDAKCJA: Michał Sowiński | OPIEKA WYDAWNICZA: Maja Kuczmińska, Marta Filipiuk-Michniewicz | PROMOCJA: Patryk Stanik, Monika Ochędowska
PROJ. GRAF. Marek Zalejski | FOTOEDYCJA: Edward Augustyn | OKŁADKA, SKŁAD: Anna Prusiewicz, Renata Surowiec / DoLasu
KOREKTA: Maciej Szklarczyk, Grzegorz Bogdał

Białystok

Dodatek powstał we współpracy z Urzędem Miejskim w Białymstoku

Na okładce: Ogród i Pałac Branickich w Białymstoku. Autor zdjęcia: Dawid Gromadzki / UM Białystok

ZDJĘCIA DAWID GROMADZKI / UM BIAŁYSTOK

Gala wręczenia Nagrody im. Kazaneckiego. Białystok, kino Forum, 25 czerwca 2021 r.

Na górze po lewej: laureaci Nagrody Piotr Janicki i Adam Kaczanowski (przemawia, obaj na ekranie).
Na górze po prawej: laureatka Nagrody za debiut poetycki Joanna Bociąg.

Po lewej: laureaci i nominowani – Julia Fiedorczuk, Krystyna Konecka, Piotr Marecki (w zastępstwie Aleksandry Wstecz), Aleksander Trojanowski, Piotr Janicki, Katarzyna Szweda, Joanna Bociąg oraz Prezydent Białegostoku Tadeusz Truskolaski.

Nagroda Literacka Prezydenta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego kształtuje przestrzeń polskiego pola literackiego już od dawna i ma dla niego ogromne znaczenie, gdyż wskazuje na niezwykłe talenty literackie, jednocześnie otwierając przed nimi drogę do dalszej kariery i wyróżnień.

Po raz pierwszy przyznano ją w 1992 r. – i już od trzech deakd otrzymują ją pisarki i pisarze uprawiający wszystkie rodzaje i gatunki literackie. Wymóg formalny, kształtujący specyfikę Nagrody, jest jeden: autorka bądź autor musi być związany z Białymstokiem (lub regionem) – pochodzeniem, tematyką swojej twórczości bądź miejscem wydania. Wśród dotychczasowych laureatów znajdują się takie postaci jak: Edward Redliński, Ignacy Karpowicz, Szymon Hołownia, Piotr Nestorowicz czy Michał Książek.

W tym roku laureatami zostali Piotr Janicki i Adam Kaczanowski za tom poetycki „Spis treści".

Od 2019 roku Nagroda przyznawana jest także za najlepszy ogólnopolski poetycki debiut roku.

W tym roku statuetkę z rąk prezydenta Białegostoku Tadeusza Truskolaskiego odebrała Joanna Bociąg za tomik „Boję się o ostatnią kobietę".

MARIUSZ PIOTROWSKI

Jeszcze przed debiutem słyszałem o lokalnej, białostockiej nagrodzie literackiej. Ówcześnie żadne nagrody mnie nie zajmowały. Poza tym odnosiłem wrażenie – można się spierać, jak bardzo mylne – że funkcją nagród było podreperowanie budżetu lokalnych twórców, a więc kwestie o atrakcyjności zbliżonej do atrakcyjności parafialnego biuletynu.

Na szczęście z zadowoleniem przychodzi mi stwierdzić, że Nagroda im. Kazaneckiego bardzo się zmieniła w ostatnich latach. Przede wszystkim wyszła poza granice Białegostoku, tym samym stając się coraz bardziej rozpoznawalna w Polsce. Oczywiście można sobie wyobrazić sytuację, w której jej formuła zostanie poszerzona, ale to chyba pytanie na przyszłość.

IGNACY KARPOWICZ,
czterokrotny laureat Nagrody

NOMINACJE W KATEGORII NAJLEPSZA KSIĄŻKA ROKU

CZUŁA OBSERWATORKA

MICHAŁ SOWIŃSKI

Najnowsza książka Julii Fiedorczuk to powieść napisana ze staroświeckim wręcz (w najlepszym rozumieniu tego słowa) rozmachem. Autorka rozsnuwa przed nami kolejne opowieści z perspektywy czułego obserwatora – zdystansowanego, ale jednocześnie empatycznego. Surowy świat dwudziestolecia, tragedia wojny i następująca po niej nowa, bolesna rzeczywistość. To refren każdej opowieści o polskiej historii. Fiedorczuk jednak udało się przy pomocy kilku subtelnych, acz zręcznych ruchów poprzesuwać te zgrane elementy. Dodatkowo w „Pod słońcem" natura zyskuje status autonomicznego bohatera, trwającego w zupełnie innym czasie niż ludzie: cyklicznym i wiecznie się odnawiającym. A mimo to wiernie towarzyszy ludziom, którzy są tylko (albo aż) jednym z miliona jej elementów. Misterne opisy tego uniwersum, pełne wyrafinowanych metafor, zamaszyste niczym u Orzeszkowej, raz po raz okazują się ciekawsze, bo mniej oczywiste niż losy postaci. Premiera „Pod słońcem" zbiegła się z początkiem pandemii, nic więc dziwnego, że tak wielu przyniosła ukojenie.

Julia Fiedorczuk
„Pod słońcem"
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020

BRULION DLA CZYTELNIKA

ALEKSANDRA WOJTASZEK

Poemat Janickiego i Kaczanowskiego to eksperyment poetycki. Ironia i humor maskują tu fundamentalne pytania o kondycję podmiotu funkcjonującego w późnej nowoczesności. „Spis treści" portretuje i filtruje naszą codzienność: świat pozornie nieskończonych możliwości, które okazują się bolesnymi ograniczeniami. Różne głosy poematu lubują się w zadawaniu pytań, które długo jeszcze wiercą dziurę w czaszce. Ogromna jest ich rozpiętość stylistyczna i tematyczna: od tych niby prostych: „Czy twoja praca ma sens?" po absurdalne, zamaskowane żartobliwą formą: „Wolisz być pacynką idioty czy maskotką diabła?". Padają także pytania o rolę i sens poezji, choć odpowiedzi są z reguły niekonkluzywne. Wydawnictwo nadało „Spisowi treści" szatę graficzną przypominającą poetycki brulion, jakby chciało zachęcić czytelnika, aby sam coś dopisał albo zanotował. Poezja ta nie podsuwa łatwych tropów – jednakże w zamian oferuje ocean możliwości interpretacyjnych. Z pewnością rozsupływanie ukrytych znaczeń, tropów i aluzji przynosi wiele przyjemności.

Piotr Janicki, Adam Kaczanowski
„Spis treści"
Wydawnictwo Warstwy, Wrocław 2020

KRUCHE WERSY

ALEKSANDRA WOJTASZEK

Obecna na scenie literackiej od niemal półwiecza poetka Krystyna Konecka nazywana jest „królową sonetu". Ta klasyczna forma nie oddala jednak autorki od świata, wręcz przeciwnie – staje się narzędziem do wyrażenia bardzo konkretnych niepokojów naszej codzienności. Wiersze powstawały od marca do maja 2020 roku, a ich głównym tematem jest doświadczenie radykalnej kruchości świata, wywołane rzeczywistymi wydarzeniami, choć słowo „pandemia" nie pada w nich ani razu. Klasyczna forma ukrywa zatem na wskroś współczesną treść, a wiersze wydają się pisane na gorąco, choć ich struktura jest przecież głęboko przemyślana i sformalizowana. Opisy „arytmii codzienności" przesiąknięte są przede wszystkim trudnymi uczuciami: strachem, rozpaczą i poczuciem radykalnego końca. W tomiku „Kruchość" ukojenie w rozpaczy przynosi ostatecznie literatura i sztuka. Poetka wpisuje nasze pozornie wyjątkowe doświadczenia w szerszy kontekst i znajduje dla nich odniesienia w kulturze, dzięki czemu jednostkowe doświadczenie zyskuje uniwersalny wymiar.

Krystyna Konecka
„Kruchość. Sonetti a corona"
Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 2020

NOMINACJE W KATEGORII NAJLEPSZY OGÓLNOPOLSKI POETYCKI DEBIUT ROKU

SCENY Z ŻYCIA KOBIETY

MICHAŁ SOWIŃSKI

Oszczędnie, momentami wręcz powściągliwie, ale cały czas bardzo konsekwentnie, Joanna Bociąg jakby od niechcenia kreśli przed nami kolejne scenki z życia kobiety. Jest ona uwikłana w gęstą sieć ludzkich relacji, przez co musi zajmować co rusz nowe pozycje. Nie zawsze są one wygodne, ale bohaterka wierszy potrafi postawić na swoim. „Boję się o ostatnią kobietę" to opowieść o emancypacji, prowadzonej z rozmysłem, bez niepotrzebnych dramatycznych gestów, za to z pazurem i skutecznie. Kolejne wiersze rozbrajają sytuacje potencjalnie trudne, grożące usztywnieniem w obcej, a przez to trącącej fałszem formie. Zaskakujący spokój, który bije z tej poezji, zapewne nie byłby możliwy, gdyby nie czysta i precyzyjna dykcja, dobrze ustawiona i konsekwentnie prowadzona od pierwszego do ostatniego wiersza. Z tego samego powodu fraza Bociąg okazuje się niezwykle wydajnym i pojemnym wehikułem sensów, gdzie miłość, śmierć, seks, ekologia i wiele innych otchłannych tematów może ze sobą swobodnie konwersować.

Joanna Bociąg
„Boję się o ostatnią kobietę"
Dom Literatury w Łodzi, Łódź 2020

ZMYSŁOWA ENERGIA

MICHAŁ SOWIŃSKI

Wiele kultur – wiekowych, gęstych, fascynujących – odchodzi na naszych oczach w przeszłość. Czasem nie wytrzymują rozpychającej się łokciami konkurencji, kiedy indziej przemijają naturalnie, bez niczyjej winy. Choć przez ostatnie dekady (jeśli nie wieki) zdążyliśmy się do tego przyzwyczaić, to jednak wciąż budzi to u wielu żal i tęsknotę. Pytanie: co zrobić w obliczu takiej straty? Nostalgia jest strategią, po którą sięgamy odruchowo. Jednak to ślepa droga, prowadząca co najwyżej do przykurzonego skansenu. Można jednak inaczej, co pokazuje Katarzyna Szweda w „Bosorce". Swoją poezją zapuszcza się głęboko w świat Łemków, jednak nie po to, aby opłakiwać jego przemijanie, tylko by przywrócić nam wszystkim to, co znalazła w nim najciekawszego. Kolejne wiersze aż rozsadza zmysłowa energia – afirmacja cielesności i natury, która nie jest tu estetycznym tłem, lecz pełnoprawnym, nieokiełznanym żywiołem. Nie ma tu miejsca na sentyment, bo życie zdążyło już wypełnić każdą wolną szczelinę.

Katarzyna Szweda
„Bosorka"
Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2020

JĘZYKI PODZIEMNE

MICHAŁ SOWIŃSKI

Drgające domy i ulice, wibrujące zdania, rozdygotana gramatyka – w tomiku Trojanowskiego wszystko pulsuje i płynie, ale nie w transie abstrakcyjnym (wydestylowanym i klubowym), tylko bardzo swojskim, powolnym, zrodzonym w autobusie, który w godzinach szczytu pełznie przez zatłoczone osiedle. Poeta kolejnymi wierszami zabiera nas w miejsca odległe, bo odcięte od świata całymi hałdami prywatnych znaczeń i mitologii. Mogą to być równie dobrze parkingi podziemne, klatki schodowe, ale przede wszystkim – dziwne zakamarki języka, w które powinniśmy zachodzić jedynie z poetą za rękę (jak wtedy, gdy chodziliśmy z babcią odebrać rzeczy z magla – do tego dziwnego budynku za piekarnią i śmietnikami). Jednocześnie nie są to wyprawy o znaczeniu fundamentalnym i inicjacyjnym. Wręcz przeciwnie – to bardziej popołudniowy spacer po mało istotnej części miasta w piękny czerwcowy dzień, gdy oszołomienie banalnym, ale jednak nieoczekiwanym pięknem walczy o lepsze z mrowiącym poczuciem wszechobecnej nieistotności.

Aleksander Trojanowski
***„Parkingi podziemne jako miasta spotkań"**, Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2020*

BUKIET DLA KAŻDEGO

MICHAŁ SOWIŃSKI

Rozstanie dwojga ludzi, którzy wcześniej kochali się przez długi czas, zawsze przyjmuje formę katastrofy. I nie chodzi tu o ciskanie talerzami czy przerzucanie się winą, ale o przekroczenie punktu krytycznego samego języka. To, co wcześniej wydawało się nieskończenie intymne: pieszczotliwe imiona, frazy niezrozumiałe dla nikogo spoza tego ciasnego dwuosobowego kręgu, ale też drobne gesty czy spojrzenia – wszystko to zostaje nagle osierocone. Więcej: wyrzucone na śmietnik jako niepotrzebne, boleśnie zawadzające o nogi i ręce przy najdrobniejszym nawet ruchu. Aleksandra Wstecz nie może się jednak pogodzić z tym, że te wszystkie kwiaty, z taką czułością przez lata pielęgnowane, leżą teraz wyrwane i schną pod spojrzeniami obcych ludzi. Wie, że już ich nie uratuje, raz wyrwane z korzeniami nie zakwitną więcej, ale mimo to skrupulatnie zbiera je i zaplata z nich melancholijnie piękny bukiet. To dla nas, możemy z nim zrobić, co tylko nam się spodoba.

Aleksandra Wstecz
„Kwiaty rozłączki"
Korporacja Ha!art, Kraków 2020

JAN

Klata: *Tajemnice polskich szyneli*

Śródpandemiczna kanikuła roku ZOZI rozpoczęta. Lato, upały, wycieki – ponoć tylko te ostatnie są sprawką Rosjan, ale kto ich tam wie, wszak co jak co, ale możliwości Rosjanie mają bezkresne. Na szczęście z realizacją od jakiegoś czasu krucho, choć – z drugiej strony – na włam do prywatnej skrzynki ministra Dworczyka rosyjskiego *know-how* starczyło. Sporo tajemnic państwowych wyciekło, ale nie ma tego złego. Urozmaici się ramówka, w teleturniejach o najwyższą stawkę pojawią się nowe pytania, np. „Ile batonów energetycznych dziennie zamawia premier Morawiecki? 5? 7? 10?".

Uberwicepremier Kaczyński od spraw bezpieczeństwa gromko i piętnująco zapewniał Polaków, że za atakami stoją nasi sąsiedzi spod Kaliningradu, ale ponoć jakby jednak nie do końca, ponoć ktoś od ministra się mści i z bliskiego otoczenia wypuszcza o tych batonach, są to zatem batony zemsty. Rysuje się fascynująca rozgrywka na szczytach władzy, nie od dziś wiadomo, że nasi rządzący lubią się popodgryzać, cenią sobie dreszczyk emocji, i zamiast się kontaktować bezpiecznie, wolą niebezpiecznie. Chyba takie samo – *nomen omen* – podejście mają do amunicji, której – jakby co – mamy nie mieć. Będzie dreszczyk, niewątpliwie, gdy przyjdzie co do czego i sobie niepostrzeżenie nie postrzelamy, w przeciwieństwie do przeciwnika. Ale nie ma się co martwić zawczasu, pomników nie zabraknie, nie przeszkadzajmy rządzić rządzącym, nie ujawniajmy państwowych tajemnic poliszynela, nie podkopujmy, paniki nie siejmy.

Włodarze troszkę nie ogarniają procedur, ciężko lekceważąc swe obowiązki, na szczęście zawsze można wszystko zwalić na braci Rosjan... Co byśmy bez tych Rosjan poczęli, demoniczni Czesi nie byliby zbyt wiarygodni w roli Czarnego Luda... Przepraszam wszystkich, którzy poczuli się urażeni, chodzi o Czarną Śmierć... Znaczy, dżumę. Swoją drogą, kulinarne perypetie Mateusza Morawieckiego godne są tego, aby opiewał je Robert Makłowicz: ośmiorniczki, miska ryżu, batony energetyzujące – od lat ostre stołowanie odchodzi. Tylko amunicji szkoda... ©

Lektor: *Groza czai się wszędzie*

OPOWIEŚCI NIESAMOWITE Z JĘZYKA POLSKIEGO
Wybór, wstęp (przeczytajcie koniecznie!) i noty o autorach Piotr Paziński. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2021, ss. 636.

Zaczyna się od oświeceniowej powiastki. Anna Mostowska, jedyna w tym gronie kobieta, w „Strachu w Zameczku" (1806) kreśli scenerię jak z angielskiej powieści gotyckiej, jednak zjawy w powłóczystych szatach okazują się mistyfikacją – chodzi o danie nauczki bohaterowi, który z iście męską pychą „objaśnia kobietom świat".
Na koniec – Stanisław Lem, skądinąd zdeklarowany racjonalista, ale u niego jest już tylko groza: pamięć przeszłej tragedii na statku kosmicznym, którą przechował robot, przerażający eksperyment profesora Zazula.
Jakość literacka oczywiście nierówna – obok zacnej Mostowskiej czy Wacława Filochowskiego („Amulet Ozirisa", 1922), raczej grafomana, znaleźli się Lem i Bruno Schulz („Sanatorium pod Klepsydrą"!). Krasiński, Leśmian czy Reymont nie są reprezentowani tekstami nazbyt wybitnymi, ale też nie ma to być antologia arcydzieł. Pokazuje za to różnorodność gatunku, który zagospodarował rozległe przestrzenie, od zamku czy dworu na kresach (intrygujący „Koniec rodziny Jasnych" Stanisława Balińskiego) po ludne miasto (u Józefa Korzeniowskiego jest nim Warszawa, dziwnie wielkomiejska jak na rok 1850), i któremu postęp cywilizacyjny wręcz dodał skrzydeł. Dosłownie (nowele lotnicze Janusza Meissnera oraz Jerzego Sosnkowskiego, brata generała) i w przenośni – by wspomnieć wątek kolejowy, tak wspaniale rozwinięty przez Stefana Grabińskiego (w antologii jest „Błędny pociąg", ale także erotyczno-lubieżny, duszny „Czad"). Gatunku, który czerpał z folkloru (Jan Barszczewski, Roman Zmorski), wykorzystywał romantyczną fascynację sobowtórami, dwoistością realnego świata, szaleństwem, snem i śmiercią (u Korzeniowskiego pojawia się ona osobiście), a także spirytyzm (pobożny Józef Tyszkiewicz przestrzega przed nim, udatnie przy tym „Seans" odmalowując).
Sygurd Wiśniowski, pisarz i podróżnik, w „Niewidzialnym" (1881) wyprzedził H.G. Wellsa. Są jeszcze Józef Maksymilian Ossoliński, Antoni Lange, Franciszek Mirandola, Józef Relidzyński, Mieczysław Smolarski. No i wreszcie mogłem przeczytać „Bibliomana" Konstantego Marii Górskiego, nowelę nagrodzoną w 1895 r. na konkursie „Czasu" trzecią nagrodą (pokonali go Tetmajer i Miciński).
To świetny przykład, jak patriotyczne przesłanie nie musi przeszkadzać w wykreowaniu klimatu prawdziwie niesamowitego! ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Na szałwię

Jan Kochanowski, nasz consigliere. Śmieszne są te skojarzenia, które do słów przykleja kultura masowa. Przecież nie piszę o prawniku na usługach mafii – choć mistrz Jan jako sekretarz królewski i człowiek czynny na dworach naoglądał się z pewnością wszelkich niegodziwości władzy. Był na pewno zręczny w tkaniu ludzkich kontaktów, nie bał się prawa, kodeksów i sądów, co wiemy choćby z faktu, że mnóstwo źródeł, które pozwalają nam jako tako odtworzyć jego życie osobiste, to papiery z rozmaitych procesów o pieniądze i majątki.

A jako 24-latek załatwił sobie funkcję sekretarza polskiej nacji na Uniwersytecie Padewskim i pewnego pięknego lipcowego dnia 1554 roku zwołał jej zebranie w kościele augustianów. O czym informuje po włosku wielka tablica w nawie, którą mija mimowolnie każdy z turystów żądnych widoku sławnych fresków Andrei Mantegni, tamże obecnych w postaci skromnych resztek, które przetrwały amerykańskie bombardowanie z zeszłej wojny.

Nic więcej ponad fakt, iż *consigliere* Kochanowski zwołał zebranie Polaków, tablica nie zawiera. Można więc ją zlekceważyć jako pocieszny objaw kompleksów, potrzeby zaznaczania, że tu byliśmy, tędy żeśmy przejechali, a tu pod tym drzewem... Polska dyplomacja kulturalna we Włoszech zaiste nie żałowała na marmur. Ja jednak doceniam i się cieszę – ilekroć z powodów rodzinnych los mnie rzuci do Padwy, zachodzę do tego kościoła i próbuję sobie odtworzyć, o czym też radzili tamci prekursorzy późniejszej studenckiej Bratniej Pomocy? Co więcej, poza ustalaniem składki na biedniejszych braci i na kaucje potrzebne, by wykupić kolegów zatrzymanych za nocne burdy? Słyszę ich głosy, w języku tak bardzo odległym, czasem w formach prawie niemożliwych do zrozumienia, a jednak tak bliskim. Słyszę, jak Kochanowski opowiada głupi dowcip – wierzę, że umiał to zrobić wyciskając do ostatniej kropli urodę z każdego słowa i każdego rytmicznego węzła zgrabnie zbudowanych fraz, z puentą strzelającą z ostatniego zdania jak z dobrze naprężonego łuku. Kocham go i to jest miłość w zasadzie cielesna, jego mowa bowiem drży mi w krtani, karmię się taką polszczyzną w równym stopniu co tlenem, cukrami i białkiem.

Jakoś trzeba ukoić swój smutek, gdy reszta zmysłów poddaje się urokom Południa. Przez ostatni rok z okładem jedną ze strategii pocieszenia, gdy podróże stały się prawie niemożliwe, było przekonywanie się, że tyle różnych rzeczy mamy w sumie lepszych, nie ma więc czego żałować. Smaczniejszych, intensywniejszych i bardziej złożonych. Ciekawszych. Owoce – te leśne i te z sadu. Grzyby. Mleko z krów skubiących podlaską trawę. Ciemny chleb z żyta. Kiszonki, ten owoc pracy mikroorganizmów równie zaskakujący, co wino. Piwo – bo przecież cóż oni tam mogą wiedzieć o dobrym chmielu. Chłonąłem te rozmowy, sam je podsycałem, pestkując jesienne węgierki i wtykając nos w łubiankę kupionych w maju truskawek. Taki zapach tylko w Polsce.

Bardzo zacnie jest swoje chwalić i znać, ale to pryska jak bańka, kiedy wreszcie człowiek przebije się przez barierę Alp i sanitarnej biurokracji, oznakowany kodami QR, których potem i tak nikt nie sprawdza. Nagle za rogiem wyrosła mi magnolia wielkości dębu – pomnika przyrody z Lasku Bielańskiego, wcale niespecjalnie zadbana, ot rośnie sobie drzewo i wydaje kwiaty wielkości dużego dzbana z nektarem. Może wtedy się pierwszy raz popłakałem z żalu? Albo dopiero kiedy wdepnąłem niechcący w kępę szałwii rosnącej u ciotki pod płotem jak pokrzywa, rozłożystej i po kolana? Może to było wtedy, kiedy idąc na przystanek zahaczyłem o dziko rosnący metrowy rozmaryn i mało nie padłem odurzony żywicznym aromatem? Wszystkie pracowicie wychuchane ziołowe doniczki z warszawskiego tarasu wydały się nagle żałosne jak wyrób czekoladopodobny. Pierwszy lepszy pagórek z linią cyprysów i szarawymi plamkami oliwnych drzew bił po oczach z siłą, jakiej przy najlepszej woli nie wycisnę z mazurskich moren i jurajskich wzniesień.

To jest nierówna walka, nawet jeśli tamci na południu nie mają pojęcia, co to dobre jabłko albo dorodny rydz. Mądrze jest przegrane sprawy zostawiać w spokoju, nie fryzując klęski niczym sportowi dziennikarze po kolejnej wtopie. Nie udawać, że jak się bardzo postaramy, to wyrośnie i u nas karczoch, o, taki jeden na cały ogród, nawet całkiem jadalny. Mamy za to nasz język, ponoć bardzo trudny, a przecież dla nas łatwy jak oddech. Język i jego wielkich ogrodników. Nawet gdy ich lekceważymy, plugawiąc mowę i kalecząc słowa, to na ich zagonach wiosna trwa wiecznie. Zgnębionego czarem egzotycznych krain woła mnie Kochanowski z bocznej nawy i podaje owoc. Obracam go w ustach bez końca, a jednak go nie ubywa.

©℗

ADOBE STOCK

Dostęp do dużej ilości mięsistych liści szałwii pozwala na dwie rzeczy – można je usmażyć w tempurze (cieście podobnym do naleśnikowego, ale lżejszym, z mąki, żółtka i lodowatej wody gazowanej), co daje frymuśną przekąskę. Ale można zrobić inne lekkie danie na obiad w upalny dzień – rodzaj zrazików, zwanych saltimbocca alla romana. Małe plasterki cielęciny (najlepiej udziec) rozbijamy delikatnie do grubości 2 mm, kładziemy kawałek dojrzewającej szynki i liść szałwii. Ściskamy to „w harmonijkę" i przekłuwamy wykałaczką (a nie zawijamy, jak nasze zrazy). Podsmażamy na maśle kilka minut z każdej strony, na koniec podlewamy białym winem, odparowujemy nieco sosik (najpyszniejsza część potrawy), solimy i posypujemy pieprzem.

SKARB KIBICA

Ignoruję znaki ostrzegawcze, żyję przyszłością i przeszłością – rzadko tu i teraz. Stąd ta huśtawka nastrojów, frustracja po porażce i odradzanie się nadziei przed kolejnym meczem. Z kibicowania nie da się wyleczyć.

MICHAŁ OKOŃSKI

Polacy odpadli z piłkarskich mistrzostw Europy, zajęli ostatnie miejsce w grupie. Najprościej byłoby schronić się w sarkazm. Zasłonić się ironią. Podać dalej jakiegoś wyjątkowo okrutnego mema. Użyć słów typu „piach" albo „paździerz". Dołączyć w końcu do chóru tych, co powtarzają, że reprezentacja pod tym trenerem była w stanie wygrać jedynie z Andorą. Nade wszystko – znaleźć kozła ofiarnego, najlepiej Krychowiaka, bo nie dość, że zarobił czerwoną kartkę ze Słowakami, to jeszcze jakoś dziwnie się ubiera i ma dziewczynę z Francji. W wersji mniej populistycznej wyrazić satysfakcję, że Polacy już wyjechali i nareszcie można w pełni cieszyć się tym fantastycznym turniejem. Zwyczajnie odreagować i postarać się zapomnieć. O czym? O tym, że naprawdę się wierzyło.

Już widzę ekspertów, którzy przestają czytać w tym miejscu. Jak można było wierzyć po porażce ze Słowacją? Jak można było wierzyć nawet po remisie z Hiszpanią, w którym to meczu tylko podwójne pudło rywali przy rzucie karnym spowodowało, że nie przegraliśmy? Jak można było wierzyć, mając w tyle głowy całą tę kaskadę błędów w poprzedzających mistrzostwa Europy spotkaniach z Węgrami, Rosją, Anglią czy Islandią, po których to, co wydarzyło się w drugiej minucie meczu ze Szwedami (to Polacy mieli w tym spotkaniu zaatakować), było jedynie bolesnym *déjà vu*? Jak można było aż tak się nabrać na piękne oczy, szlachetnie posrebrzoną skroń i płynną – przynajmniej jak na nasze standardy – angielszczyznę zatrudnionego niecałe 150 dni temu trenera Paula Sousy, który w zbyt krótkim czasie postanowił zmienić zbyt wiele?

LESZEK SZYMAŃSKI / PAP

Strefa kibica w galerii handlowej Elektrownia Powiśle w Warszawie, mecz Polska–Szwecja, 23 czerwca 2021 r.

Cudzoziemiec i Kircholm

Ano można było. Kibicowanie polega dokładnie na tym. Na czepianiu się każdego promyka nadziei. Na budowaniu konstrukcji logicznych opartych na jednej akcji, którą udało się przeprowadzić w meczu z Hiszpanią – na odważnym wejściu Modera między dwóch, piłkarsko niewątpliwie od niego lepszych, przeciwników, na zgraniu Klicha, na dośrodkowaniu Jóźwiaka, na główce Lewandowskiego. Na przyjmowaniu za dobrą monetę narracji o kulturowej zmianie, której portugalski selekcjoner dokonywał w reprezentacji Polski. Na pieczołowitym gromadzeniu wszystkich dowodów tej zmiany, choćby w postaci statystyk pokazujących, że również na tym turnieju Polacy faktycznie biegali dużo, piłkę na połowie rywala odbierali często i każde z rozegranych w jego trakcie spotkań wytrzymali kondycyjnie – także do końca toczonego w piekielnym upale meczu ze Szwedami walcząc o zwycięstwo. Na tym, że po każdym ciosie zebranym od każdego kolejnego rywala, zarówno w trakcie Euro 2020, jak i podczas meczów wcześniejszych, podnosili się i usiłowali naprawić błędy – nawet ze Słowacją, grając już w dziesiątkę przeciwko jedenastu, walczyli o wyrównującą bramkę. Że strzelali gole, a trener dokonywał dobrych zmian. W moim przypadku (wiem, że jestem tu raczej osamotniony...) również na zachwycaniu się brakiem historycznych obciążeń, brakiem tych wszystkich nawiązań do potopu, Jasnej Góry czy innego Kircholmu.

Nie tyle o nieznajomość polskiej historii (zwłaszcza historii polskiego futbolu) w tym chodziło, co o poczucie, że ona nie musiała determinować poczynań Polaków na stadionie w Sankt Petersburgu. Doszły mnie zresztą wieści z obozu reprezentacji, że sami zawodnicy byli zdziwieni pojawieniem się podczas konferencji prasowej przed meczem z Hiszpanią tematu husarii; że zachodzili w głowę, jak to było możliwe, iż w rozmowie z dziennikarzami mogli wygadywać takie – cytuję – „farmazony".

Paulo Sousa miał jeszcze kilka innych zalet poza tą, że nie odziedziczył po przodkach całej tej polskiej podświadomości. Wojciech Szczęsny mówił słynnemu duńskiemu bramkarzowi Peterowi Schmeichelowi w rozmowie dla kanału Foot Truck, że tym, co naprawdę lubi u selekcjonera, jest fakt, że on nie miał pojęcia o klimacie tej drużyny w przeszłości. Że Portugalczyk oglądał trening, widział siedemnastoletniego dzieciaka, który robi to, co do niego należy, którego cechy piłkarskie odpowiadają potrzebom zespołu, a psychicznie wydaje się wolny od presji – i nie miał najmniejszych oporów, by na niego postawić (Kacper Kozłowski w meczu z Hiszpanami na boisku pojawił się już na początku drugiej połowy, stając się tym samym ↦

↦ najmłodszym piłkarzem w dziejach mistrzostw Europy – i nie bał się pojedynków jeden na jeden, dryblingów czy podań; piłka go nie „parzyła", jak ponoć mówią w tym fachu). Że Sousa potrafił też zarządzać Lewandowskim, czyli robić coś, co każdemu polskiemu trenerowi przychodzi z trudem – nawet nie tyle ze względu na charakter kapitana, który chętnie się uczy i sam szuka nowych, lepszych rozwiązań, ale na status, jakim się cieszy w ojczyźnie.

Tak poza wszystkim: wśród narracji, które w ostatnich dniach upadły z hukiem, była i ta o polskim kapitanie, który nie rozegrał dotąd wielkiego meczu na wielkim turnieju. Ze Szwedami poderwał kolegów do walki fenomenalnym golem, później strzelił drugą bramkę – w sumie na mistrzostwach Europy zdobył ich trzy. Czego więcej oczekiwać od lidera drużyny? Będziemy go rozliczać z trafienia w poprzeczkę zamiast pod poprzeczkę w 17. minucie meczu ze Szwedami, skoro przy dobitce po pierwszym strzale wydawało się, że łatwiej zmieścić piłkę w siatce, niż spudłować? Może o jego samotności powinniśmy rozmawiać? Chyba raczej o jej braku, skoro po odpadnięciu z turnieju mówił: „Wierzę w tę drużynę, w tych chłopaków i kierunek, w jakim idziemy. Gdzieś tam widać światełko, by to wyglądało lepiej". W pomeczowym wywiadzie nie sprawiał wrażenia wielkiej gwiazdy rozczarowanej tym, z kim przyszło jej pracować, nie było w nim cienia pretensji do kolegów, których ograniczenia nie pozwoliły jednemu z najlepszych piłkarzy świata spełnić dziecięcych marzeń nie tylko o klubowym, ale także reprezentacyjnym sukcesie – naprawdę był jednym z nich.

Koniec i początek

Co jednak ważniejsze, wielką zaletą Sousy było to, że język rozmowy o futbolu, jaki zaproponował polskim piłkarzom (a w konsekwencji także np. piszącym i opowiadającym o tym sporcie dziennikarzom), musiał wydawać im się nie tylko spójny z tym, którym operują na co dzień ich klubowi szkoleniowcy, ale także na miarę wyzwań, jakie stawia współczesny sport. Kiedy portugalski selekcjoner mówił na łamach „El País" o tym, że w Polsce usiłuje zerwać z piłkarską kulturą przeszłości; że chce stworzyć zespół dominujący, potrafiący utrzymać się przy piłce także dlatego, że piłkarz rozwija się właśnie z piłką przy nodze; że zawodnik nie stanie się lepszy tylko się broniąc albo kontratakując – nie sposób było mu nie przyklasnąć; nie sposób było nie myśleć o tym, że autor sławetnego cytatu o husarii, obrońca Southampton Jan Bednarek, nawykł tam do rozmów opartych na innym schemacie niż pokazywanie światu wybitych za wolność partii uzębienia.

W angielskiej Premier League, gdzie gra na co dzień, zdarzało się Bednarkowi oglądać czerwone kartki, strzelać bramki samobójcze, a nawet występować w meczach, w których jego zespół tracił dziewięć goli – a przecież nie spowodowało to utraty wiary w siebie ani u Polaka, ani u jego kolegów z drużyny. Szczęśliwie nie on jeden zresztą w polskiej drużynie wiedział, jak podnosić się po nieudanym meczu ze Słowakami. Szczęśliwie nie on jeden zdołał się otrząsnąć po ciosie, jakim był gol Forsberga na samym początku spotkania ze Szwedami – może będącego efektem zaskoczenia, bo wszyscy spodziewaliśmy się raczej, że to Polacy zaczną od szturmu na bramkę rywala, Szwedzi zaś cofną się głęboko pod własną bramkę, może spowodowanego brakiem koncentracji i minimalnego spóźnienia trzech kolejnych broniących Polaków, a może po prostu przypadku, który w piłce odgrywa rolę niebagatelną.

Mimo fatalnego początku i gorzkiego końca (ach, ten doliczony czas gry, kiedy drużynie zabrakło cierpliwości, by przeprowadzić składną akcję, a wykopy Szczęsnego w okolicę połowy boiska za każdym razem padały łupem rywali...), które oczywiście naznaczają cały jego odbiór, w spotkaniu ze Szwedami Polacy stworzyli więcej okazji, niż spodziewano się przed meczem, i to zarówno po dośrodkowaniach ze skrzydeł, jak dzięki szybkiej kombinacji Zieliński–Lewandowski czy na skutek kilku świetnych uderzeń z dystansu i w końcu po rzucie rożnym. Rzec by można: próbowali naprawdę wszystkiego. A Piotr Zieliński, kolejny obok Krychowiaka ulubiony obiekt narodowej krytyki, naprawdę wszedł w buty reżysera gry; niewielu było w fazie grupowej Euro zawodników, którzy biegaliby tak dużo, jak on, niewielu było piłkarzy, którzy wypracowaliby kolegom tyle szans do strzelenia bramki, którzy równie inteligentnie regulowaliby tempo gry czy kierunek rozegrania piłki. Że zabrakło wyrachowania, zwłaszcza w pierwszej połowie, kiedy czasu na odrobienie strat było jeszcze sporo? Że czasem wahadłowi dośrodkowywali zbyt pospiesznie, obrońcy czasem nie mieli do kogo zagrać, bo zbyt wielu zawodników przesuwało się od razu pod szwedzką bramkę?

Emocje i pragmatyzm

Kibicowanie polega na wyszukiwaniu pozytywów i ignorowaniu znaków ostrzegawczych. Na życiu przyszłością i przeszłością – rzadko na byciu tu i teraz. To stąd ta huśtawka nastrojów, natychmiastowa frustracja po porażce i stopniowe odradzanie się nadziei przed kolejnym meczem. Z tego się nie da wyleczyć, z tym trzeba żyć – niezależnie od zrozumienia dla faktu, że odpadnięcie Polaków z Euro po dwóch porażkach i remisie musi otworzyć dyskusję o odpowiedzialności Zbigniewa Bońka za moment dokonania zmiany na stanowisku selekcjonera; jak na skalę wyzwań, jakie postawił tej drużynie Paulo Sousa – z pewnością zmiany spóźnionej.

Innym tematem do dyskusji będzie oczywiście sama piłkarska filozofia Sousy: fajnie się ogląda ofensywny futbol, jeszcze fajniej się o nim słucha na przedmeczowej konferencji, zanim piękno tej narracji zweryfikuje kiks środkowego obrońcy, ale z pewnością nie zabraknie w ojczyźnie takich, którzy powiedzą, że zamiast ofensywnego futbolu i szybkiego wyjazdu z turnieju woleliby szwedzki pragmatyzm – i że choć może reprezentacja poprzedniego jej trenera Jerzego Brzęczka nie grałaby tak nowocześnie, to pewnie Słowaków by pokonała. To Gareth Southgate – selekcjoner Anglików, o których na Wyspach mówi się, że grają podczas Euro nudną piłkę – tłumaczył mediom, że o tym, by zajść daleko na turnieju, rozstrzyga jakość defensywy, a nie to, ile rozrywki dostarczają gracze ofensywni.

„Ten projekt potrzebuje wynieść przed nawias to, co udało się stworzyć – napisał po porażce ze Szwecją Michał Zachodny na portalu Łączy nas piłka. – Tak, by na ważności nie straciło wszystko to, co znajdzie się przed tradycyjnym »ale przegrali«". Zgoda, Zachodny jest pracownikiem PZPN, jednak z turniejem rozlicza się uczciwie. Z jego analizy najważniejsze wydaje mi się zdanie: „Pragmatyzm na wielu poziomach długo hamował polski futbol, wrodzona ostrożność nie rozwijała wyobraźni".

Drużyna Paula Sousy walczyła do upadłego. Zdobywała ładne bramki. Stwarzała sytuacje do strzelenia bramek kolejnych. Obijała poprzeczkę i słupek, zmuszała bramkarzy do kapitalnych interwencji. I traciła bramki... z niczego, w zasadzie za darmo, po indywidualnych błędach (jak to podsumował Lewandowski, „przeciwnicy stwarzali sobie pół sytuacji, z której zdobywali bramkę"). Oceń ją tu sprawiedliwie.

Problem Paula Sousy polega na tym, **że nie zdołał nauczyć polskich piłkarzy cieszenia się grą,** a nas cieszenia się kibicowaniem.

Wiara i niewiara

Jest taka kategoria tekstów piłkarskich, których pisania szczerze nie znoszę. Nie znoszę łatwości, z jaką przychodzą. Nie znoszę poczucia, że każde pojawiające się w nich zdanie było gdzieś na podorędziu, jakby zawczasu przygotowane, do wyjęcia ze specjalnie na tę okazję przygotowanej szuflady. Nie znoszę lęku przed dokonaniem plagiatu, choćby z arcydzielnego tekstu Rafała Steca z piątego numeru „Kopalni", a zatytułowanego „Polska piłka istnieje teoretycznie. Praktycznie nie istnieje", przeprowadzającego tyleż bezlitosną, co precyzyjną analizę narodu bez większego futbolowego znaczenia, z wpisaną w DNA średniością, a zarazem żywiącego wygórowane ambicje, sprawiające, że histeryzujemy po takich porażkach jak ze Szwedami i Słowakami.

Nie znoszę więc także tej histerii i tego celebryckiego chóru ogłaszającego wszem i wobec, że ma dość patrzenia na nieudaczników z orłem na koszulce. Otóż to nie są nieudacznicy; kapitanem tej drużyny jest może najlepszy w ubiegłym roku piłkarz, a z pewnością najlepszy napastnik świata. Rozgrywającym – jeden z najlepszych kreatorów gry w Serie A. Bramkarzem – mistrz Włoch. Wyliczankę mógłbym kontynuować, gdyby nie było mi szkoda czasu na pisanie oczywistości.

Mógłbym też wdać się w polemikę z tymi przedstawicielami bliskiej mi skądinąd, niekiedy wypełniającej również te łamy, grupy liderów opinii, intelektualistów, artystów czy pisarzy, którzy w licznych wypowiedziach o polskiej reprezentacji (ciekawe, że tyle o niej mówią, skoro chodzi o rozrywkę tak niegodną i niską...) kreują fałszywy obraz oderwanych od rzeczywistości, mających bajecznie łatwy start i pozamykanych w bańkach rozkapryszonych młodzieńców. „Do kadry doszli z małych miejscowości – Kleczewa, Mrzeżyna, Niemczy. Nie było tam kina, galerii handlowej, sekcji tenisa. Ale było boisko. Mieli ojców trenerów, odrabiali lekcje w samochodach, płakali do telefonów i musieli szybko dojrzeć" – pisał przed mistrzostwami Europy Dawid Szymczak na portalu Sport.pl i jedyne, czym można jego opowieść uzupełnić, to informacją, że niektórzy z naszych reprezentantów – jak Lewandowski – ojców tracili zbyt wcześnie. Obraz Polski, który wyłania się z artykułu Szymczaka, jest spójny z reporterską książką Olgi Gitkiewicz „Nie zdążę". Tu naprawdę nie o przywilejach mowa, ale o pokonaniu barier, których III RP wybudowała aż nadto wiele.

No więc nie napiszę takiego tekstu pomeczowego. Nade wszystko bowiem nie znoszę tej presji, która kazała Karolowi Linetty'emu przepraszać w imieniu całej drużyny za porażkę ze Słowacją i deklarować, że wie, iż (sic!) „zrobiliśmy bardzo źle". Może zresztą wciąż aktualna jest konstatacja po porażce z Senegalem na mundialu przed trzema laty, że problem nie leży po stronie piłkarzy i trenerów, którzy nie zmienili się w ciągu parunastu dni z ludzi wybitnych w beznadziejnych patałachów, tylko po naszej stronie. „Do uzdrowienia jest toksyczna relacja między kibicami a reprezentacją. Nie może być tak, że wiążemy z tą grupą zawodników wszystkie nasze, niemożliwe do zaspokojenia gdzie indziej fantazje tylko po to, żeby chcieć spalić ją na stosie przy pierwszym potknięciu" – cytuję tekst „Raport o stanie niewiary", w którym stawiałem hipotezę, że przyczyną tego, iż „nie zadziałały głowy", było ulokowane gdzieś w tyle tychże głów przekonanie, że jeśli podejmą ryzyko, o które apelował trener, i coś pójdzie nie tak, staną się wylęgarnią memów.

Może więc istota problemu Paula Sousy polega na tym, że próbował nauczyć swoich piłkarzy zmiany ustawienia w zależności od tego, czy się bronią czy atakują, a nie zdołał ich nauczyć cieszenia się grą – a nas w związku z tym cieszenia się kibicowaniem?

Dzień ojca

W Dniu Ojca oglądałem mecz z trójką dzieci. Zastanawiam się, co naprawdę zobaczyły. Ostatecznie chodzi przecież o tę emocję, którą przeżywasz jako chłopak czy dziewczyna, siedząc u boku kogoś, kto uczy cię przeżywania. O to wołanie do telewizora taty czy wujka (nie pamiętam już po latach), „Lato, fajtłapo, idź na niego!" podczas mundialu w Argentynie. O dziadka kręcącego z uznaniem głową na widok idącego do narożnika boiska Smolarka, zastawiającego się przed piłkarzami ZSRR i zarabiającego czas dla drużyny w końcówce spotkania dającego Polakom awans w ostatnim meczu fazy grupowej na mundialu w Hiszpanii. Innymi słowy: o wspomnienie pierwszego meczu czy pierwszych mistrzostw, niezapośredniczone przez narrację gadających głów w studiu czy nawet na komentatorskim stanowisku – zwłaszcza jeśli komentator w sześćdziesiątej minucie meczu przesądza, że to już koniec.

Co moje chłopaki zobaczyły podczas meczu ze Szwecją? Ojca, który klaskał do monitora po pierwszej bramce Lewandowskiego, choć kapitan reprezentacji nie mógł przecież tych oklasków usłyszeć? Ojca, który po wyrównującym golu Polaków wstał z kanapy i zaczął oglądać mecz na stojąco? Ojca, który w niejednym tak zwanym obiecującym momencie, kiedy Szwedzi nieoczekiwanie się gubili, wołał z nadzieją „Noooo"? Ojca, który powtarzał w kółko, że osiemdziesiąt siedem, czterdzieści pięć, trzydzieści, choćby pięć minut to w piłce mnóstwo czasu – byle nie działać nerwowo, nie grać na pałę, dać sobie chwilę, nawet gdy ta chwila wydaje się kurczyć? Ojca, który wierzył, że każdy błąd zdąży się jeszcze naprawić?

Jakkolwiek dziwnie to zabrzmi po meczu, który okazał się ostatnim występem Polaków na mistrzostwach Europy, nadal w to wierzę. Bo na tym polega kibicowanie.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

Artykuł jest rozszerzoną wersją komentarza, który ukazał się na stronie internetowej „Tygodnika Powszechnego" po meczu Polska–Szwecja. Wszystkie teksty Michała Okońskiego poświęcone Euro 2020 – czytaj pod adresem powszech.net/euro

STANISŁAW

Mancewicz:
Sołectwo

Nie jest to dla nas problem, ale zjawisko przecież jest tu, w Polszcze, nowe i zapewne godne pilnej obserwacji. Oto arcybiskup Sławoj Głódź został sołtysem. Brzmi to tylko na pierwszy rzut oka śmiesznie. Pytamy więc, niejako przy okazji, czy jest to nowa formuła osobistego funkcjonowania, czy też pionierski przykład, pomysł na życie dla innych polskich hierarchów, w podobnej Głodziowi sytuacji moralno-służbowej?

Tym być może śmiesznym, a być może nieśmiesznym zapytaniem, nieśmiesznym w perspektywie różnych nadchodzących wyborów, a to samorządowych, parlamentarnych czy prezydenckich (bo wyborów do Parlamentu Europejskiego nie będziemy już raczej urządzać), zaczynamy, ale też natychmiast musimy ten temat porzucić. Ku – tak mniemamy – ogromnemu żalowi nieprzebranych rzesz czytelniczych, złaknionych świeżego spojrzenia i na polski Kościół, i na politykę gminną. A więc lękliwie temat ten porzucamy, bo nadszedł i lipiec, a wraz z nim przepiękne lato. Przy naszym imponującym oczytaniu, przy znakomitych zdolnościach historycznego kojarzenia, przy naszej znanej i małpiej pamięci do nazwisk, nawet nazwisk ludzi duchownych, do życiorysów polityków, dajmy na to, słowackich bądź to chorwackich, musimy zaprzestać pisać tu o ostatnim, ale być może nieostatnim politycznym sukcesie arcybiskupa Głódzia, by nie podpaść ustawie o ściganiu nam podobnych gibkich publicystów.

Doprawdy nie chce nam się teraz, w pełni lata, iść gnić do pierdla z powodu oczywistych skojarzeń, jakie nam przyniosło świeżo upieczone sołectwo biskupa. Nie chce nam się teraz, gdy słońce świeci jak złoty rubel w kieszeniach prawicowych polityków polskich, gdy woda w ciekach osiągnęła temperaturę zdatną dla przemiany skrzeku, gdy ptactwo wchodzi w kolejne lęgi po kocich grabieżach, oto nie chce nam się teraz pakować plecaka i jechać na przymusowy obóz reedukacyjny, gdzie nowej historii Polski i świata robaczywym językiem będą nas nauczali p. Czarnek z p. Kaczyńskim bądź p. Piotrowicz z p. Pawłowicz bądź to nieoceniony w tym sporcie obecny prezes Rady Ministrów. Jest to wizja, jeśli idzie o wakacje, taka sobie, i może z nią zaiste konkurować wyłącznie owa, w której przymusowo słuchamy sołtysa Głódzia przemawiającego do nas o zbawieniu i miłości bliźniego, a nie – dajmy na to – o inwestycjach w nieruchomości, pojazdy bądź kosztowną odzież.

Decyzja o niezajmowaniu się pisarsko nowym sołtysem nie jest w świecie naszych zaniechań jedyna. Takoż, niestety, musimy oświadczyć, że mimo apeli, mimo próśb i gróźb, nie możemy zajmować się odpadnięciem polskiej drużyny z toczących się właśnie zeszłorocznych mistrzostw Europy. Proszę zwrócić koniecznie uwagę na tę znakomitą frazę: „toczące się właśnie zeszłoroczne mistrzostwa”. Rzeczywistość – popatrzmy – każe naciągać język i go rozdwajać, a tym samym odsuwać go od prostego komunikowania. Ile można? – syczymy, gdy myślimy o polskim futbolu, choć w pytaniu tym, w owych dwu słowach, nie ma ani jednej literki „s”.

No więc o piłkarstwie pisać nie będziemy, ale już o kulturze kibicowskiej owszem. Ona nas o tyle ciekawi, że wylała się na naszych oczach ze stadionowych trybun i wlewa się wszędzie. Wlała się do szkoły, na uniwersytet, do literatury, do mediów i parlamentu. Profesorowie i ministrowie są kibolami, księża są kibolami i urzędnicy też są kibolami, a ich kultura jest kulturą kibolską. Mniemamy błyskotliwie, że kultura kibicowska zastąpiła bez większych trudności to, co zwykliśmy tu nazywać tradycjami zarówno kultury sarmackiej, jak i kultury ludowej. Obie kultury są całkowicie nieaktualne. Dawno temu problemem było znalezienie właściwej odpowiedzi na pytanie: „za kim jesteś?” zadane o północy, w ciemnej uliczce, przez faceta z nożem. Dziś nie wystarczy omijać złych okolic bądź nie wychodzić z domu późnym wieczorem. To pytanie zadają sobie wszędzie, wszyscy o każdej porze dnia i nocy. Trzeba być kibicem. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

UDANA OPERACJA USUNIĘCIA PIŁKI NOŻNEJ Z SERCA POLSKIEGO PACJENTA PRZEPROWADZONA PRZEZ ZESPÓŁ JEDENASTU WYBITNYCH SPECJALISTÓW.

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

Skoncentrowani na potrzebach biznesu

S-Biznes internet symetryczny dla firm

s-net.pl

Symetryczne łącze internetowe z gwarancją parametrów

Korzyści dla Twojej firmy niezależnie od pakietu

- SLA 99,9% bezpieczeństwo sieci
- Wirtualna centrala do 25 stanowisk
- Hosting w chmurze Biznes Premium
- Techniczne wsparcie IT

S-Biznes 1000Mbps

1000/1000

S-Biznes 500Mbps

500/500

Sprawdź na s-net.pl

S-NET GRUPA TOYA +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl / www.s-net.pl

w głowie się nie mieści!

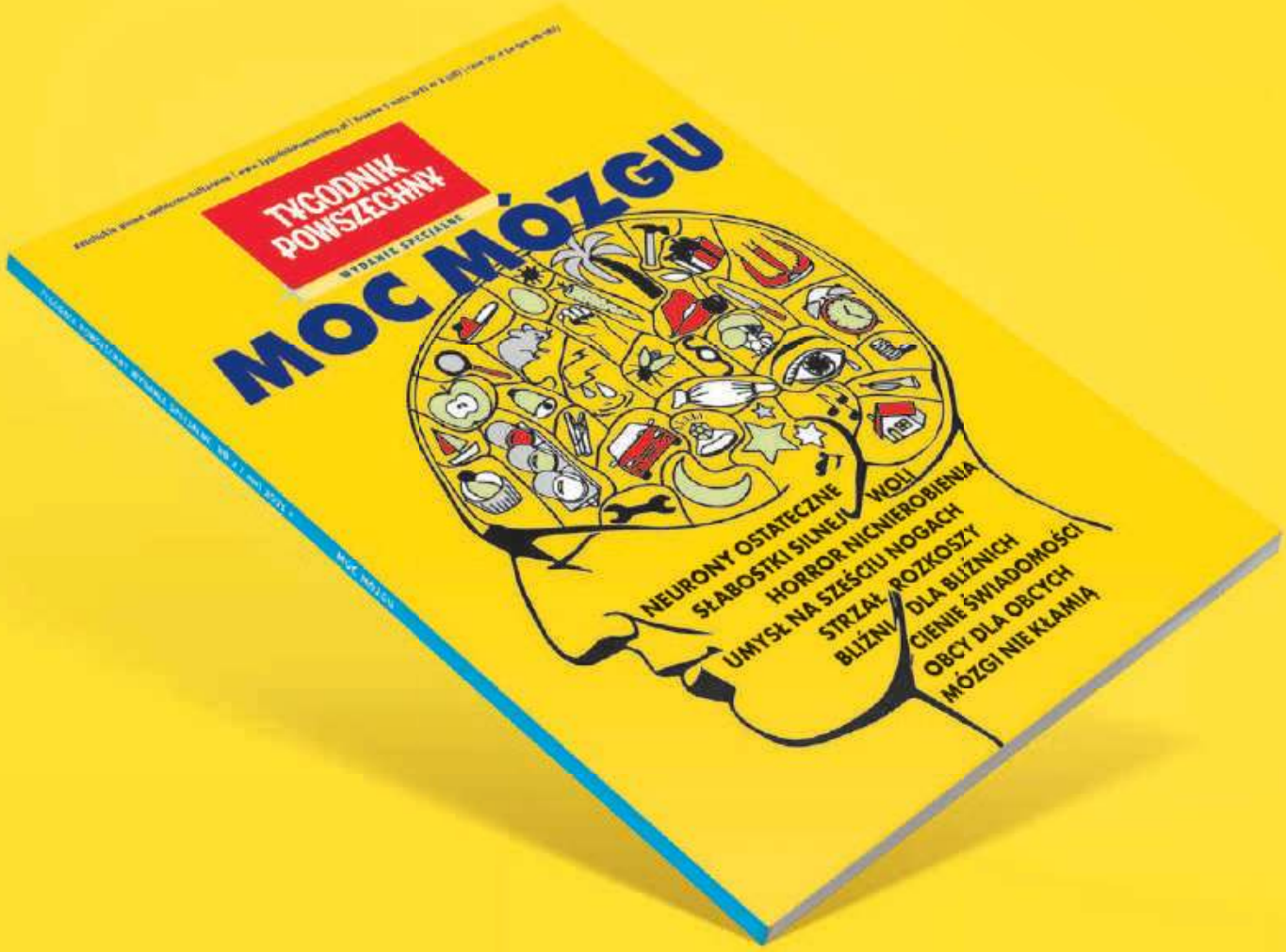

TYGODNIK POWSZECHNY

Wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego" MOC MÓZGU
już w sprzedaży – szukaj w kioskach i salonach prasowych

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // GRAFIKA NA OKŁADCE: DOLASU